Półtora roku sali sądowej

Okręt, Leon (1864-1937)

Adres URL obiektu
https://polona.pl/preview/d90f4a8c-46b1-4883-98f9-24f7d9e3d718
Data wygenerowania dokumentu pdf
29.06.2026

POLONA/

Informacje

Tytuł ujednolicony
Półtora roku sali sądowej
Autor
Okręt, Leon (1864-1937)
Adres wydawniczy
Warszawa : [s.n.], 1925 (Warszawa : Druk. Krajowa (W. Krawczyński).
Data powstania dokumentu
1925-01-01
Język
polski
Sygnatura
500.770

Prawa do utworu
Domena Publiczna. Wolno zwielokrotniać, zmieniać i rozpowszechniać oraz wykonywać utwór, nawet w celach komercyjnych, bez konieczności pytania o zgodę. Wykorzystując utwór należy pamiętać o poszanowaniu autorskich praw osobistych Twórcy.
Źródło
Biblioteka Narodowa
Obiekt zdigitalizowany w ramach projektu:
Patrimonium

1,508.440

LEON OKRĘT
(lo)

PÓŁTORA ROKU SALI SĄDOWEJ

ZABÓJSTWO BIBLJOFILA SMOLIKOWSKIEGO
SKOLIMOWSCY BANDYCI — WEISS I RULSKI
POSEŁ DĄBAL PRZED SĄDEM
LEON TOEPLITZ I JEGO 11 TOWARZYSZY
STEFAN HORDLICZKA
(zabójstwo Wandy Hordliczkowej)
ELIGJUSZ NIEWIADOMSKI
ZABÓJSTWO METROPOLITY JERZEGO
GINSBERG—NOWIŃSKI

WARSZAWA 1925
Skład główny w księgarni F. Hoesicka.

LEON OKRĘT

<lo>

POŁTORA ROKU SAM SAMOWOLI

PÓŁTORA ROKU SALI SĄDOWEJ

(SZKICE I WRAŻENIA)

Res. 108

Odbito w ilości 2 tysięcy egzemplarzy
w lipcu 1925 r. — w Drukarni Krajowej (W. Krawczyńskiego) w Warszawie, ul. Żelazna
89.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001017853666

BIBLIOTEKA NARODOWA

I. 500. 770

I. 42. 604

1942 D. 478

Wszystkie te szkice sądowe, które, z niczem może nieusprawiedliwioną odwagą, oddaję publiczności, były drukowane w „Kurjerze Polskim“ i pisane śród żywotnego zgiełku późnej, wieczornej redakcyjnej pracy. Gdybym śmiał poświęcić komukolwiek tę książeczkę, poświęciłbym ją kolegom moim redakcyjnym, jako pamiątkę półtorarocznej, sympatycznej dla mnie roboty w ich gronie.

Sympatycznej, bo odtwarzała, trochę, bodaj, zanadto syntetycznie, niż przystało dla informacyjnych potrzeb gazety, życie w jego sądowem, tak bogatem treścią, przełamaniu. Interesy, charaktery, sytuacje, duch chwili i zboczenia chwili, w zwierciadle sądowego rozpoznania odbijają się wiernie, ale z odrębnością, jaką tworzy obojętność, częstokroć wyzywająca, dla tych wielu setek przykazań ludzkich, które normują współżycie, a zwą się kodeksem karnym. Ten kodeks to encyklopedja ludzkiej grzeszności, przez społeczność karconej; ogarnia ona całą istotę ludzką w wybrykach jej bujnych lub krwawych namiętności, albo poziomych pragnień. Sala sądowa to wielkie psychologiczne prosektorjum; niedyskrecje jego obnażają całkowicie duszę ludzką, częstokroć godną litości, częstokroć odrażającą — zawsze interesującą. Chciałbym, aby

w moich szkicach — sprawozdaniach odbiła się choćby częściowo ta charakterystyczna, zastanawiająca prawda stosunków i usposobień — którą obserwowałem w sądzie z chęcią wiernego jej oddania,

A pole dla postrzegania, w ciągu półtorarocza mojej sprawozdawczej pracy, miałem rozległe i żniwo było bogate. Hordliczka, Dąbal, Smaragd, Teoplitz i jego towarzysze — i tyle innych spraw, nie objętych tutaj — to dla psychologa, i dla socjologa i dla polityka i dla moralisty tematy poważne. Dziennikarska pośpieszna robota nie może uwydatnić wielobarwności tych wymownych obrazów; jeśli umiała w przelotnych rysach zlekka zaznaczyć, ale prawdziwie, te cechy — to i tak wiele. Nie miałbym innej pretensji.

W granicach półtoraroku — od połowy 1922 do końca 1923 roku — jest rzeczą obojętną, kiedy właściwie rozpoznawaną była ta lub inna sprawa. „Ludzka" strona tych sądowych dramatów nic nie zyska na ścisłości chronologji. Dla tego też nie krępowałem się nią. Piszę „wczoraj" „onegdaj" „w tych dniach", chociaż wszystko to odbywało się dwa, trzy lata temu. Piszę o procesach, jak gdybym dopiero co wrócił z sądu; przypuszczam, że to nie zaszkodzi plastyce wydarzeń, o których mówię. Notuję często formalną stronę sprawy; skład sędziów, nazwiska oskarżyciela i obrońcy. Pozwalam sobie powtarzać to, co na gorąco napisałem, pod wrażeniem usłyszanych słów prokuratora lub obrońcy. Uwierzy mi czytelnik, że moje zastrzeżenia lub pochwały nie mają nic wspólnego z jakiemkolwiek „rozdawnictwem nagród". Jest to tylko wyraz mojego szacunku dla szlachetnej roli stron w procesie i mojej czci dla szczerego, wymownego słowa. Gdybym mógł, poświęcił bym tej, dla mnie

bezmiernie nęcącej kwestji mówionego słowa — daleko więcej miejsca.

Od trzech i pół lat słucham: w sądzie, w parlamencie, w kościołach, gdzie czekam, czy nie usłyszę Skargi. I zdaje mi się, że dar wymowy rodzi się dopiero; że polscy mówcy nie dorośli jeszcze do tego poziomu, gdzie się zaczyna prawdziwa siła oddziaływania. Że myśl polska w ustach polaka nie przeradza się jeszcze w frapujący wyraz, w ognistą arabeską, w potok słów, gdzie, prócz idei, bogata barwa i dynamiczny pęd podwójnem życiem zapładniają wolę słuchacza. Nie widzę daru djalektyki; nie postrzegam tego dajmona wymowy, który ogarnia człowieka i rodzi harmonję wspólnych odczuwań pod wpływem słuchanego słowa. Nie spotykam pięknie zabarwionych głosów; szlachetny, metaliczny tembr głosu jest prawie niespotykaną rzadkością, a genjusz intonacji jeszcze się nie narodził. Szare słowa, szare zdania, szare okresy, myśl w bezbarwnym stroju, nie radująca słuchu, nie rozgrzewająca wyobraźni, bez świetności...

Tak mi się wydaje; nie wątpię, że przyszłość przeobrazi to wszystko—przyśpieszonym tempem. Dlatego też z taką gotowością i szczerym optymizmem wsłuchuję się we wszelki w tej dziedzinie donioślejszy, piękniejszy dźwięk. Chciałbym doczekać się wzmożenia u nas kultu wymowy; to wielka dźwignia społecznego życia. Chciałbym, aby ambicję wymowy włączyć do szeregu innych żywotnych polskich ambicyj. Piękno życia — i plastyka prawdy zyskały by na tem.

Korzystam więc z każdej okazji, aby w mówcach sądowych podkreślić zapowiedź talentu czy dotrzymaną jego obietnicę.

W sądzie doraźnym.

Szewczyk-morderca.

Nazywa się Szewczyk i na takiego wygląda. Ma lat 17 i kilka miesięcy. Jutro ma być rozstrzelany z wyroku sądu doraźnego.

Na sumieniu jego, jeśli je, przypadkiem, posiada, ciąży straszna zbrodnia: zabójstwo 62-letniej kobiety; przyszedł do niej w celu podstępnego wyłudzenia pieniędzy, ogłuszył ją uderzeniem butelki w głowę, zadzierzgnął na szyi skórzany pas i zadusił. Potem okradł, z tłomokiem nagrabionych rzeczy spokojnie przeszedł przez bramę domu, wsiadł do dorożki i zawiózł rzeczy do handlarza. Otrzymał za nie 140,000 mk.; kupił sobie buty, narzeczonej płaszcz, łakoci za kilka tysięcy i pojechał z ukochaną pod Grodzisk. Tam obojga po trzech dniach aresztowano, gdyż handlarz przeczytał w gazetach o zbrodni i o skradzionych rzeczach i, zalękniony, zwrócił się do policji. Mordercę odszukano z łatwością; przy sprzedaży rzeczy pokazał on handlarzowi, na jego żądanie, swój własny paszport i wypisał własnoręcznie zaświadczenie: że 14 lipca r. b. sprzedał następujące *swoje* rzeczy...

Przez cały czas przewodu sądowego Szewczyk siedzi spokojnie, na twarzy jego nic się nie maluje, tylko skóra jak gdyby coraz bardziej przylega do czaszki i oskarżony chudnie jakby w oczach. Co się tam dzieje w tej głowie i w tej duszy? W sądzie doraźnym wszystko odbywa się tak szybko, że niema czasu na rozstrzyganie takich pytań.

Obrońca Szewczyka składa wniosek o psychjatryczne zbadanie oskarżonego. Sąd odmawia. W rzeczy samej: w gestach i czynach Szewczyka logika, łączność i celowość są zupełne. Napisał kartkę, żeby omylić czujność ludzi, do których szedł kraść, czy zabijać; metodycznie i niezmąconie dokonał mordu; bez nerwowego pośpiechu pakował rzeczy z szafy do tłomoka; w drodze z ulicy Wolskiej, gdzie zabił, na Pragę, gdzie sprzedał—ochłonął zupełnie i nie wzbudził żadnych podejrzeń, a ostrożny handlarz nie poczuł zbrodniarza w sprzedającym; w każdym razie nie poczuł w nim mordercy. Nie przewidział Szewczyk konieczności legitymowania się przed handlarzem; inaczej dostałby może cudzy paszport i wydałby fałszywe zaświadczenie, jak sfabrykował fałszywą kartkę z podpisem p. Kosterskiego, aby dostać się do jego mieszkania i tam zabić jego teściową. Poco tu psychjatra?

A jednak drażniący i tajemniczy jest wewnętrzny proces w duszy tego dziecka-„złodziejaszka“, który tak lekko, tak chyżo skoczył z drobnych kradzieży do najokropniejszego morderstwa. I nie chciałoby się w interesie nawet tej samej społeczności, której broni sąd doraźny,

oddawać tego życia, choć już tak szkodliwego, bez świadomości, że nie ciąży nad Szewczykiem żadna inna fatalna klątwa, prócz jego własnej winy.

Powiadają, że należy „szukać tu kobiety". Oto ona. Jest świadkiem w sprawie. Popatrzmy na tę „kobietę".

Stoi przed sądem laleczka, młodziutka, ładniutka i mówi coś tam głosem laleczki. Szewczyk był jej narzeczonym; chodził z nią, odprowadzał z zajęcia do domu; prowadził do kina, do cukierni i płacił; bo co to za kawaler, który nie płaci? Laleczka nie ma bucików, ale ma kawalera; do kogo się udać, jak nie do niego? Kawaler mówi: dziś nie mam pieniędzy. A pewnego dnia przychodzi, spokojny, jak zawsze, milczący, ale z pełną kieszenią. Skąd pieniądze— laleczka nie wie; zresztą teraz takie czasy, że nikt nie wie, skąd kto ma pieniądze; im mniej wiadomo skąd, tem więcej pieniędzy. Laleczka korzysta z okazji; dostaje płaszczyk, jakieś drobiazgi i dużo smacznych rzeczy. I nawet zgadza się pojechać ze swym kawalerem na kilka dni do krewnych swoich, po bożemu. Tam, w Rozalinie, widzi, że kawaler ma jeszcze wciąż dużo pieniędzy i jest bardzo smutny; ale się nie pyta, dlaczego smutny, i zadawalnia się pierwszą lepszą odpowiedzią, skąd tyle pieniędzy. To są rzeczy, nad któremi laleczka bardzo nie biada.

A kiedy ją aresztują razem z kawalerem, jest strasznie zdziwiona; i ci, co ją zaaresztowali, są jakby zażenowani, że aresztowali laleczkę— i czemprędzej ją uwalniają. I laleczka nie rozu-

mie, że jej buciki i jej kino i jej ciastka—doprowadziły kawalera do zbrodni. Gdyby wiedziała—nie chciałaby ani bucików, ani płaszczyka. To bardzo dobrze; ale, jeśli nie ona, to kto inny, lub co innego pchnęłoby Szewczyka do takiej samej zbrodni. Tak mówi Lombroso; i tak powie wyrok...

Szewczyk wszystko opowiedział sędziemu śledczemu; do wszystkiego się przyznał: a na sądzie powiedział tylko, że „jest winien“ i że działał „sam z siebie“. Zresztą milczał, patrzał na sędziów, na nikogo więcej, i nie drgnął nawet, kiedy słyszał zeznanie matki, tak mało tchnące bólem matczynym.

Co się działo w jego głowie i duszy? Może w ostatniej chwili groza krwawego wspomnienia zwyciężyła nieczułość tego nierozbudzonego sumienia? Może w jedynem mignięciu szlachetniejszej świadomości ujrzał z rozpaczą przepaść, w jaką się pogrążył? Może złe książki, które czytał, nauczyły go afektacji bohaterstwa, zimnej i odrażającej? Może zgnębiły go zmobilizowane przeciw niemu, coraz zwarciej i beznadziejniej, karzące siły społeczności?

W każdym razie, w ostatniem swem słowie Szewczyk powiedział: „proszę o karę śmierci“.

Sąd uwzględnił jego prośbę.

Laleczka wysłuchała wyroku i już nie spojrzała w stronę skazanego *).

---

*) P. Prezydent Rzeczypospolitej ułaskawił Stefana Szewczyka i zamienił karę śmierci na dożywotne ciężkie więzienie. Po roku pobytu w więzieniu Szewczyk umarł. Działo się to dwa lata temu.

Sprawa Józefa Wąsika.

Jakże przykry widok tego 18-letniego zbrodniarza, który wczoraj siadł na ławie oskarżonych, wyrokiem sądu doraźnego został skazany na karę śmierci, a dzisiaj rano będzie lub już został stracony, bo p. Prezydent Rzeczypospolitej odrzucił prośbę o jego ułaskawienie. Dobrze utuczony, zdrowy chłopiec, o gładkiej twarzy; kryje ją przez cały czas przewodu w dużej, z szara-brudnej chustce, i płacze i łka, o ile nie odpowiada na pytania sądu; ale chustka wciąż jest uparcie suchą, a łkania ustają natychmiastowo i głos jest spokojny, bez cienia wzruszenia. Najdetaliczniej, z chłopskim szacunkiem dla grosza, choćby kradzionego, choćby kupionego ceną mordu, wyszczególnia Wąsik co do feniga pozycje wydanych na pijatykę i jedzenie zrabowanych pieniędzy. Choć to syn najbogatszego we wsi Krusze Stare, powiatu radzymińskiego, gospodarza, kradnie, kiedy mu zbraknie pieniędzy, i oprócz tej sprawy, za którą zapłaci głową, ma jeszcze inne, w sądach pokoju i u sędziego

śledczego, mniej krwawe, ale świadczące rów nież, że ten młody analfabeta i morderca jest bezpowrotnie zgubionym człowiekiem.

Przygotował swoją zbrodnię w chwili braku pieniędzy rozważnie i spokojnie; upatrzył zdawna ofiarę i wykonał mord ze spokojem, które go przykłady są rzadkie, ale mogą czasem, w ciągu trzech dni, prawie że się spotkać na jednej i tej samej ławie oskarżonych, w jednej i tej samej sali sądowej.

Handlarz wioskowy Mendel Stolik, 28-letni młody żydek, urodził się w tej samej wsi, co Wąsik i Wąsik znał go od najmłodszych lat. Wiedział, że Stolik ma zawsze trochę—niewiele—pieniędzy i że za te pieniądze można pohulać choć raz jeden w karczmie Jachacego. Handlarz wioskowy nie miał podobno wielkich skrupułów; handlował pono towarem, nie zawsze uczciwie nabytym. Komisarz policyjny, którego zręczne, a energiczne dochodzenia wyświetliły sprawę, świadczył, że głównymi dostarczycielami towarów byli okoliczni młodzieniaszkowie; pokryjomu zabiorą u ojca-gospodarza coś, co ma wartość i sprzedadzą w stodole, magazynie kradzionych rzeczy — handlarzowi. Do takiej stodoły zaciągnął Wąsik Stolika pod pozorem sprzedaży zajęczych skórek, wyciągnął z pod kapoty przygotowaną siekierę, zadał kilka razów; pierwszy w szyję, inny z rozmachem w czerep kostny, osłaniający mózg, wdrążył siekierę uderzeniem aż do mózgu—Stolik zacharczał i umarł. Zakrwawioną kapotę zdjął Wąsik, zakopał zakrwawioną siekierę, którą ukradł ojcu, i poszedł

spokojnie pić i jeść do karczmy Jachacego za zabrane u ofiary 16,000 marek. Przejadł i przepił z towarzyszami wszystko, z wyjątkiem 520 marek. Dwa dni do winy się nie przyznawał, nawet komponował zdradziecką obronę, której ofiarą mógł się stać niewinny człowiek — ale zmożony, przyznał się do winy.

Nieszczęśliwy ojciec Wąsika uchylił się od zeznań; nie mógł, oczywiście, nic na korzyść swego syna powiedzieć. Liczni świadkowie ze wsi Stare Krusze i stara matka Mendla Stolika wysłuchali wyroku kary śmierci z pobladłemi twarzami.

Napad bandycki.

Sprawy karne są często „ciekawe, jako widowisko; tragiczne, jako zagadka“, wedle renanowskiej formuły. Kiedy chodzi o grzywny, lub nawet o więzienie, widowisko przeważa nad zagadką. Ale kiedy ostatniem słowem widowiska może być kara śmierci—zagadka wzrusza i dręczy. Dręczyła ona i wzruszała wczoraj, kiedy w warunkach pośpiesznego śledztwa, sprzeczności zeznań i niepewności poszlak, sąd okręgowy w trybie sądu doraźnego miał orzec, czy Stanisław Nowakowski, dwudziestokilkoletni młodzieniec, niedawno zdemobilizowany żołnierz, winien jest napadu bandyckiego, czy nie, czy ma umrzeć, czy nie? I z wielką ulgą dla sumień słuchaczy, zebranych w sali sądu, wśród nagłej i zupełnej ciszy, towarzyszącej zwykle bardzo głębokim wzruszeniom tłumu—usłyszeliśmy wyrok uniewinniający. Czy Nowakowski winien, czy nie — jest to obecnie sprawa między nim, a jego sumieniem. A chociaż nie wszyscy sędziowie byli przekonani o braku winy oskarżone-

go — uniewinniono go tylko „większością głosów“,—wszystkim musiało być lżej, że ominęła ich gorzka czasza podpisania wyroku śmierci na bliźniego.

Fajwel i Berek bracia Tykulscy, 4 lipca r. b. wieczorem około 10-ej, musieli oddać 150,000 marek bandycie, który na szosie zatrzymał ich wóz, krzyknął „ręce do góry“, dał dwa wystrzały w powietrze i odszedł. Ale poprzednio grzecznie, na „pan“, rozmówił się z Bąkiem, chwilowym pasażerem wozu, kazał mu zejść, nic mu nie zabrał i nic złego mu nie zrobił. Bracia Tykulsy poznali bandytę w Nowakowskim, do którego już o 3-ej w nocy zawiozły ich dla konfrontacji władze policyjne sąsiedniej osady, kierowane jakiemiś nieokreślonemi wiadomościami, czy przeczuciami. I to jest cały oskarżający materjał.

Bracia Tykulscy, co prawda, są bardzo stanowczy. Ponieważ znają „całą parafję“, więc odrazu poznali Nowakowskiego, jako twarz „miejscową“. I tutaj stajemy wobec pytania: Czy w strachu człowiek może zapamiętać dobrze rysy napadającego? Obrona utrzymuje, że nie. Ale bracia Tykulscy, jakkolwiek zastrachani, nie stracili przytomności; bali się, ale zmysł praktyczny ich nie opuszczał do końca; nie odrazu oddali wszystkie pieniądze; próbowali, czy nie uda się tranzakcja na 50 proc. A wieczór był księżycowy i było dosyć widno — tak mówi świadectwo Instytutu meteorologicznego.

Bracia Tykulscy, choć może mają za sobą prawdę, znajdują się, jak niegdyś Anglja, we

„wspaniałem odosobnieniu". Nawet świadek Bąk, który widział bandytę, mniema, że tamten był wyższy, starszy, grubszy od Nowakowskiego. A nadto „gromada—wielki człowiek" broni Nowakowskiego. Ośmnastu gospodarzy osady piśmiennie ręczy za jego uczciwość. Ośmiu świadków na sądzie uparcie twierdzi, że w wieczór napadu Nowakowski był w domu, że go widzieli aż do późna. Świadkowie nie zawsze i nie wszystko wiedzą dobrze; mylą się co do dat i szczegółów; prawdopodobnie, co jest naturalne, w ciągłych rozmowach o napadzie, urobili nieświadomie jednakowo swe wrażenia; śledztwo jednak nic im przeciwstawiać nie może i oskarżenie musi się poddać.

Sprawiedliwy los pozwoli prawdopodobnie braciom Tykulskim wielokrotnie odbić stratę; ale już bez pomocy sądu doraźnego.

Krwawy narzeczony.

Wyrokiem sądu doraźnego Bolesław Laskus został skazany wczoraj na karę śmierci. Prośba skazanego o ułaskawienie już została odrzuconą.

Nikt, zda się, bardziej na taki wyrok nie zasłużył. Zwodził łatwowierną dziewczynę obietnicą ożenku, okół stosunku swego do niej stworzył coś, niby tajemnicę, zawsze miłą kobiecemu sercu, wieczorem całował w stodole i naglił do wspólnej podróży do Warszawy, dla zakupów na ślub, a rankiem ohydnie zamordował na drodze do stacji; ogłuszył z początku ciężkiem uderzeniem kamienia i rozbił kość ciemieniową, potem jakimś odłamkiem zaostrzonej żelaznej obręczy poderżnął szyję, jak prosięciu, patrzył na straszną obfitość krwotoku, wyrwał ofierze wszystkie pieniądze, jakie miała przy sobie i jakie z sobą wzięła na skutek prośby „narzeczonego“. Wieśniak z okolic Warszawy, bynajmniej nie biedny, prawie trzydziestoletni, bez notorycznych nałogów, przez współwłościan przedstawiony ni tak, ni owak, obojętnie, bez wybitnych

BIBLIOTEKA MIEJSKA

podejrzeń i bez wybitnej ujemnej oceny, zarzyna dwudziestoletnią kobietę dla stu osiemdziesięciu tysięcy marek!

Z niewyraźnego bełkotu oskarżonego na sądzie nic wnieść o nim nie można. Z przewodu sądowego o jego osobie nikt niczego się nie dowiedział, Chyba tego, że podejrzewano w nim zdolność do kradzieży. Chyba tego, że zdolność do zabójstwa jest rzeczą, jakby uznaną przez włościan tamecznych i ani dziwną, ani bardzo gorszącą. Kiedy nieszczęśliwa Marja Jarzębska z przeciętą tętnicą, okrwawiona i już umierająca, przeniesioną została do szpitala, zamężna siostra jej podeszła i zapytała: Kto ci to zrobił? Czy Bolek? A chora powiedziała kiwnięciem biednej głowy: tak. I trzy jeszcze nazwiska przytoczyła siostra — ale ranna kiwnięciem przeczyła. Trzy nazwiska! To znaczy, że jeszcze znalazły się we wsi trzy nazwiska, do których można było podejść z podejrzeniem o zabójstwo! Straszne to czasy—te czasy powojenne.

I jakkolwiek doraźny sposób rozprawiania się z krwawemi zbrodniami razić będzie zawsze, jak abdykacja wszystko rozważającej sprawiedliwości na rzecz pożytku, może zwodnego,—wobec takiej zbrodni jak Laskusa, zniecierpliwiona i rozżalona uczuciowość, gotowa zrzec się swych zwykłych pretensyj. Co można znaleźć w duszy Laskusa, gdyby nawet bardzo się w niej grzebać? Jak podejść do niej z łaską. i choć częściowem przebaczeniem?

Kary śmierci dla oskarżonego żądał p. podprokurator Docha.

Tragedja trzech oficerów rosyjskich.

Wykoleiło się oficerstwo rosyjskie. Cztery lata namarnych wysiłków podczas wielkiej wojny, a potem znowu, podczas rowolucyj i po rewolucjach, cztery lata awantur, poniżeń, klęsk, zgoryczenia, niepewności; bezdomność, nieokreśloność celów i poczucie niemocy—wykoszlawiły jego nadszarpniętego ducha. Straciło poczucie realności i poczucie normalnego ładu życia. Tam, w Rosji, trzymane jest w okropnej dyscyplinie podejrzeń i szpiegostwa przez żelazną władzę bolszewików. Gdzieindziej, na obczyźnie, na emigracji, oficerska psychika rosyjska tragicznie boryka się z niedopasowaniem do powszednich norm pokojowych. Przyzwyczajone do nadzwyczajności, do niepewnego romantyzmu chwil wojennych, do jeszcze niepewniejszego romantyzmu i rewolucyj i wichrzeń, gdzie tak obojętnie ścierają się granice dozwolonego i niedozwolonego, rzuca się często w odmęt dzikich czynów, które, kiedy obedrzeć je z ułudy kłamliwego

frazesu, wyglądają tylko jak niesmaczne zbrodnie, budzące odrazę i nieprzebaczalne. Rozbujały się od widoku tytanicznych przeobrażeń ostatnich czasów nie krępowane niczem fantazje; czarodziejskie zmiany położeń, fortun, sytuacyj ludzi i zbiorowisk zmąciły ostatecznie równowagę woli. „Les déracinés“ nazwałby ich Maurycy Barrès.

Kiedy ta psychiczna nierównowaga pozbawionych gruntu ludzi wypowiada się w zabójstwie Nabokowa, w usiłowaniu zabójstwa Milukowa, — myśl znajdzie jeszcze jakiś pozór usprawiedliwienia, czy objaśnienia, dla tych występnych i bezcelowych gestów. Jakie usprawiedliwienie, jakie objaśnienie, prócz nieuleczalnego już wykoszlawienia psychiki, dać można takim czynom, jak rabunek w biały dzień, z orężem w ręku, nieistniejących miljardów u drobnego kolejarza Paczuskiego na Pradze?

Bo jednocześnie z rozluźnieniem więzów etycznych i impulsów woli. idzie nieskończona łatwowierność i pobudliwość fantazji. Wielka to rzecz—złudzenie i zdolność łudzenia się jest miłą, choć zawodną ozdobą życia. Jest to „to, co jest najważniejsze“ powiada Jewreinow ustami artystów naszego Teatru Polskiego. „Trzeba się łudzić; należy łudzić“. Niegdyś Balzak żarem swej fantastycznej wymowy przekonał swych przyjaciół, że gdzieś, w Sycylji, leżą jakieś olbrzymie skarby złota i srebra,, zakopane w zamierzchłych czasach przez korsarzy. I pewnego dnia ujrzano wielkiego pisarza w towarzystwie dwu szanownych ludzi z motykami, w miejscu wska-

zanem przez autora „Komedji Ludzkiej". Skarbów nie znaleziono. Nigdy ich tam nie było.

Nie potrzeba było Balzaka, aby dać impuls łaknącym niezwykłości oficerom do czynów dziwacznych. Ale, niestety, nietylko dziwacznych. Balzakiem tych mniej szanownych ludzi był przewrotny, czy też głupkowaty i przebiegły 16-letni smyk, młody Paczuski, który instynktownie odczuł, jaką drogą trafić do serca i przekonania rosyjskiego, wytrąconego z siodła, oficera. Chłopak uczył się w garażu lotnictwa czy szoferstwa, a zwierzchnikiem jego był ex-lotnik armji rosyjskiej, mechanik Bogomołow. Mały Paczuski chciał się dobrze wyuczyć swego fachu i względy zwierzchnika były mu cenne. Zyskał je tem, „co najważniejsze" — kłamstwem. Naopowiadał rzeczy kolosalnych; siostrę swoją opisał jako piękną balerynę teatru Bogusławskiego(!); wymyślił, bez wielkiego szacunku dla honoru domu, że baleryna od Bogusławskiego ukradła jakiemuś amerykaninowi walizkę z 285,000 dolarów i pieniądze te znajdują się w domu ojca, na Pradze. Opisywał dolary z taką szczegółową trafnością, że rosyjski oficer uwierzył; zapomniał, że w każdej witrynie wekslowego sklepiku można takie same dolary długo kontemplować przez szybę. Mały łgarz przekonał Bogomołowa i olśnił go; wszystko, co mówił, było przyjęte nabożnie; im więcej łgał chłopak, tem więcej wierzył mu Bogomołow. Bo nieprawdopodobieństwo, niemożliwość dawno już przestały istnieć dla tych, cudu oczekujących wciąż ludzi, dla tych, co widzieli, jak zginął jeden największy

mocarz Europy, jak zmarniał drugi, jak wątpliwego talentu petersburski adwokat stał się „dyktatorem dusz“ na ciąg sześciu miesięcy, a obdarty amerykańsko-rosyjsko-żydowski dziennikarz stał się potężnym naczelnym wodzem armji przyszłości w Rosji.

W ten sposób 285 tysięcy dolarów (sumka pokaźna?) zajaśniały przed oczyma oficerów, jak przewodnia gwiazda. Wszyscy wzajemnie się podbudzali bez cienia niewiary; *credo quia absurdum*. I Bogomołow, co stracił już oficerski wygląd, i Murawjew, który jeszcze zachował piękną petersburską dykcję i kozak Matarygin, który nie umie porządnie wymówić słowa „kompromitować“, i Tronow, którego na ławie oskarżonych nie było, bo zakończył rachunek ze światem — wierzyli święcie, że miljardy są, a o swem prawie do tych kradzionych miljardów nie wątpili, boć przecie, podobno, „duży odłam emigracji rosyjskiej na zachodzie żyje z kradzionego złota Kołczakowskiego“, a antibolszewicka tendencja oficerów wszystko usprawiedliwia. Baleryna od Bogusławskiego spotka jeszcze innego amerykanina z walizką dolarową, a Bogomołow, Murawjew, Matarygin, Tronow, Harenze potrzebują bardzo a bardzo pieniędzy. I dla „organizacji“, która ma ocalić Rosję od bolszewików, a prawdopodobnie także i dla skompletowania bardzo zdezelowanej bielizny i garderoby członków tej „organizacji“.

Bogomołow, Tronow, Matarygin, Murawjew— to oficerowie, ludzie „czynu“, bez djalektyki, bez zbytniej zręczności życiowej. Potrzeba im

„intellektualnego kierownika“. Takim może być człowiek o hamsunowskiem nazwisku Harenze; trochę już „nie świeży“, ale jeszcze młody, i w oczach prostaków-oficerów układny i dystyngowany; student, bo już nosi czapkę studentów politechników warszawskich, choć jeszcze nie ma do tego prawa i nigdy go mieć nie będzie; deklamujący, prawdopodobnie, Puszkina, i jego „nas wozwyszajuszczy obman“, ale, zapewne, nie gardzący i mniej teorytycznemi i poetycznemi kombinacjami. Ten da radę, pokieruje, pójdzie na spytki, nada przyzwoity koloryt rzeczy wątpliwej: z Bogomołowym pójdzie z uprzednią inspekcyjną wizytą do Paczuskich, niby osoba oficjalna; rozejrzy się w mieszkaniu, zacznie coś mówić, ale nie skończy; zaprodukuje, zresztą nieśmiało, swoje prawo do wtrącania się do cudzych spraw i do obliczania cudzych pieniędzy i do wyrokowania, co z temi pieniędzmi czynić należy. I kiedy wszyscy inni siądą na ławie oskarżonych — Harenze będzie świadczył — pod przysięgą.

Tedy 28 stycznia roku 1923 o 4-ej popołudniu Matarygin i Tronow przyszli do starego Paczuskiego na Marcinkowską ulicę na Pradze, zażądali „walizki z dolarami“, pokazali rewolwer, jako „legitymację“ funkcjonarjuszów defenzywy, za jakich się podali. Tronow czekał w pierwszym pokoju, Matarygin w drugim szamotał się ze starym Paczuskim; zranił go nawet, podobno, choć sam Paczuski nie wie gdzie, i co stało się z kulą; choć już dzisiaj, w kilka tygodni po wypadku, lekarz nie może znaleść śladów rany.

Szamotał się także Matarygin z rozbudzoną „baleryną“, która drapała go, kąsała i kopała nogami; ale nie strzelał do niej; nie chciał czy nie mógł, bo druga kula się zacięła i już nie wyszła. Doczekali się obydwaj, że kobieta wybiegła na balkon i zawołała o pomoc. Tronow i Matarygin wybiegli z mieszkania, rozbiegli się w różne strony, ale tłum ich gonił i dopędził. Matarygina aresztowano, Tronow skoczył do jakiegoś powozu, wystrzelił zeń do tłumu, do policjanta, później wyszedł z wehikułu, stanął, nogę na nogę założył, głowę do góry podniósł i wystrzelił sobie w usta.

Bandyci, bez wątpienia. Ale dziwni bandyci. Przyszli dla rabunku z rewolwerami — ale nie zdobyli się nawet na związanie i obezwładnienie cherlawego, starego człowieka i chudziutkiej, rozwrzeszczanej kobiety. Jeden się szamoce, a drugi, z nabitym rewolwerem nie przyjdzie nawet z pomocą. Kobieta drapie i kąsa, bandyta opędza się, z tyłu gnębi go starzec — a reakcji żadnej, prócz jednego przypadkowego strzału, o którym nikt nie wie. co to był za strzał, ani bandyta, ani ofiara.

Oczywiście, ich zbrodniczej romantyczności obcą była chęć zabójstwa. Uwierzyli w miljardy, uwierzyli, że strach Paczuskich odrazu im je odda. A kiedy natrafili na opór — stracili busolę. Drapanie i kąsanie kobiety, ataki poczynane przeważnie w kierunku oficerskiego nosa przez zalęknionego, ale nie tchórzliwego starego człowieka—ocuciły kryminalnych romantyków. W zetknięciu z rzeczywistością, zrozumieli, zdaje się,

że czyn ich był tylko krwawym i śmiesznym anachronizmem. Chcieli uciec — nie mogli. Ten, który mógł się zabić — uczynił to. Matarygin powiada, że, widząc niepowodzenie, chciał też palnąć sobie w łeb. Ale już nie mógł; rewolwer odmówił mu posłuszeństwa. Może to prawda. Przecież Tronow znalazł w sobie dosyć odwagi, aby nie doczekać się ławy oskarżonych. Dajmy trochę wiary i drugiemu bandycie. Przecież przy najdrobniejszej pomocy Tronowa, Matarygin, gdyby miał krwiożercze zamiary — dopiąłby swego. Córka Paczuskiego bodaj łudzi się, mówiąc, że bandyta chciał ją zabić. Gdyby chciał, to by to było zrobione.

A Murawjew i Bogomołow? Jeden czekał w pobliskiej kawiarni, aż przyjaciele jego zakończą „rewizję", której mieli dokonać u Paczuskich, jako funkcjonarjusze defenzywy; Murawjew wierzył, że piastują taką godność. Bogomołow zapiera się wszelkiego udziału w sprawie; opowiedział o miljardach Paczuskiego, dał adresy, był u Paczuskich, ale o napadzie nie wiedział. A obrońca jego, adwokat Eborowicz, dowodził przed sądem, że rola Bogomołowa, jeśli nawet w nim widzieć podżegacza nieświadomego, z prawa karaną być nie może; gdyż ten rodzaj niebezpośredniego udziału w rabunku nie jest opatrzony sankcją w kodeksie. To samo tyczy się Murawjewa.

P. prokurator Wójcicki żądał surowej kary dla wszystkich, ale nie domagał się kary śmierci nawet dla Matarygina. Obrońca Matarygina adw. Grosglik żarliwie przemawiał za swego klijenta.

Adwokat Cezary Jellenta bronił Murawjewa. Jest to wielka satysfakcja słyszeć obrońcę, który jest nietylko fachowym adwokatem. Bo jeśli człowiek z początku bierze sobie zajęcie, to później zajęcie bierze człowieka i urabia go wedle swojej modły. Dla obrońcy ta modła — to pewna oschłość, fachowość wzruszenia, zbytnia zręczność sposobów. P. Jellenta nie ma tych braków, co są uważane za fachowe zalety; broni ze świeżością niezużytej wrażliwości, z wysokim poziomem bardzo nawykłej do rozbioru myśli, z umiejętnością tego uogólnienia — co tak wiele wyjaśnia *).

---

*) Matarygin skazany został na karę dożywotniego więzienia. Murawjew i Bogomołow zostali uniewinnieni. Po ogłoszeniu wyroku Matarygin głośno dziękował „polskiemu sądowi“ za sprawiedliwy i ludzki wyrok.

W sądzie trybu zwykłego.

Zabójstwo bibljofila Smolikowskiego.

Ponura i wstrętna opowieść; starzec siedemdziesięcioletni, niegdyś uczony, z wiekiem zwyrodniał w najobrzydliwszy automat; odosobniony, w brudzie i zaduchu, ze zgryźliwą niechęcią do ludzi, siedzi w zapowietrzonem swem mieszkaniu na Chmielnej; skąpy aż do podłości, nie dopuszcza nikogo do siebie, z interesantami rozmawia przez lufcik; oddawna zobojętniał do wszystkiego, co się dzieje naokół, oddawna umarł dla świata; z przeszłej pracy umysłowej pozostały mu tylko bezduszne przyzwyczajenia do nikomu niepotrzebnych, żadnego celu nie mających, ćwiczeń erudycji.

Jedno tylko galwanizuje tego żywego trupa — nieopanowane zboczenie zmysłów, jakby pogardliwie urągające normalnym prawom wieku. Dla tego zboczenia, dla swej pasji do Wenus ulicznej, starzec zapomina nietylko o godności, o siwych swych włosach, ale nawet o zwykłej ostrożności; dla niej otwiera już nie lufcik, ale szeroko drzwi swego mieszkania; szeroko, — bo

zwodnicza żarłoczność chorego instynktu nie zadowala się jednocześnie tylko jednym objektem.

Z bagna ulicznej rozpusty schodzą się do starca młode, bardzo młode dziewczęta dla szklanki herbaty bez cukru, — bo żadna inna namiętność nie zagłusza skąpstwa — dla kilku groszy, dla tego, aby w słotny dzień z beznadziejnych placówek na rogach ulic odejść na chwilę do suchego mieszkania. A kiedy po smutnych swych zwycięstwach, starzec, ex-uczony bibljofil, u którego już wszystko zamieniło się w dziwactwo i manję — zapisuje w osobliwym djarjuszu imiona, nazwiska i adresy swych przygodnych towarzyszek — *mille e tre!* — te ostatnie rozglądają się dokoła z nienawiścią, z odrazą, ze wstrętem — i z chciwością. W mieszkaniu dobrobyt; piękne meble, cenne rzeczy — i ohydny człowiek. W głowie nieszczęsnego, znieprawionego stworzenia, które tu przyszło do tego człowieka — z fatalną koniecznością musiała nieraz powstać myśl straszna. I kiedy 20 października 1920 roku znaleziono z rana na podłodze zamordowanego p. Smolikowskiego — stało się to, co z fatalną koniecznością stać się musiało. Sprawiedliwość, która nie moralizuje, ale broni społecznego porządku i bezpieczeństwa, zabójców nie odnalazła, jakkolwiek uczestniczkę mordu, Helenę Gruszczyńską, wkrótce po zabójstwie wykryto i aresztowano. Była to jedna ze zwykłych „gości“ zabitego; wiedziała o wszystkiem, bo nie przeczyła, że była obecną przy scenie zabójstwa; ale pozatem w niczem spra-

wiedliwości nie pomogła, nie powiedziała nic prócz tego, co chciała powiedzieć. Jej sprzeczne, często bałamutne zeznania, zupełnie niesprawdzalne, albo oczywiście nieprawdziwe, zbiły nieco z tropu sprawiedliwość. Nie można było przypuszczać, że Gruszczyńska zabiła sama; miała lat szesnaście. drobna, wątła, nie miała dostatecznej siły fizycznej i zresztą oględziny trupa kazały wnioskować o udziale kilku osób w zabójstwie. Ale już nie udało się sprawdzić zapewnień Gruszczyńskiej, że zabijali trzej mężczyżni, a dwie kobiety, prócz oskarżonej, były przy tem obecne. Prawdopodobnie zręczność władz policyjnych, które zapoczątkowały śledztwo, nie była kilka lat temu tak wielką, jak obecnie. Gorliwości coprawda nie brakło, ale nie zawsze była ona odpowiednio skierowaną; tak wnosić należy ze skarg świadka, Antoniny Czyżyk, pobitej przez ajentów za to, że nie przyznała się do tego, czego nie popełniła. Taka forma gorliwości, wogóle mało celowa, prawdziwego sprytu w dochodzeniu nie zastąpi — i Helenę Gruszczyńską sądzono bez nieodszukanych współwinowajców. Sąd Okręgowy skazał ją za nieistotną pomoc w zabójstwie na 5 lat więzienia w domu poprawy.

W Sądzie Apelacyjnym Helena Gruszczyńska prosiła o złagodzenie wyroku. W atmosferze bladego, beznamiętnego przewodu apelacyjnego dalekim wydał się straszny akt morderstwa. Natomiast realnem cierpienie i skrucha oskarżonej, która dziś ma dopiero 18 lat; a opowiadaniem swem poruszyła struny współczucia losom bez-

domnych, osieroconych, nieszczęśliwych, rzuconych na pastwę nędzy i brudnych pokus. Opowiedziała, jak prędko i ostatecznie stoczyła się na dno; jak stała się łupem wymagającego i bezczelnego kochanka, jak po częstych odwiedzinach u Smolikowskiego — umówiła się z dwiema innemi kobietami i z trzema chłopcami, pomiędzy którymi był jej „Józiek“, że okradną starego; jak przyszła do niego z towarzyszkami; jak, po zwykłych bezeceństwach, jedna z kobiet pod pretekstem bólu głowy wyszła na podwórko, otworzyła drzwi, wpuściła mężczyzn. A ci rzucili się na starca i udusili go. Oskarżona płacze, zanosi się; w głosie jej słychać nuty szczere i mękę prostaczego serca. Ale, swoją drogą, prawdy całej oskarżona nie mówi. Może rzeczywiście jej nie wie. O „Józku“ wie tylko, że „jego stryjek ma razurę na Nowym Świecie“; o kobiecie, która otworzyła dzwi, że ją zwą Ańdzką; o pozostałych — nic. Może to prawda; w świecie Heleny Gruszczyńskiej legitymacji nie potrzeba; im kto gorszy, tem lepszy; i nie potrzeba wcale „poznać dowoli“, zanim się przystąpi do wspólnej zbrodni. Wszystkie te znajomości, z wyjątkiem chyba „Józka“ mogły być zawarte naprędce; a jeśli oskarżona nic nie chce powiedzieć o „Józku“, to może dlatego, że pozostaje nadal pod jego terrorem. A może serce, po swojemu kochające i lojalne, na to nie pozwala.

Sąd apelacyjny pod przewodnictwem sędziego Sztajera ulitował się nad nieszczęsną, choć występną dziewczyną.

Zgodnie z wnioskiem prokuratora Michelisa,

zmniejszył jej karę do 3 lat więzienia w domu poprawy, z zaliczeniem odbytego prewencyjnego aresztu. Serdeczna i śmiała mowa obrońcy z urzędu adw. Śliwińskiego*) przyczyniła się do tego rezultatu: jakkolwiek sąd nie zgodził się z wywodem obrońcy, że oskarżona, która „umawiała“ się ze wspólnikami o dokonanie kradzieży, nie powinna odpowiadać za udział w zabójstwie, którego nie chciała, nie przewidziała. Sąd uznał, że tego rodzaju „umowy“ nie mogą być traktowane jak umowy z prawa cywilnego — wedle ścisłej ich treści. Instynkt moralny powinien ostrzedz o możliwości przekroczenia zbrodniczej „umowy“ i wstrzymać od jej zawarcia.

Za półtora roku Helena Gruszczyńska odzyska wolność.**).

*) Obecnie Sędzia Sądu Najwyższego.
**) Już ją odzyskała.

Kto zamordował „rezerwistkę"?

Jest to spadek, który sądy polskie otrzymały z granic dawnego Imperjum; rosyjski sędzia śledczy miał dochodzić o winie Stanisława Rogala; rosyjska sprawiedliwość miała ukarać tego, kto w maju 1917 roku, we wsi Władysławowo, tuż obok Mińska Litewskiego, zamordował młodą 30 letnią kobietę, Majewską. Ale nadchodziła chmura rozprzężenia, które w niwecz obróciło jeszcze niedawno groźną potęgę rosyjską—i rosyjska sprawiedliwość, jedyna może, która w tem państwie długo i dosyć wytrwale zachowywała decorum bezstronności, już nie miała ani dosyć energji, ani przekonania o swej trwałości, aby energicznie dochodzić, uparcie ścigać, niezmącenie karać. Jeszcze kilka miesięcy i ustąpi ona miejsca organizowanej namiętności, najnikczemniej pojmowanemu utilitaryzmowi rozjuszonej politycznej żądzy. Taka sprawiedliwość nie dbała o to, kto zabił Majewską.

A zabito ją ohydnie. Z rozwaloną głową, z sześciu strasznemi ranami, zadanemi siekierą,

z połamanemi nogami wtłoczono ją gwałtem do wązkiej, krótkiej jamy, którą kopano z pośpiechem, z przerażeniem, drżącemi rekoma. Ten, kto ją przyniósł już martwą, musiał ją oprzeć o pobliski parkan, może w pozycji stojącej, a kiedy zwlókł trupa do jamy, na parkanie pozostał krwawy ślad: bluzka zabitej, czy też łachman tej bluzki, oderwany od brutalnie ciągnionego ciała. Ta bluzka wyda mordercę.

Kobieta była młoda i rosła. Mąż jej był na wojnie i dla tego zwali ją „rezerwistką". Do jej chałupy wniósł się i zamieszkał w niej młody, dwudziestoletni chłopak, Stanisław Rogal, który opuścił Polskę z najściem Niemców i wraz ze swoim pracodawcą, inżynierem Rudnickim, wyjechał do Rosji. Był fornalem inżyniera Rudnickiego, który urzędował na kolei; został też, rozumie się, kochankiem „rezerwistki". I nie tylko sam jeden; we wsi na służbie u innego urzędnika znajdował się lokaj, młody człowiek nieznanego, lub często zmienianego nazwiska, imieniem Karol, rówieśnik Rogala. I ten również miał wszystkie względy Majewskiej.

Kiedy pewnego majowego poranku siostra Majewskiej zastukała do jej okna i w komnacie nikogo nie było, prócz Rogala, instynkt tłumu, zawsze prostaczego i naturalnie łaknącego sprawiedliwości, odrazu poczuł zbrodnię. Szukano Majewskiej z niesłabnącą gorliwością; po pięciu latach świadkowie tej sceny mówią o niej ze wzruszeniem, które się udziela. Szukał Rogal, ale nie tam, gdzie się trup znajdował; szukał Karol, który zachowywał się niespokojnie. A kie-

dy tłum dotarł do parkanu i odnalazł krwawą bluzkę, a w chwilę potem znalazł świeżo skopaną jamę, Rogal, jeden z kochanków zabitej, zerwał się i uciekł. Uciekł o 100 wiorst, błąkał się, był aresztowany, znowu uciekł; później wstąpił do armji polskiej, później wrócił do Polski. I na dawnych śmieciach, gdzie się może czuł bezpiecznym i gdzie sądził, że zapomniano o okrutnem zabójstwie, ale gdzie wspomnienie okropnego widoku poszarpanej kobiety musiało niejednokrotnie dręczyć, jak zmora, tych, kto był świadkiem odkopania ofiary — powszechny głos wskazał na niego, jak na mordercę. Polska sprawiedliwość podjęła na nowo sprawę zabójstwa Majewskiej.

Sprawa Stanisława Rogala, skazanego przez sąd okręgowy na 15 lat ciężkiego więzienia za zabójstwo z chęci zysku, była rozpatrywana przez Sąd Apelacyjny warszawski. Przewodniczył sędzia Alchimowicz; podprokurator Smogorzewski popierał oskarżenie. Sąd zatwierdził wyrok pierwszej instancji; nie zgodził się, oczywiście słusznie, z wywodem obrony z urzędu. Ta ostatnia mówiła: w spadku po rosyjskiem śledztwie są luki nie do zapełnienia. Nie wiemy, co ono dało; świadkowie mówią: „śledztwo rosyjskie ustaliło, że Rogal zabił Majewską podczas snu, że to Rogal ją zabił". Ale to nie są świadkowie śledztwa; takich ustawa nie zna. To są tylko świadkowie faktów ubocznych, a fakty te pozostawiają w sprawie jakąś drażniącą tajemnicę. Kto to jest Rogal? Przyjechał on z Polski pod Mińsk Litewski; o nim i o jego rodzicach, któ-

rzy zamieszkali w 1917 roku o 100 wiorst od syna, można było, trzeba było zebrać wiadomości, któreby rozświetliły może, jak to się stało, że ten młody człowiek stał się odrazu okrutnym zabójcą? Jeszcze dziś możnaby to zrobić. Zabił dla tego, aby zabrać Majewskiej 2,000 rubli, które „podobno“ ona miała u siebie? Tak mówiła „jedna pani, pewna osoba". Jedna pani, pewna osoba! Ale jeżeli śledztwo rosyjskie ustaliło, że Rogal zabił ją śpiącą — Rogal, który był kochankiem Majewskiej, to czyż nie mógł skorzystać z tego snu, aby ją okraść? I czy ta „pewna osoba, jedna pani", nie jest wielką luką śledztwa?

Rogal uciekł. Oczywiście, to wielka poszlaka; zresztą, nie ulega wątpliwości, że Rogal brał udział w zabójstwie, Ale czy zabił sam, czy zabił, żeby okraść?

Karol dzielił z Rogalem względy Majewskiej. Karol nie uciekł. Ale wieczora, poprzedzającego znalezienie trupa, Karol był nerwowy, niespokojny; coś go gnębiło; przypuszczają, że był on świadkiem morderstwa. Świadkiem milczącym — dla czego? Dla czego ten człowiek, którego nazwiska nikt nie zna, którego wieku nikt dobrze nie określa, który niewiadomo skąd przyszedł i który już nigdy nie powrócił pośród swoich — jak to zrobił Rogal — ma takich obrońców, że, nawet podejrzewając w nim dezertera, dają mu tylko lat 15! Jeżeli miał lat 15, nie potrzebował obawiać się poboru; ale, jeśli tak umiejętnie ukrywał swoją tożsamość — mógł być zbrodniarzem. Wytrzymalszym, mniej nerwowym,

bardziej panującym nad sobą, niż Rogal. Jaka brutalna, obrzydliwa tajemnica spowodowoła, że pośród tych dwóch ludzi, jednego impulsywnego, drugiego nadto rozważnego — młoda kobieta znalazła okropną śmierć? Może jaka brutalna złość dwojga samców przyniosła zgubę nieszczęsnej kobiecie, na której męczarnie patrzyły niewinne oczki trzyletniej córeczki!

Jakąkolwiek jest tajemnica mordu Majewskiej, Sąd Apelacyjny orzekł, że Rogal zasłużył na 15 lat ciężkiego więzienia.

Obronę z urzędu wnosił adwokat Leon Okręt.

Niedobrane małżeństwo. *)

Małżeństwo rotmistrza i jego młodej żony nie było niedobrane; było to — (słuszność miał adwokat Nowodworski, obrońca rotmistrza) — „małżeństwo, jakich wiele". Było to małżeństwo z miłości, i rozumie się — nieszczęśliwe. *Quien se casa por amores, ha de vivir con dolores,* mówią hiszpanie: „kto się żeni z miłości, żyje z cierpieniem". Wszelkie bowiem drogi prowadzą małżeństwo z miłości do nieszczęścia; i samo ustanie miłości jest już dostatecznem nieszczęściem. Droga małżonków Schmidtów do nieszczęścia była szczególna i frapująca; a na ostatnim etapie tej drogi przelana cudza krew — na zawsze — chyba — skierowała małżonków w rożne strony.

Właściwie, była to tylko zapowiedź małżeństwa. Młody mąż w roku ślubu i roku pierwszej rosyjskiej rewolucji, był oficerem rosyjskiej armji. która, wśród tumultu i zgiełku dziejowego, po kilkakrotnem pasowaniu się z własnemi niedomaganiami, dawała za wygranę chęci wytrwania

*) Sprawa porucznika Leona Schmidta o zabójstwo Jana Starczewskiego. Zabójstwo miało miejsce w Kijowie w 1918 roku.

i dyscyplinie ducha. A bezpośrednim ośrodkiem, gdzie pracował — służył — rotmistrz Schmidt, była ta dziwna dywizja, z upodobaniem nosząca miano „dzikiej“, o której kiedyś historja z ciekawością pomówi. Ale już obecnie wiemy o niej aż nadto, że na wojnę patrzyła nie tyle jak na szkołę poświęcenia, ile jak na teren wybujałości dla jednostki, wybujałości mało okiełzanej i sprzeciwu nie znoszącej. Rycerz Bayard, bez strachu i bez zarzutu, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, nieszczególnieby się czuł w „dzikiej dywizji“. Nie była ona, w każdym razie, szkołą cnót domowych. Zwłaszcza, jeśli młody małżonek, prawie wprost od ślubu, za nią podążył, i nigdy nie miał możności utworzenia choćby podobizny domowego ogniska. W rzadkich razach, kiedy wracał do Kijowa, mieszkał u matki; żona—u ojca, doktora Sągajły.

Młodzi się kochali; żona pisała „że nikogo-by nie oddała za Leona“. Rotmistrz był i jest piękny, rycersko układny i ujmujący człowiek. Kiedy chciał się przedostać do Kijowa z Kaukazu, bolszewicy nie puszczali go, podejrzewając w nim „wielkiego księcia“. Rzeczywiście, wygląda na młodego Romanowa z „dobrej“ epoki, nie zdeformowanego jeszcze alkoholem i jadłem. A wówczas, kiedy jego młodą głowę otaczał nimbus bohaterstwa w powszechnej wojnie, skąd miała powstać dla Polski lepsza dola — cóż dziwnego, że młoda kobieca wyobraźnia ukochała w nim wszystko, nawet wady, zwłaszcza wady, tę wybujałość, ten egotyczny pęd woli, tę kapryśną niechęć do wszystkiego, co nie jest siłą...

Z chwilą, kiedy rosyjskie oficerstwo zostało rozbrojone, dziesiątkowane, niszczone, kiedy wobec okropności bolszewizmu nie umiało i nie mogło, opuszczone od żołnierza, wznieść się nad smutny tragizm swego losu — wyobraźnia niewieścia, skąd zwykle droga prowadzi do serca — musiała przeboleć niejedno rozczarowanie. Z bengalskiego ognia marsowej potęgi nic nie zostało. A rosyjski oficer Polak, który jeszcze nie został polskim żołnierzem i jeszcze nie walczył w szeregach swoich, a błąkał się w nieokreślonych zajęciach, w pozbawionym odznak mundurze — musiał stracić cały swój urok, zwłaszcza jeśli nie miał w zapasie do pomocy zalet tkliwości i oddania, i zasług pieczy i troskliwości...

Samotna małżonka, do której czasami tylko „dojeżdzał“ mąż , zrządzeniem wypadku przez dłuższy czas miała tuż obok siebie człowieka zupełnie innego. Jan Starczewski, młody 27-letni prawnik, „poważny, uczuciowy”, jak go malują świadkowie, był niejako wcieleniem intelektu i serca dla młodej osoby, niezbyt głębokiej, ale dosyć wrażliwej, dla której rotmistrz zdawał się już, oczywiście, zbankrutowanem wcieleniem fizycznej siły i połączonych z nią kaprysów. Na tym gruncie, przy pomocy wiecznie namiącej ułudy instynktu, mogła powstać i powstała tragiczna w następstwach miłość lokatora Starczewskiego do córki gospodarza domu, doktora Sągajło — pani rotmistrzowej.

Że pani rotmistrzowa pokochała Starczewskiego, wiemy z jej listów. Ale całkowitą tajem-

nicę stosunku młodych ludzi znają tylko małżonkowie Schmidt — dotychczas nierozwiedzeni. Miłość pani Schmidtowej nie miała cech tej fatalnej grozy, która ciągnie za sobą dramat. Listy jej są miłe, lekkie, sympatyczne; autorka ich jest wesoła, z uśmiechem mówi o rzeczach poważnych i dużo miejsca udziela „rzeczom łatwym". Ojciec zabitego przez rotmistrza jej „Janka" z goryczą mówił na sądzie, że może lepiej się stało, iż syn nie żyje, bo z listów pani Schmidtowej można o niej sądzić, jako o stworzeniu lekkomyślnem i ograniczonem. Ciągle spacery, ciągle „lody u George'a w cukierni". Ale jest w nich oprócz tego wdzięczna poezja, trochę nikła, wdzięcznego, szczebioczącego stworzenia, szczerego i z pewnem dążeniem do czegoś lepszego. Nieliczne są kobiety, dla których warto umierać; liczniejsze te, dla których przyjemnie jest żyć.

Taką była pani Schmidtowa. Umierać nie warto było dla niej, bo kiedy rażony kulą rotmistrza biedny Jan Starczewski umierał w szpitalu, ta, dla której ginął, chociaż uważała go za swego przyszłego męża, chociaż dla niego, żeby łatwiej uzyskać rozwód, przyjęła inną wiarę—nie znalazła w sobie dosyć odwagi, aby odwiedzić go, choćby pocieszyć kochającem spojrzeniem. Niedawno przedtem, zaproszona do teściowej, z którą jeszcze łączyły ją węzły szacunku i sympatji, nie miała odwagi pójść; później nie znajdzie odwagi, aby zapomnieć o konwenansie w obliczu śmierci. Słaba kobieta. Dla kogo zginął Starczewski!

Ojciec zabitego, przyjaciele jego z zupełną

pewnością utrzymują, że stosunek młodych ludzi był platoniczny, że Jan Starczewski był niesłychanie skromny, miał cześć dla kobiety, niczem nie przypominał typu uwodziciela. To wszystko jest, najwidoczniej, zupełnie możliwe, ale co może wiedzieć ojcowska boleść i gorycz przyjaciół o tajemnicy stosunku syna i przyjaciela do ukochanej i szanowanej kobiety? Są to rzeczy, gdzie nic twierdzić nie można, nawet gdyby jakiś ustęp z listu rotmistrzowej, nie cytowany dosłownie przez adwokata Nowodworskiego, ale, oczywiście, znamienny, skoro powołał się nań obrońca, prosząc sąd o odczytanie go, kiedy znajdzie się w sali narad — nie mówił, że młoda krew nie zawsze da się okiełznać... Starczewski widział w rotmistrzowej swoją przyszłą żonę, o ona w nim swego przyszłego męża; w takich razach, im więcej się kocha kobietę, tem bardziej szanuje się tajemnicę jej wstydu,—nawet wobec najbliższych.

Jan Starczewski, jakkolwiek mądry, prawy i szlachetny, był, zdaje się zbyt młody i zbyt obcy rzeczom uczucia. Gdyby wiedział, że zazdrość męża może przetrwać nawet rozłąkę i każdej chwili może zbudzić się z całą gwałtownością, dopóki wspomnień miłości małżeńskiej nie przykryje „zapomnienia fala" i że taka zazdrość ma swoją odwieczną rację rzeczy naturalnych i pierwotnych — powstrzymałby się, zanim by, z naiwnością niedoświadczonego mężczyzny, oddał się słodyczy uczucia względem kobiety niewolnej. To samo, co by mu mogła podyktować głęboka i subtelna mądrość psychologiczna, to samo znalazłby i w kanonach tradvcyjnej wiary

swego otoczenia. Prócz tego i Starczewski i otaczający nie rozumieli zupełnie, po swojemu skomplikowanej, natury rotmistrza Schmidta; w jego wybrykach i szamotaniu się i rycersko-oficerskich wymaganiach widzieli tylko nieznośne przejawy nieznośnego charakteru; a były to krzyki bólu człowieka bezsilnego i upokorzonego—może w swem uczuciu, bezwarunkowo w swej miłości własnej. Rotmistrz znał tylko utarte drogi do swej własnej rehabilitacji--pojedynek. I to zaproponował rywalom. Tę niedoskonałą, barbarzyńską formę naprawiania rzeczy, których już nic naprawić nie może, powinien był przyjąć Starczewski. Nie zrobił tego; jego natura „intelektuela" kazała mu liczyć się tylko z żoną — i gardzić mężem. Rotmistrz, przy całej swej niesforności, i swej tradycyjnej, trochę napuszonej wierze w „kodeksy honoru Pomiana" i innych, gwałtem ciągnął rywala na teren. „Intelektuele"—sam Starczewski, jego sekundanci, przyjaciele, naiwnie rozważali rzeczy ze stanowiska wszystkich logik, prócz logiki uczucia mężowskiego — logiki niebezpiecznej i bez formuły. Nie dopuścili do pojedynku. Dla tego Starczewski, który mógł zginąć w pojedynku, ale mógł i nie zginąć—musiał zginąć od kuli zabójcy. Jak można było ignorować szczerość zazdrości młodego mężczyzny, który mógł mieć narowy, nabyte w „dzikiej dywizji", ale szedł z dobrego gniazda, nie miał czasu w życiu zatracić bezpośredniości uczuć — i jeszcze niedawno był kochanym mężem kochającej żony? Jak można było inie liczyć się, w otoczeniu skądinąd uczciwem zacnem — z taką prawdą?

Matka Schmidta i ojciec Starczewskiego uradzili, że młody Starczewski zniknie z horyzontu, aby dać możność małżonkom pogodzić się. Czy o tem wiedział rotmistrz? Wątpliwe; w każdym razie nie wiedział, że zniknięcie Starczewskiego ograniczone jest trzymiesięcznym terminem. I kiedy w święta Bożego Narodzenia 1918 roku przyjechał nagle do Kijowa, udał się do żony i zastał tam Starczewskiego, którego, oczywiście, wezwała nierozmyślna żona rotmistrza — wyjął rewolwer i wystrzelił. Zapomniał o tem, że sam już się zgadzał na rozwód, może wierzył w możność zupełnego cofnięcia tego, do dziś jeszcze, niedokonanego rozwodu; może jeszcze wierzył w możność pogodzenia się z żoną; nieoczekiwana obecność Starczewskiego wzbudziła afekt — i wystrzał zawsze gotowego do strzału rewolweru.

Gdyby lekarze otworzyli jamę brzuszną — mówi biegły — nie czekając na ujawnienie zapalnego procesu; (wszak otwarcie tej jamy dokonywa się nawet w rozpoznawczych celach) — pokarm, znajdujący się w żołądku nie wylałby się do jamy otrzewnej, nie spowodowałby infekcji; nie bacząc na ranę w żołądku, Starczewski byłby uratowany.

Adwokat Jan Nowodworski wniósł obronę rotmistrza Schmidta, która może być wzorem dosadnej, rozumnej, szlachetnej, celowej — i oszczędnej obrony. P. prokurator Sztejnman z powagą i siłą oskarżał rotmistrza. Adwokat Żegilewicz w imieniu rodziny zabitego z szczerem wzruszeniem żądał sprawiedliwości.

Rotmistrz skazany został na rok i cztery miesiące twierdzy.

Sprawa Przybylskiego i Wereszczyńskiej.

Porucznik Wereszczyński już kilka miesięcy temu za olbrzymie swe defraudacje został rostrzelany z wyroku sądu wojskowego; ci, kogo sprawiedliwość uważała za jego wspólników, dopiero kilka dni temu siedli na ławie oskarżonych Sądu Okręgowego. Natychmiastowość wykonania wyroku sądu wojskowego pozbawiła sprawiedliwość najplastyczniejszego dowodu: głosu żywego człowieka, który zarzuca współwinę swemu wspólnikowi. Paradoksy nieujednostajnionych naszych ustaw spowodowały, że, w jednej i tej samej sprawie, współwinowajcy sądzeni są w rozmaitych sądach w rozmaite chwile. Trzeba się z tem do czasu pogodzić; gdyby porucznik Wereszczyński nie został stracony, ale w toku śledztwa zachorował, umarł i osierocił śledztwo, — sytuacja byłaby taka sama. Jest ona ze wszelkiego względu dla sprawiedliwości niekorzystna i drastyczna.

Bo oto przewód chwilami wyradza się w wątpliwej wartości egzegezę już mało sprawdzalnych zeznań zmarłego człowieka. Porucznik Wereszczyński wielokrotnie zeznawał obiążająco dla

swego szwagra Tadeusza Przybylskiego; oddał mu przecież przeszło 19.000.000 marek skarbowego pieniądza. I wielokrotnie również cofał swe zeznanie; w toku śledztwa, pod ciśnieniem wyrzutów sumienia. czy też pod ciśnieniem przeświadczenia, że już niczyja współwina losu jego, Wereszczyńskiego, nie uratuje — świadczył: nic nie dawałem Przybylskiemu. Już wobec sądu wahał się i mieniał; dopóki życiowe względy miały dlań jakiegokolwiek jeszcze znaczenie, nie mógł się zatrzymać na ostatecznej wersji; kiedy mówił prawdę, kiedy kłamał — wiedział tylko on sam — i Przybylski. Skazany na śmierć, w przeddzień egzekucji, zapytywany jeszcze raz, ostatni, przez sprawiedliwość, gdzie jest prawda, zamknął się w pogardliwem, czy zniechęconem milczeniu: nic nie wiem, nic nie powiem. I każda ze stron obecnie szuka poparcia w tym pozagrobowym głosie, który, niestety, nie staje się dowodniejszym dla tego tylko, że jest głosem z za grobu.

Ale, prócz zeznań zmarłego, które są zmienne, prócz grozy wykonanego wyroku śmierci, który, jednakowoż, był tylko wyrokiem ludzi, świadczy papier: trzy czeki na sumę 19 miljonów mk., wydane przez zarząd gospodarczy wojskowy Warszawa — Powązki, podpisane przez Wereszczyńskiego, podniesione przez Tadeusza Przybylskiego, przezeń pokwitowane. Zatem niewątpliwa, że pieniądze skarbu przeszły do Przybylskiego, któremu nic się od skarbu nie należało i przeszły dzięki Wereszczyńskiemu, który notorycznie dla Przybylskiego nie mógł być gospo-

darzem i właścicielem tych pieniędzy. Tutaj głos pozagrobowy, o ile oskarża Przybylskiego, nabiera osobliwej powagi.

Jeszcze jedno widmo, jak wymownie powiedział oskarżyciel państwowy, p. Wasserberger, ukazuje się w tej sprawie. Widmo nazawsze zaginionego, bezpowrotnie złożonego do archiwum przeszłości — dobrego, solidnego ładu ekonomicznego, kiedy to wszyscy wiedzieli, dla czego bogatym jest ten nasz sąsiad, a biednym tamten — skąd, z jakiego powodzenia, z jakiej zasługi lub z jakiej podłości idzie mająteк tego lub ubóstwo tamtego? Czasy dobrego ładu ekonomicznego, kiedy wczorajszy drobny urzędnik kolei, pracujący u „wagi", nie dostawał odrazu „dzięki kłamstwu i protekcji" poważnej koncesji, a dzięki temuż kłamstwu i protekcji i jeszcze dzięki, przywiezionym z Rosji brylantom — (bo jaki szanujący się wygnaniec z Bolszewji, nie przywozi ze sobą do kraju, razem z nienawiścią i pogardą dla bolszewików — przyzwoitej garści brylantów?) nie stawał się w mgnieniu oka eleganckim, energicznym i potężnym przemysłowcem, zlekka zagrożonym perspektywą ławy oskarżonych.

Głos z poza grobu i widmo dawnego składu życia mącą bardziej niż pomagają w zrozumieniu tej sprawy. Ale, koniec końców, da się ona zrozumieć. I zdaje się, że prokurator, który oskarżał, i sąd okręgowy, który skazał Tadeusza Przybylskiego na 4 lata ciężkiego więzienia—zrozumieli ją zgodnie z rzeczywistością. Wina oskarżonego nie jest jaskrawo plastyczną; głosy obrońców: adwokatów Jarosza, Nowodworskiego, pierw-

szy gorący i zniewalający, drugi sarkastyczny i mocny w obnażaniu stron słabych przeciwnika, czasem, zdaje się, mają nieodpartą słuszność. Ale to wrażenie jest zwodnicze. Tadeusz Przybylski brał udział w defraudacji sum skarbowych, powierzonych Wereszczyńskiemu.

Rewolucja w Rosji, powszechne łupieztwo, nienaturalna szybkość wzbogacenia, rozluźnienie wszystkich węzłów, które hamowały żądzę użycia jaknajprędzej i bez wysiłku, dały impuls wielu drobnym i skromnym ludziom do spróbowania szczęścia. Po co się męczyć i pocić — kiedy z trochą czelności i trochą szczęścia można wypłynąć na pełne morze paskarstwa, bogactwa — a z czasem i ludzkiego szacunku? Tadeusz Przybylski po powrocie do kraju z Rosji, z początku szedł jeszcze zwykłą drogą zmudnej pracy; ale porzucił ją prędko. Brat jego był także drobnym urzędnikiem, ale miał zamożnych przyjaciół i umiał wysondować od nich nieco pieniędzy. Porzucił więc pracę około „wagi", razem z bratem otworzyli dom przemysłowo-handlowy. Był on bardziej przemyślny, niż przemysłowy; istniał bardziej dowcipem, niż kapitałami, w oczekiwaniu tej chwili, podobno zdarzającej się w życiu każdego domu handlowego, kiedy to szczęście przechodzi tuż obok i trzeba tylko wyciągnąć rękę i zatrzymać je.

Trzeba zaangażować urzędników. Nic łatwiejszego; sprytny rosyjski żyd, przyjmie posadę prokurenta; o solidności przedsiębiorstwa daje się przekonać szufladą z brylantami, może fałszywemi, z garścią złota, prawdopodobnie poży-

czoną, jak żebraczki najmują dzieci dla wzbudzenia współczucia i trochą towaru, reprezentującego „realność" obrotów. I rozpoczyna się „handel i przemysł".

Wszyscy, kto spekuluje i paskuje — a spekulują i paskują prawie wszyscy — i poważna dama ze świata o czcigodnym wyglądzie i młody człowiek o pięknem nazwisku, korzystający ze swoich znajomości w wojsku, aby od generalnego sztabu dostać niezupełnie legalną przepustkę i zużytkować ją na korzyść handlowego domu Przybylski i S-ka, i prokurent, żyd rosyjski, jako łącznik między światem chrześcijańskim i żydowskim, pomagający wczorajszemu urzędnikowi od „wagi" do zakupienia całej wytwórczości „Zrzeszenia zjednoczonych obuwianych pracowników", co w rezultacie, rozumie się, pali się na panewce — wszyscy, w wywracającym się do góry nogami porządku życia, pomagają Tadeuszowi Przybylskiemu do ufundowania może jakiej przyszłej potężnej dynastji handlowej. Kożuchy, śledzie, obuwie, smary, ryż, guziki, kartofle — wszystko zgarnia się, sprzedaje i kupuje—mozolnie, z trudem, z małemi pieniądzmi, bez pieniędzy. Z początku żadnych ksiąg; później najpotrzebniejsze, odpowiednio stylizowane, napozór takie jak u „prawdziwych", w gruncie mówiące tylko pół prawdy. Byleby tylko doczekać się, kiedy to przyjdzie owo „szczęście"; Tadeusz Przybylski, nie przeoczy go, zatrzyma, a wtedy,—to będzie, obiecuje sobie Przybylski, w lipcu 1921 r., wszystko się zmieni. Będą zrobione wszystkie wykazy, prawdziwy bilans, firma bę-

dzie jak należy zarejestrowana, interes będzie czysty. Tak piękna dama z półświatka, po zdobytej burzliwie fortunie, opuszcza miasto, zrywa ze wszystkiemi kompromitującemi znajomościami, osiada na wsi, ubiera się jak stara arystokratyczna dama i staje się opatrznością parafjan.

Szczęście, rzeczywiście, przyszło. Był nim szwagier Przybylskiego, porucznik Wereszczyński, oficer gospodarczy, z mocy swego urzędu rozporządzający olbrzymiemi sumami. Jego pieniądze — skarbowe — zasilają kasę handlowego domu. Tadeusz Przybylski wyciągnął rękę i zatrzymał przechodzące koło niego szczęście. Dla galerji — i dla sądu — mówi się inaczej; p. Przybylski nie brał pieniędzy od Wereszczyńskiego, przeciwnie, pożyczał Wereszczyńskiemu duże sumy; a Wereszczyński zwracał je czekami gospodarczego wojskowego wydziału. I jakkolwiek dobrze zareżyserowana była ta najgłówniejsza operacja handlowego domu, jakkolwiek, niewątpliwie, widziano Wereszczyńskiego pakującego do walizki pieniądze, brane od Przybylskiego — może to symulacja — może to prowizja Wereszczyńskiego za podjęte z czeku pieniądze — w każdym razie szczęście, zatrzymane przez Przybylskiego, było zawodne i zaprowadziło go do więzienia. Bo oskarżony mógł był pożyczać swemu szwagrowi wielkie sumy — jeśli chciał i jeśli je posiadał, co jest ogromnie wątpliwe; ale nie miał prawa od skromnego, gospodarczego oficera, o ubóstwie którego wiedział, pobierać tych wielkich sum — czekami skarbu na kasy państwowe. Przybylski wiedział, że Wereszczyński płacił cu-

dzemi pieniędzmi—skarbu. Ale Pzybylski nigdy szwagrowi pieniędzy nie pożyczał. Może, gdyby los pozwolił Przybylskiemu doczekać spokojnie 1 lipca, udałoby się oskarżonemu z powodzeniem zlikwidować interesy, zwrócić pieniądze i położyć fundamenty poważnego domu handlowego „T. Przybylski i K-o". Cóż, kiedy Wereszczyńskiego aresztowano w maju.

Na ławie oskarżonych siedzi także żona Wereszczyńskiego. Cała utonęła w kirach, twarzy nie widać, nie zdejmuje rękawiczek przez dwa dni. Nikt o niej nic nie mówi i ona nic nie mówi. Prokurator zrzeka się jej oskarżenia, obrońca adw. Suszka prosi o uniewinnienie, sąd uniewinnia żonę rozstrzelanego, który uiścił się sprawiedliwości za siebie i za żonę.

Pod przewodnictwem sędziego Skawińskiego, Sąd Okręgowy skazał Tadeusza Przybylskiego na trzy lata więzienia. Na skutek wniosku przedstawiciela skarbu, radcy prokuratorji generalnej, p. J. Szteynera, Sąd zasądził skarbowi od Przybylskiego 19.000.000 marek.

Skolimowscy bandyci *).

Kiedy oskarżeni weszli do sali i zasiedli na swych ławach, z pośród licznych świadków rozległy się dwa płacze; zapłakało z początku dziecko, dziesięcioletnia dziewczynka, później starsza kobieta. To mała Irenka Regiel po upływie półtora roku, na sam widok tych ludzi, którzy spowodowali męczarnie i śmierć rodzeństwa—zatrzęsła się od strachu i łkania: podjęła jej krzyk matka. Odtąd rozwiała się ta specyficzna ułuda sal sądowych, dzięki której zbyt często zapomina się o ofiarach, o zamęczonych, o zabitych,

---

*) Sprawa ta nie była sądzono doraźnie, gdyż przez czas długi władze śledcze nie mogły odnaleźć bandytów. Prawie w ciągu roku sprawcy napadu korzystali z bezkarności. Wielu z pośród nich, zwłaszcza herszta Góralskiego, władze gdzeindziej aresztowały za inne zbrodnie. Dla zrozumienia sytuacji, uprzytomnijmy sobie, że p. Fabian Flaum z rodziną sprowadził się do Skolimowa na dwa dni przed napadem. Bandyci znęcali się strasznie nad całą rodziną ale jeszcze, widocznie, nie ostatecznie rozbestwieni, darowali życie wszystkim w mieszkaniu. Związali tylko swe ofiary i wrzucili do piwnicy. Uraczyli się przedtem obficie i wypili wszystko, co było w domu. Od Flaumów, przeszli na młyn do Reglów i tam już bez żadnych względów dali wodze bezlitosnej swej zwierzęcości.

o poszkodowanych i całe ludzkie współczucie idzie ku tym, w krwi i kości siedzącym przed nami znękanym twarzom podsądnych, którym litość nasza rada przypisać głębokie cierpienia i głęboką skruchę. W ciągu dwóch dni z połową ciążyło na sali straszne wspomnienie krwawych zbrodni, dokonanych przez tych ludzi, co tak spokojnie zajęli swoje miejsca i podjęli głosy ku swej obronie. Po kilka razy, podczas wybitnie przejmujących zeznań, coraz to wznawiających grozę wypadków, na sali zapanowywała ta nagła, przenikliwa cisza, która jest wymownym głosem prawdy. W tej sprawie nie może być miejsca owemu „spaczeniu optyki sądowej“, które sentymentalnie przeinacza często okropną doniosłość zbrodni.

Tadeusz Krasnodębski, z małą „lombrozowską“ głową, ale wesołą i pozornie łagodną, z gołą szyją, w przestronnej aresztanckiej kurtce, wygląda jak arlekin i odrazu rozpoczyna swoją, przygotowaną mozolnie w więzieniu, obronę, obliczoną na ludzką psychikę, tak jak ją pojmują więzienni bywalcy; nieprawdopodobną, przewrotną, obliczoną na to, aby wywołać uprzedzenie przeciwko staremu młynarzowi Reglowi, przeciwko nieszczęsnej jego córce. Niemieckie nazwisko Regla daje pochop bandycie do insynuowania jakichś niemieckich, przeciwko-polskich machinacyj, których mścicielem miał być on, Krasnodębski. Młodość zabitej Zofji daje bandycie pochop do insynuacyj, że nieszczęsna ofiara była jednocześnie przedmiotem jego miłosnych westchnień, przyjmowanych bez wstrętu. Nie dosyć, że zabił, czy pozwolił zabić—jeszcze stara się opluć po śmierci.

Franciszek Krasnodębski, dosyć wynędzniały, o ostrej jak brzytwa twarzy, metodycznym głosem zapewnia, że obcy jest napadom i nieprawdą jest, iż sprawcy napadów nocowali u niego w przeddzień zbrodni, że dał im prócz noclegu karabin, że skierował ich ku Flaumom, których rzeczy przywiózł w piątek rano ze stacji do willi, i podziwiał duży „żelazny“ kufer; nieprawdą jest, że wiedział o gotującym się napadzie na młyn; jest człowiekiem uczciwym, porządnym, za zepsucie brata nie odpowiada, o sprawkach jego nie wiedział; prócz żony, dzieci, szewckiego swego rzemiosła niczem się nie interesował. Znają go ludzie w Skolimowie.

Józef Laudański, wysoki, młody, blondyn o długiej i płaskiej twarzy, o „lombrozowskiem“ bogatem owłosieniu na czaszce i z „lombrozowskim“ brakiem zarostu, składnie i ładnie mówiący, klnie się, że był tylko na czatach; ani u Flauma, ani u Regla do wnętrza nie zachodził, nikogo nie mordował, nie znęcał się nad nikim. Był na czatach, tak jak Tadeusz Krasnodębski, a do pokojów wchodzili tylko i sprawcami mordu byli: Walenty Góralski, Tadeusz Góralski i Rybicki — wszyscy trzej już odpowiadają przed Bogiem za swe zbrodnie. Walenty Góralski z wyroku sądu doraźnego za kilkadziesiąt morderstw, zbrodni i napadów.

Jan Gnoiński, fryzjer czy piekarz, może jedno i drugie, żydowski podrzutek w chrześcijańskim przytułku, pretensjonalnie ufryzowany, z zapadłemi oczyma, mową zawiłą i niezrozumiałą, w długiej odezwie do „sądu sprawiedliwości“

klnie się, że także był na czatach. Z brudnym i naiwnym cynizmem nieświadomości mówi o swej prefesjonalnej godności „złodzieja“, która sprzeciwia się, bezwarunkowo, gmatwaniu zawodów i jest rękojmą, że on, Gnoiński, nie zabijał. Miał karabin na czatach i strzelił raz jeden, ale nieostrożnie; nie mordował nikogo; wystrzał jego trafił w okiennicę domu Reglów, ale to przypadkiem.

Godlewski, młody człowiek, odpowiadający z wolności, broni się: przypuszczał, że sprawcami napadu byli Krasnodębski i Laudański; przypuszczenie wyrażał w rozmowie z żoną: stało się to uboczną przyczyną zaaresztowania wszystkich bandytów; ale pewności nie miał i nie był powiadomionym o gotującym się napadzie i żadnego w nim udziału nie brał.

W ciągu zmornych dni przewodu sądowego patrzyliśmy na grube, połamane pałki i drągi, któremi męczono rodzinę Reglów, dwóch robotników i kominiarza, druzgotano im kości, rozwalano czaszki. To pałki, któremi też bito po głowie Flauma, kiedy na chwilę odwrócił twarz od ściany (u której postawili go bandyci) aby zobaczyć, co się dzieje z rodziną. Słyszeliśmy spokojne, ale budzące dreszcz zeznanie tego świadka, który przez półtorej godziny, bezsilny, musiał słuchać bandyckich rozkazów, patrzeć na plądrowanie w szafach i kufrach, i zachowywać konieczną energję spokoju, aby nie wytwarzać w domu tej paniki, któraby mogła wprawić we wściekłość już powoli szalejących zbrodniarzy. Nikogo z siedzących na ławie oskar-

żonych nie poznaje Flaum, ani jego żona, ani bona Alocińska; tylko córka stróża Kamińska, młoda, czternastoletnia dziewczynka, utrzymuje uparcie, że w pewnej chwili, kiedy uwaga bandytów skierowaną była gdzieindziej, widziała dobrze Laudańskiego.

Słyszeliśmy ścinający krew w żyłach opis oględzin trupów w domu Regla; słyszeliśmy córeczkę Regla, Irenkę, jak z drżeniem całego ciała, z obawą w oczach, nie bacząc na obecność stojącego obok niej ojca, opowiedziała to, co po przez trwogę i przerażenie zapamiętała. A były to rzeczy straszne: stryj Antoni jęczał okropnie i prosił, żeby mu darowano życie, i siostra Zofja również; a bandyci bili, bili bez końca i nareszcie zabili. Irenka słyszała, jak jeden z robotników, Waniorek, zapytał jednego z bandytów: „toś ty także zabrał się do bandyctwa"?

W tem powiedzeniu Waniorka tkwi może przyczyna tej bestjalskiej wściekłości, jaką wykazali bandyci w mieszkaniu Reglów. Ich poznano; to było dostateczne, aby skazać wszystkich na śmierć. O Irence widocznie zapomniano. Zapomniano też dobić studenta Małka; zgrozą przejmowało jego zeznanie; wielokrotnie ranny, kopnięty przez odchodzących zbójów, przyszedł do przytomności, przyczołgał się do umierającej Zofji Regel, która prosiła pić—i dał jej się napić. Zgrozą przejmuje opowieść o biednym kominiarzu z Piaseczna, Kraszewskim; chciał gwałtem przejść koło warty: Gnoińskiego i Krasnodębskiego, aby wejść do piekarni i tam przenocować; bandyta wziął od

niego papierosa, zapalił, przepuścił biedaka, a inni zaciągnęli go do domu i zamordowali.

Wszyscy wysocy urzędnicy urzędu śledczego zebrali się w sądzie, aby ustalić, kto z bandytów uczestniczył w napadzie. A bandyci cofali swe zeznania i wyrzekali się swych oświadczeń, i skarżyli się, że ich bito w urzędzie śledczym i że sprawiedliwość ludzka jest względem nich niedosyć ludzka.

Dokoła Franciszka Krasnodębskiego tworzy się coś, niby wątpliwość, niby tajemnica. Nie ma bezpośrednich dowodów jego winy, wyłania się nawet coś w rodzaju alibi. Świadek Praga niby to ustala, że w mieszkaniu Franciszka nie było nikogo wówczas, gdy oskarżenie mniema, że przenocowywał u siebie wszystkich uczestników napadu; i opinje o Franciszku ludzi skolimowskich, choć niezbyt zdeklarowane, nie są bardzo ujemne; i widziano go, kiedy alarmował na trwogę, wołając, że w młynie bandyci, i widziano go, kiedy wraz z innymi wpadł do Regla na ratunek—spóźniony. Towarzysze więzienni, żądni, jak mówią sami, sprawiedliwości, zarządzili u siebie coś w rodzaju śledztwa i przyszli przed sąd świadczyć, że podejrzenie na Franciszka rzucił ze złości Gnoiński, za to, że Franciszek wszystkich wydał. A że o Flaumie dowiedzieli się bandyci—Franciszek nie winien temu, przyjazd Flauma do Skolimowa nie był tajemnicą i zresztą Franciszek mógł powiedzieć: „woziłem dzisiaj bogatego amerykanina do willi“, ale to nie znaczy, że „nadał“ napad na amerykanina.

Tedy w obszernej, bardzo szczegółowej, mi-

sternie opracowanej mowie zestawiał p. pprokurator Maciuśkiewicz wszystkie różnorodne zeznania oskarżonych i zeznania świadków i żądał dla Krasnodębskiego, dla Laudańskiego, dla Gnoińskiego kary śmierci. Surowej kary dla dwóch pozostałych. Po tej mowie oskarżony Laudański chciałby coś oświadczyć, co się równa wznowieniu śledztwa. Przewodniczący odmawia i zostajemy pod wrażeniem jakieś, szykującej się, sensacji. Tymczasem obrońcy spełniają swój obowiązek: mecenas Brüner bardzo przekonywająco i z wytrawnością dowodzi zupełnej niewinności Franciszka Krasnodębskiego; adw. H. Koral broni tezy niestosowalności kary śmierci w danej sprawie; tej samej tezy uprzednio bronił obrońca Laudańskiego adw. Lewin, normując swój głos do, czekającej nas, sensacji Laudańskiego. Adw. Poll prosi o uznanie okoliczności łagodzących dla Tadeusza Krasnodębskiego, adw. Orłowski prosi u uniewinniennie Godlewskiego. A jeszcze przedtem, po prokuratorze, mecenas Wilczyński, jako cywilny powód, ze wzruszeniem i pięknie przemówił w imieniu Regla, broniąc pamięci córki i jego własnego honoru przeciwko nikczemnym zakusom Krasnodębskiego.

Oczekiwana sensacja nie zawiodła. W ostatniem słowie Laudański przyznał się uroczyście do czynnego udziału w obydwu napadach. Z szczegółami, mającemi największy pozór prawdy, opowiedział wszystko. Opowiedział, że nocowali bandyci u Franciszka, że Franciszek wiódł bandytów do Flauma i do Regla.

I że oskarżony Godlewski był zdecydowany

uczestniczyć w napadzie, nie został doń zaproszony tylko na skutek oświadczenia Góralskiego- „jest nas dosyć i bez niego".

Sąd okręgowy pod przewodnictwem wiceprezesa Gumińskiego, w asystencji sędziów Laskowskiego i Kozakowskiego ogłosił o godz. 12 m. 55 w nocy wyrok, mocą którego Tadeusz Krasnodębski, Józef Laudański i Jan Gnoiński skazani zostali na karę śmierci, Franciszek Krasnodębski na bezterminowe więzienie, Wojciech Mańkowski na 3 lata więzienia. Stefan Godlewski został uniewinniony *).

---

*) W Sądzie Apelacyjnym Stefan Godlewski został skazany na więzienie. Po uprawomocnieniu wyroku, trzej bandyci zostali straceni.

Niespodzianki marcówki.

„Marcówką“ zwie się w korytarzach sądowych ustawa z dn. 18 marca 1921 roku o zwalczaniu przestępstw z chęci zysku, popełnianych przez urzędników. *Dura lex*, bo grozi śmiercią przez roztrzelanie, *sed lex*. Ale właśnie dla tego, że zbyt surowa, że karzącą dłoń rozpościera na bardzo wiele przekroczeń, że nie zna, albo prawie nie zna, tylko dla błahostek, litości, że chciałaby grozą skutku powstrzymać na pochyłej drodze ku przestępstwu wszystkich, kto dzierży bodaj pyłek władzy — dla tego mało skuteczna. Jest nie dosyć giętka, życiowo za kategoryczna, za nieugięta, jak na współczesne skomplikowania warunków — nie może dać tych uzdrawiających wyników, jakich czekał od niej prawodawca, który łudził się, że można długo, zbyt długo, wyjątkowem prawem leczyć zanadto wiele niedomagań, i leczyć jednakowo, średniowiecznie — ogniem.

Sprawy z „marcówki“ często robią wrażenie konspiracji; konspirują wszyscy: oskarżony,

żeby ukryć choć cząstkę smutnej prawdy, jego obrońca również — obydwaj mają po temu prawo; konspirują, nie wiedząc o tem, świadkowie, zahypnotyzowani widmem skutków swych zeznań; nieświadomie konspirują sami sędziowie, chciwie wchłaniający wszystko, co może osłabić grożbę strasznego wyroku; konspiruje ogólna atmosfera otoczenia; tylko oskarżyciel pństwowy pozwala sobie na wielki zbytek nieugiętości, wiedząc zresztą dobrze, że granitowe jego żądania idą do przeróbki trzech sędziowskich sumień. To stara walka, tutaj bardzo zaogniona, pomiędzy *ius* i *aequitas* — niezłomnem prawem i ludzką, względną sprawiedliwością.

Mówiąc inaczej, „marcówki“ są powodem częstych niespodzianek; i częściej kończą się inaczej, niżby można było sądzić. Prokurator wnosi o skazanie oskarżonego za przyjęcie korzyści majątkowej, danej dla skłonienia urzędnika do pogwałcenia obowiązków służbowych; to kara śmierci; a sąd wynosi wyrok, skazujący na 4 miesiące aresztu. Wczoraj w sądzie okręgowym miała miejsce jedna z takich niespodzianek.

Dwaj posterunkowi policyjni, Stadnicki i Wolicki, w końcu listopada, dwa lata temu na odpuście w Służewie, o g. 12 w południe nagabnięci byli przez młodego chłopca, p. Warszywkę, który prosił ich o interwencję; Warszywka przegrał 500 marek w jakąś grę z „szulerem“, którego przyjechał po żniwo na odpust. Ale posterunkowi świadkami gry nie byli, objaśnień „szulera“ wysłuchali i zaspokoiły ich one — poradzili Warszywce iść swoją drogą. Sami zaś z „szu-

lerem“ poszli drogą, prowadzącą do miejscowej restauracji. Tam, u właścicielki restauracji pani Słowikowej, byli, zdaje się, podejmowani przez „szulera“; podejmowali ich zresztą i inni gospodarze; cały odpust zwiedził gościnne progi p. Słowikowej. „Szuler“ opuścił je wcześniej, niż posterunkowi; i kiedy ci ostatni, odchodząc, „ucałowali z szacunkiem“ ręce pani Słowikowej, i udali się, już nieco podchmieleni, na plac przed kościołem, zastali tam „szulera“ w wyjątkowo przykrej sytuacji.

Mało ucywilizowana służewska ludność nie umiała ocenić zręczności „szulera“, który raczył zebranych jakąś grą, obiecującą w razie wygranej scyzoryk albo zegarek, w zamian za kilka dziesiątków marek, ale prawie nigdy nie dotrzymującą obietnicy. Tłum, nie czekając, aż szansa się odwróci, albo zwątpiwszy, że to kiedyś nastąpi, rzucił się na „szulera“, przewrócił jego wędrowną ruletkę, przewrócił i samego „szulera“ i srodze go poturbował.

I niewiadomo, coby się stało ze zbyt zręcznym wyzyskiwaczem ludzkich namiętności, gdyby dwaj posterunkowi nie przyszli z odsieczą. „Szulera“ ocalili, ale siebie zgubili. Bo rozzłoszczony tłum odebrał im karabiny, rozbroił, mało co nie potłukł i oddał do żandarmerji. A wachmistrz Goss, ich zwierzchnik, po chwilowej rozwadze, zaopinjował, że tłum miał rację. I sprawa poszła na drogę sądową — z „marcówki“,

P. prokurator Herman żądał zastosowania do „zbrodniarzy“ całej srogości prawa. Rzecz jasna: poczęstunek, jaki przyjęli od „szulera“, (któ-

ry, mówiąc nawiasem, zemknął z pola bitwy bez scyzoryków i zegarków i do dziś dnia jeszcze zmyka), był zapłatą za dozwolenie dalszego operowania podczas odpustu. Posterunkowi zasłużyli na śmierć.

Obrońca Stadnickiego i Wolickiego, adw. Jerzy Kostecki prosił sąd o sprowadzenie groźnej tej sprawy do właściwego poziomu. Co też sąd uczynił. Stadnicki i Wolicki straceni nie będą; z „marcówki“ zostali uniewinnieni; natomiast posiedzą po cztery miesiące pod aresztem, co im się słusznie należy, za to, że byli bezczynni, jako przedstawiciele władzy. Powinni byli albo aresztować „szulera“, albo poprosić go opuścić Służew*).

*) „Marcówki“ już zniknęły z sali sądowej. Ustawa została, szczęśliwie, zniesioną.

Sprawa Wacława Śniegockiego.

Wacław Śniegocki był bardzo młody, kiedy stanął przed ołtarzem z jeszcze młodszą, ale już mającą przeszłość, obecną żoną. Po dziesięciu latach małżeństwa, w lutym bieżącego roku strzelał do niej i ranił ją pięciokrotnie. Rany są lekkie, a chociaż poszkodowana jest bardzo chora, i może niewiele już się jej na tym świecie należy, mąż nie jest winnym — tak mówią lekarze — stanu jej zdrowia. Jest to wynik wady serca, o której chora nie wiedziała, a której niebezpieczeństwo wzmagał tryb życia: ekscesy wszelkiego rodzaju — alkoholiczne, miłosne. Wacław Śniegocki strzelał do kobiety, już na śmierć skazanej. Trochę cierpliwości i los sam uwolniłby go od krzyża, który mąż niósł cierpliwie przez lat dziewięć i nie potrafił nieść go dłużej.

Oskarżony długo opowiada, jak się to stało, że targnął się na życie matki swego dziecka. To opowiadanie—bolesne, niewątpliwie szczere, jest może zanadto wystylizowane, jak to bywa z oskarżonymi, którzy, w oczekiwaniu chwili sądu,

po wiele razy w umyśle szykują swe obrończe słowa, aż w końcu zastygają one w coś, co traci charakter bezpośredniości. I nie może powstrzymać się od książkowych reminiscencyj, od zaznaczenia, że największem nieszczęściem jego życia były wyrazy, „te straszne wyrazy, które mówiła moja żona“. A rzeczywiście, wyrazy były straszne, postępki jeszcze straszniejsze; najstraszniejszą była dla Śniegockiego niemoc wydostania się z odrażającej atmosfery, którą nieszczęsna kobieta stwarzała naokół siebie. Trzymała go, widocznie, zmysłami, które umiała aż nadto rozbudzać, trzymała miłością do dziecka, którego oddawać nie chciała. trzymała zresztą splotem zwykłych życiowych więzów. Bo, w rezultacie, sfera Śniegockiego, to sfera biedna, szara i skromna. Śniegocki, spracowany i pracowity. nie miał czasu na to, aby być nieszczęśliwym. Nieszczęście to także, czasami, przedmiot zbytku, na który nie każdy może sobie pozwolić.

Ta pokaleczona, połamana, nieszczęśliwa kobieta, która onegdaj mściwie i ze złością, czarnemi barwami malowała „Śniegockiego“, musiała być jeszcze niedawno, czupurną, butną, śmiałą, mocną w języku, wulgarną i prawdopodobnie, ponętną niewiastą. Czy małżeństwo nie przyniosło jej tego zadowolenia, którego łaknęła jej, zgruba zmysłowa, natura, czy też jakiś atawizm zawisł nad jej biednem życiem — dosyć, że wszystko, co robiła, nosiło cechę skandalu, odrażającego nawet dla tak skromnych ludzi, jak ci, co otaczali Śniegockich. Jeszcze tam, w Rosji, skąd małżeństwo wróciło z innymi reparjantami,

Śniegocka bez żadnego pardonu, jak kumoszka z Bocaccia, ale z mniejszym humorem, z większym natomiast bezwstydem, dawała wodze swemu temperamentowi, nie szczędząc zupełnie honoru męża. Niby Putyfara ciągnęła do łożnicy za drugą wizytą, w nieobecności męża—jakiegoś brudnego, nieapetycznego Józefa, cnotliwego, bo „jakoś to było zbyt prędko".

Wybierała wobec wszystkich, w szewckim warsztacie sąsiada, tego, kto, sądząc z oznak zewnętrznych, zapowiadał najbardziej obiecujący „flirt". Rozpasana i niepohamowana, „*nondum satiata*", mówiła rzeczy, od których „małpa by się zaczerwieniła" i robiła rzeczy, które oburzały otoczenie. Już tutaj, w kraju, na letnisku w Rembertowie, w roku zeszłym, prowadziła się tak, że złośliwa jakaś dłoń wymalowała szyldzik na willi, gdzie mieszkała, z napisem, mającym takie znaczenie. jak czerwona latarnia i bardzo duże numery domu — za granicą.

Chodziła o późnym zmroku do lasu, gdzie kwaterował bataljon lotniczy i również o zmroku chodziła do oficerskich namiotów. Nocami, przez parkan przychodzili do niej z jadłem i napojami młodzi oficerowie, a we dnie przechadzała się w suggestyjnym kąpielowym kostjumie po drodze, gdzie spotykała żołnierzy. Wdrożyła małe swe dziecko do śpiewania nieprzystojnych piosenek i rzucała w dziecinną duszyczkę zatrute ziarna zepsucia.

Mógłby znosić do końca życia Śniegocki tę swą męczarnię. Ale zakochał się. I od tej chwili ciężar współżycia, choćby dorywczego, z żoną,

stał mu się zupełnie nienawistny. Tembardziej, że ta małżonka, która nie uznawała żadnych obowiązków, nie abdykowała z żadnego ze swych praw; żądała absolutnej wierności, śledziła, prześladowała i dręczyła. Nie przyznawała się do tego na sądzie. „Nie byłam o niego zazdrosną; nie było o co; ciało jest chore, a umysł głupi". Ale w rzeczywistości, za każdą swoją małżeńską niewiarę żądała zdwojonej lojalności od męża. Niepohamowana w języku, z ręką łatwą do uderzeń, nawet kiedy mieszkała zdala od męża, była dlań niewymownem udręczeniem. Nie rozumiała, że sama najwymowniej dowiodła tego na sądzie, rzucając, z zamiarem ośmieszenia męża, oskarżenie „on nie umiał mówić; on ciągle płakał". Bezsilny Śniegocki, przykuty do swego nieszczęścia, już nie miał innej broni.

Szukał zresztą innej, szukał niezręcznie i niesmacznie. Zachciało mu się „procesu o separację", marzył o rozwodzie. Naiwnie i nietaktownie jeździł do młodych oficerów, którzy, podobno, byli wspólnikami uciech pani Śniegockiej. Młodzi oficerowie chcieli być rycerzami, ale nie umieli; chcieli pomóc zbolałemu mężowi, ale krępowali się płacić kobiecie za jej względy -- obmową. Więc odpowiedzieli mężowi wymijająco i śmiesznie. Nie dali, jednak, mężowi zaświadczenia, że żona jego jest małżonką bez honoru. Śniegocki ostatecznie zażądał od samej żony takiego zeznania, koniecznego dla kroków rozwodu. Spotkał odmowę, opór, obelgę. Rewolwer, który sterczał zawsze w tece Śniegockiego, „inkasenta od Semadeniego" odegrał tutaj tragiczną rolę, Śniegocki

płakał, prosił żonę, żeby go zabiła tym rewolwerem — a dotknięty, obolały, nie mogąc się pohamować — zaczął sam strzelać,

Sąd okręgowy pod przewodnictwem sędziego Rykaczewskiego skazał Śniegockiego na rok twierdzy; po zastosowaniu amnestji na pół roku twierdzy. Oskarżał Śniegockiego p. pprokurator Rettinger; jest to młody oskarżyciel państwowy, któremu coraz uważniej i z coraz większem uznaniem przysłuchują się sąd i publiczność. Bronili Śniegockiego adwokaci Jarosz i Niedzielski. Adwokat Jarosz przekonywająco ustalił prawną stronę procesu.

Sprawa ta dała drugiemu obrońcy, adwokatowi Niedzielskiemu, okazję do wypowiedzenia jednej z najlepszych obron w sądzie polskim i do ujawnienia zupełnie niezwykłych danych talentu i umiejętności. W adwokacie Niedzielskim palestra polska zyskuje pierwszorzędną siłę.

Robert i Bertrand czyli...

(Sprawa Weissa i Rulskiego).

Trwała bardzo niedługo; tylko kilka godzin. Weiss i Rulski, dwaj gentlemeni z Warszawy, co, jak oświadczyli, już obecnie żadnego majątku nie posiadają, jeśli nie liczyć eleganckich garniturów, które im jeszcze po burzach żywota pozostały i w których paradują, zresztą wstydliwie, na ławie oskarżonych — odpracowali swoją sądową pańszczyznę możliwie prędko. Sprawa ich rozpoczęła się o g. 1 popołudniu, przed szóstą już było po wszystkiem. Byle jaka kolacja w „Bristolu", dawana ongi przez tych towarzyszów niedoli, trwała znacznie dłużej. I wszystko się odbyło tak poprostu, tak spokojnie. W sennej ciszy sądowego przewodu, dziś beznamiętnego i anemicznego, tak łagodnie i pokornie brzmiało półgębkiem odrecytowane: z zażenowaniem przez Weissa, z filuternym uśmieszkiem przez Rulskiego, przyznanie do winy, do wszelkiej winy, przez akt oskarżenia wspomnianej! Tak jest — biją się w piersi, zresztą dyskretnie, dwaj gentlemeni z Warszawy: nadużyliśmy zaufania wielkiej instytucji kredytowej: między lutym 19 roku i lipcem 22 roku podrabialiśmy dokumenty, i na ich mo-

cy podnosiliśmy sumy nam nienależne; zapisywaliśmy wpłaty fikcyjnych sum na rachunkach zagranicznej korespodencji Jana Wejssa z Krakowa, A. Bochtera i H. Rodsztadta z Paryża; fałszowaliśmy czeki i podpisy tych klientów Banku; a Rulski, urzędnik Banku, kierownik wydziału zagranicznej korespondencji świadomie fałszywie je cyfrował, jako podlegające obowiązkowemu honorowaniu... I w tem sposób „uhonorowaliśmy“ 670.391.115 mkp. i 16.370 rubli. Przyznajemy się do winy, do tej wszelkiej winy, o której mówi akt oskarżenia. Zwróciliśmy wszystko, oddaliśmy cały nasz majątek. Prosimy o łagodny wymiar kary...

Rzeczywiście, jak tu odmówić gentlemenom, tak pokornie i bez korowodów mówiącym o swym „błędzie“. Błąd trwał trochę długo i uparcie; aleć, że to był „błąd“, a nie coś gorszego, to gotowa chyba potwierdzić połowa tej publiczności, co z wypiekami na twarzy i gorejącemi oczyma słucha tego cichego i beznamiętnego procesu, gdzie oskarżeni jakby nic nie tają, świadków prawie niema, a ci, co są, odchodzą po wypowiedzeniu dziesięciu nic nie znaczących słów — i gdzie materjalna krzywda dawno już została pokryta. Połowa tej publiczności sceptycznie patrzy na „zbędną“ robotę sprawiedliwości, która się tu dokonywa, Poco to wszystko? Czy Weiss i Rulski — to fałszerze i oszuści? Gdzietam! To są ludzie, co dowcipem swoim powołali do życia tyle przedsiębiorstw, tyle instytucyj, dali pracę tylu dłoniom! Fabryka czekolady, i przemysłowo-handlowa spółka, i fabryka guzików, i fabryka odlewni

bronzu, i wykwintne restauracje, i eleganckie spelunki i wytworne jaskinie, i nakoniec „Oaza“, ta wspaniała „Oaza“! Weiss jest genjuszem spekulacji, mistrzem życiowego hazardu; chciał grać na ludzkich namiętnościach, jak „na harmoniki kręgach“ i już wygrywał wspaniałe melodje — tak niewcześnie przerwane źle rozwiązującym wszystko dysonansem aresztu! Co w tem złego, że do swych kombinacyj twórczych użył rzeczy prawie niczyich, że puścił w ruch kapitały, co inaczej martwo spoczywałyby w kasach Banku, bez korzyści dla ludzi jedzących czekoladę i robiących burdy w „Oazie“ po obfitych libacjach? Gdyby nie niepotrzebna interwencja prokuratora — czyż dwaj gentlemeni z Warszawy nie urośliby do godności małych Stinnesów, wielkich obywateli i dobroczyńców miasta?

Aż do chwiii ogłoszenia wyroku unosiły się w powietrzu miazmaty tego „powojennego“ sceptycyzmu. Ta najnamacalniejsza rzecz: krzywda materjalna, już nie istnieje. Bank wszystko odebrał. Fabryki i restauracje; spieniężył te wszystkie złote torby damskie, i łańcuchy złote, i pierścienie brylantowe i papierośnice złote, i 10 zegarków złotych, i sumy na rachunkach czekowych Walentyny Rulskiej i 100 Rohnów i 480 Firlejów, i 70 rubli złotych i wiele innych rzeczy, które sprawiedliwość znalazła u zabiegliwych dwu gentlemenów z Warszawy. Pp. Weiss i Rulski szczerze uwierzyli, że skwitowali się ze sprawiedliwością. A proces zdawał się im i ich sympatykom przykrą formalnością. Zresztą, czyż nie czytaliśmy w gazetach, że maksymum ka-

ry, grożącej oskarżonym — to 6 miesięcy więzienia?

W procesie, skutkiem przyznania winy przez oskarżonych, ogołoconym z dowodów, cała bajeczna historja dwu gentlemenów zdała się nikłą, nieznaczną. Potworna wysokość zdefraudowanej sumy i potworność tego zjawiska, że w ciągu trzech lat Robert i Bertrand mogli bezkarnie kradzionemi pieniędzmi olśniewać nietylko gawiedź wielkiego miasta, ale niektóre zaułki przemysłu czy handlu — wszystko to zbladło zupełnie na sądzie. Drobne sprawy w sądach pokoju bywają często bardziej imponujące. Dwaj trochę zawstydzeni panowie na ławie oskarżonych nie widzieli, zdaje się, nic dziwnego w swej bengalskiej karjerze życiowej — i słuchając zimnych wywodów aktu oskarżenia, apatycznych słów podsądnych i apatycznych zeznań kilku świadków, widownia zaczynała wierzyć, że nic nadzwyczajnego się nie stało.

Nic nadzwyczajnego się nie stało, skoro przestępstwo tak dobrze rentuje, że można oddać pokrzywdzonemu wszystko, co mu się zabrało, i zostać jeszcze posiadaczem wielu dóbr doczesnych, prócz wspomnień trzechlecia, przepędzonego w zbytkach, bogactwie, wesołości... i uznaniu. Uznaniu i sympatji: dwaj świadkowie z rozrzewnieniem prawie mówili o dobrem sercu i szczodrobliwości Weissa. *Généreux comme un voleur*, — szczodrobliwy, jak złodziej, mówią Francuzi.

Spokojną była krótka rzeczowa mowa pprokuratora Wesserbergera, szanownym apel adw. Beylina, obrońcy Weissa, do sędziowskich uczuć,

energicznem biadanie adw. Nowodworskiego, obrońcy Rulskiego, nad powojenną demoralizacją ludzi, skądinąd zdolnych do uczciwości, znaczącymi wywody prawne adw. H. Ettingera, drugiego obrońcy Weissa.

Ale najbardziej znaczącym był wyrok sądu okręgowego, który pod przewodnictwem sędziego Krassowskiego powiedział o tym procesie swe surowe, odpowiadające doniosłości przestępstwa słowo: Weiss i Rulski skazani zostali na 5 lat więzienia każdy, czyli po zastosowaniu amnestji na 3 lata i 3 miesiące. Areszt prewencyjny został zaliczony.

Zabójstwo ś. p. Olewińskiego.

Władysław Olewiński, wice-prezes Głównego Urzędu Ziemskiego został zabity przez Niwińskiego 17 czerwca 1923 roku; działo się to wieczorem, koło godziny 6-ej na ulicy Smolnej: kiedy posterunkowy podszedł do leżącej bez życia na chodniku ofiary, zbliżył sią do niego z rewolwerem w ręku zabójca, oddał dobrowolnie broń i dał się aresztować.

Kto był ofiarą? Jeden z tych ludzi zasługi i charakteru, których wypadki historyczne wydźwignęły zgodnie z ich wartością. Jeden z tych, których zdolności, pod korcem rosyjskim ukryte, w chwilach zerwania się kraju do niepodległości, znalazły zastosowanie szlachetne i odpowiednie. 1917 rok, ten probierz wartości człowieka, jak się wyraził świadek Kosakowski, b. kierownik wydziału wschodniego ministerstwa spraw zagranicznych, ocenił Olewińskiego, jak należało. Ocenił jego niepospolitą umiejętność pracy, jego oddanie się rzeczy publicznej, jego obywatelskiego ducha, jego skromność i szanowne cnoty oso-

biste. Minister Władysław Grabski mówił wczoraj o nim na sądzie z rozrzewnieniem i szczerością, jako o niezapomnianym współpracowniku swoim, jako o nieocenionym pracowniku koło żywotnych interesów polskiej emigracji, stłoczonej w okręgu Mińskim w oczekiwaniu powrotu do kraju, potrzebującej pomocy ludzi bezinteresownych i poczuciem obowiązku obywatelskiego przejętych w sferze obrony polskiej wolności osobistej i polskiego mienia. Mądry, przenikliwy i łagodzący kańciaste stosunki polsko-rosyjskie w tragicznych chwilach komunistycznego przewrotu i później, Olewiński — tak świadczą ci dawni jego zwierzchnicy, świadkowie naoczni jego pracy i poświęcenia—po powrocie do kraju, na wysokim urzędzie w ojczyźnie wyzbył się najlżejszego cienia tej przykrej dwoistości, którą w celach samozachowawczych Polak w Rosji musiał czasem stosować; był już tylko, jak mu to dyktowała jego kryształowa natura, człowiekiem szczerym myślą i postępkiem. Wspomnienie o nim wolne jest, mówi minister, mówi dyrektor departamentu, od tej mgły niesmaku, jaka pokryła pamięć o wielu, wielu innych ludziach. którzy obiecywali tak dużo, a dotrzymali znacznie mniej.

Na wysokim urzędzie, jako wiceprezes Głównego Urzędu Ziemskiego został tem, czem był zawsze: skromnym, pracowitym człowiekiem, który umie być biednym i zna tylko jedno pijaństwo—pracy. W domu jest skąpo i ubogo; pracuje Olewiński, pracuje jego żona, chociaż jest żoną dostojnika i służąca Marjanna Rymer cza-

sem z własnej kieszeni dodaje do gospodarstwa, bo państwo często nie mogą sprostać odrazu, nie tyle swoim, ile jej, Marjanny, dla dobra domu, wymogom. Dostojnik Rzeczypospolitej Olewiński nie ma ani futra, ani dosyć przyzwoitego palta. Jest biedny, jak biedni byli ci młodzi ludzie, co w drewnianych sabotach, w nędznem ubraniu, żywiąc się byle czem, kromką chleba, ordynarnem piwem—ongi budowali współczesną Francję. Nie przyjmował nikogo, nie bywał nigdzie, skupił wszystkie swe radości w domu i w pracy. Żadna obmowa do niego nie przystała; miał szacunek ludzki i spokojne sumienie. Taki człowiek zginął z rąk zabójcy, który usprawiedliwia się, ze zabił—łapownika!

Kim jest zabójca? Człowiek zaniedbanego serca, zaniedbanej duszy, zaniedbanego umysłu, zaniedbanej woli. Na gruncie patologicznego atawizmu, w warunkach rozkiełzania zwykłych moralnych ograniczeń, wyrosło stworzenie, budzące żałość—i szkodliwe, obdarzone niepoślednią logiką przewrotności, nasycone teatralną frazeologją honoru, bez przywiązania do rzeczy szczerych, lekkomyślne, do żadnej pracy nieprzyzwyczajone, żadnego obowiązku nie pojmujące. Władysław Niwiński ma już lat 29, ale jeszcze nikt o nim powiedzieć nie może, co on w życiu robi—nikt, nawet najbliżsi. Życie jego dzieli się na dwa kolejno luzujące się okresy:— okresy, kiedy młody człowiek ma pieniądze i okresy, kiedy ich nie ma. Kiedy ma pieniądze, jest pogodny i wesoły, dopóki się nie upije; a wówczas trawiona dziedzicznie jego psyche ma pęd ku dziwactwom, wi-

docznem zwyrodnieniem napiętnowanym. Kiedy nie ma pieniędzy, jest posępny i przygnębiony i nieszczęśliwy, a trawiona dziedzicznie jego psyche pcha go ku kłamstwu i czynom złym, podstępnym, przewrotnym. Niedobrze jest wówczas znajdować się w polu jego widzenia. Jeśli to będzie portjer Rosiński z hotelu Savoy, rzecz się zakończy nieoddaną pożyczką 9.000.000 marek, wyłudzonych przy pomocy kłamliwych zapewnień. Jeśli będą to chłopi — rzecz się zakończy sprzedażą tym chłopom gruntu, którym Niwiński rozporządzać się nie ma prawa i za który otrzyma pieniądze przy pomocy również kłamliwych zapewnień. Jeśli w chwili, kiedy wszystkie kłamstwa i cała budowa podstępnych rusztowań grozi zawaleniem i katastrofą, w polu widzenia Niwińskiego znajdzie się niewinny, czysty człowiek, który miał nieszczęście zetknąć się z Niwińskim w sprawie, gdzie niczem pomóc mu nie mógł, a w spaczonej wyobraźni kłamliwego człowieka wydał się wszechmożnym — rzecz się skończyć może tak, jak się skończyła z Olewińskim. Takiego człowieka Niwiński zabije, a potem oszkaluje.

Jak to się stać mogło? Drogą nieszczęsnych dla ofiary, naturalnych, niestety dla zabójcy, zwikłań. W obciążonej rodzinie Niwińskich najstarszym, najbogatszym jest Jan, zdziwaczały, prawdopodobnie zupełnie nienormalny człowiek, który w lecie chodzi w ciepłem palcie, sędziemu śledczemu, co do niego przyjechał dla badania, powiada: „idź pan spać“, który za nic nie da swego podpisu, nawet tam, gdzie jest obowiązany, który zapatyczniał do wszystkich i do wszy-

stkiego. Ten najbogatszy brat podarował, a może i nie podarował, ale w tych kłamliwych stosunkach fakt darowizny milcząco uznany jest przez wszystkich za niewątpliwy, bratu Władysławowi 66 morgów ze swego majątku.

Jeszcze w 1919 roku przed miesiącem wrześniem, Władysław Niwiński rozsprzedał swoją darowiznę chłopom za określone sumy, z obietnicą najrychlejszego załatwienia sprawy przed rejentem i przelania na chłopów tytułu własności, którego formalnie sam nie posiadał, ponieważ darowizna była ustną, a w wykazie hipotecznym o Władysławie nie ma wzmianki. W dalszym ciągu sprzedawał Władysław Niwiński „swe" morgi chłopom nawet po wydaniu ustawy, zabraniającej sprzedaży bez upoważnienia urzędów ziemskich i nie powstrzymało go nawet w tych operacjach zakwalifikowanie całego majątku brata Jana, majątku „Wielka Opoka" do przymusowego wykupu. Wobec groźby oddania majątku władzom, Władysław, przez chłopów o zakończenie sprawy nagabywany, stara się, a może tylko udaje, że się stara, o zwolnienie ziemi z przymusu.

Te starania, imieniem Jana Niwińskiego czynione, z jego świadomą wiedzą, czy też bez niej, z jego autentycznym czy nieautentycznym na podaniach podpisem — nie dały pomyślnego wyniku. Gminna komisja ziemska, i powiatowy urząd ziemski i okręgowy urząd ziemski w Lublinie nie uchyliły decyzji zakwalifikowania Wielkiej Opoki do przymusowego wykupu. Sprawa przechodzi do Głównego Urzędu Ziemskiego;

wice-prezesem tego urzędu jest Olewiński, na swoje nieszczęście kolega szkolny jednego z Niwińskich -- Adama. Dzień, kiedy Adam Niwiński przyszedł wraz z bratem do urzędowego gabinetu wice-prezesa Olewińskiego, był tragicznym dniem w życiu ofiary.

Bracia przyszli prosić Olewińskiego o pomoc. Co mógł uczynić wobec niezłomnego brzmienia decyzyj urzędów—kierownik Głównego Urzędu? Mógł tylko zapewnić petentów o bezskuteczności ich żądań i o swej niemocy zmienić te decyzje. Mógł zresztą, co też uczynił, wskazać im nazwisko specjalisty—prawnika, któryby w arsenale środków zbawczych znalazł jakąś drogę do pozostawienia majątku w ręku Jana Niwińskiego. Uczynił to bez potrzeby. Bo tak dalece był przekonany o bezskuteczności podobnych usiłowań Adam Niwiński, że do specjalisty nie poszedł, a bratu powiedział: „jeśli chcesz i masz pieniądze, to idź; ja nie pójdę". Nie poszedł, bo nie widział tragedji w przekazaniu majątku — zaniedbanego. jak dusza Władysława Niwińskiego — władzom; i nie widział tragedji także w tem, że tranzakcje brata z chłopami nie mogą być „zarejentowane". Boć przecie do dziś dnia chłopi spokojnie siedzą na sprzedanych im morgach, nikt ich nie wypędza; „dziś jest jedna ustawa, jutro może być druga".

Ale tragedja tkwiła w samym Władysławie Niwińskim, w okropnym dla Olewińskiego procesie duchowym, który odbywał się w oskarżonym. Władysław Niwiński także nie poszedł do specjalisty; ale zaczął chodzić do Olewińskiego; za-

czął wmawiać w siebie i w innych, że to sprawca wszystkich jego nieszczęść. Taki pogląd nie miał żadnej podstawy w realności i nie odpowiadał wcale stosunkowi przyszłego zabójcy do przyszłej ofiary.

Bo ofiara tylko perswadowała, że jest bezsilną, a zabójca tylko był natrętny — i, prawdopodobnie, z poczuciem zupełnej bezpodstawności swego natręctwa. A tymczasem zbliżała się katastrofa w życiu Władysława Niwińskiego. Tranzakcje pieniężne z chłopami były wyczerpane, innych środków do życia oskarżony nie miał. Żył pożyczkami, kłamstwem i wybiegami. I stworzył sobie fantastyczny, ale celowo obmyślany, świat. Ludziom bardziej obcym zaczął opowiadać, że Olewiński jest przezeń przekupiony i zezwolenie Głównego Urzędu Ziemskiego da oskarżonemu miljony.

Z instyktownem zrozumieniem ludzkiej bezduszności, oszczerstwem względem Olewińskiego budził do siebie zaufanie i zyskiwał—niezwrócone pożyczki. Kłamał z niepohamowaną lubością—pozwolenie już jest, będzie jutro, pojutrze, za godzinę, dzisiaj—i do kłamstw, tyczących się sprawy o ziemię, łączył—dla innych swych przyjaciół—kłamstwa, tyczące się jakichś fantastycznych interesów, któremi łudził swe niekrytyczne otoczenie. Te fantastyczne interesy, budowane na fundamencie fantastycznych pieniędzy, były oblewane w restauracjach w obecności ludzi, mających nawet pretensje do szanowności; zapraszał Niwiński, płacił ktoś z naiwnych gości. Nawet sceptyczcnego brata Adama wciągnął w wir

swoich kłamstw, obiecując mu miljony ze sprzedaży kilkudziesięciu nowych morgów, które niby to brat Jan znowu podarował Władysławowi! Ze zręcznością przebiegłego warjata tworzył fałszywe dowody swych kłamstw, zmyślał szczegóły, łudził, i uporczywie szkalował Olewińskiego, choć wiedział, że nawet gdyby Olewiński zrobił dla niego wszystko, czego zrobić nie mógł, nicby się nie stało o wiele lepszego dla Władysława. Pod tym względem brat Adam miał słuszność.

Ale za drzwiami czekał portjer z rachunkiem wielomiljonowym, i restaurator, i okłamani przyjaciele, i przyszły wspólnik, czekający na wpłatę nieistniejących kapitałów i cała czereda okłamanych. Dziś, jutro, pęknie bańka mydlana! Nieurównoważona psyche obciążonego człowieka dręczyła się tem bezmiernie. Jak wyjść z tej plątaniny — ohydnej i zmornej?

W sumieniu swojem Władysław Niwiński hamulców nie miał. Nie miał i w świadomości. Zatrzymał się na czynie, który odrazu odrzucał na daleki plan całą nierozwiązalną gmatwaninę nędznych czynów i kłamliwych słów. Własne opowiadania o Olewińskim przekonały go może w chwili pijanego podbudzenia. Rewolwer, który pożyczył niby dla celów samobójstwa — skierował przeciwko Olewińskiemu. A teraz rzuca nań jeszcze jedno ostateczne oszczerstwo.

Z gorzkiem oburzeniem zapytał przewodniczący Gumiński jednego ze świadków: „Jak to, więc pan, prawnik, uwierzył odrazu, że polskiego urzędnika, na wybitnem stanowisku, można przekupić i że taki urzędnik handluje swojemi

wpływami i sumieniem?“ Tak, świadek uwierzył. I nietylko ten młody, zabawnie i brzydko łatwowierny świadek. Świadek sędzia Strusiński ani chwili nie zawahał się, kiedy Władysław Niwiński prawił mu bajdy o łapówkach, które płacił Olewińskiemu. Dlaczego nie wierzyć? „Przecie to są rzeczy, które się zdarzają“. A jeśli kiedy, jakiś inny Władysław Niwiński, bez poszanowania dla cudzego honoru, podstępnie, kłamliwie i zbrodniczo opowie komuś, że świadek bierze łapówki? I słuchacz spokojnie wzruszy ramionami: „przecież takie rzeczy się zdarzają“. Czy nie oburzy się gorzko, że w tym kraju nie umieją szanować i nie wierzą w ludzką cnotę? Ale, zdaniem mojem, świadek nie miałby prawa się oburzać.

*

Skończyła się ta posępna sprawa. Wyrok sądu zaspokoi poczucie sprawiedliwości w masach; głos powszechny domagał się tutaj nie tyle kary dla zabójcy, ile groźnego sprzeciwu poniewieraniu ludzkiego honoru. Ta moralna ujma, jaką zabójca, w rachubie na ludzką łatwowierność, na niedoskonałość wszelkiej ludzkiej wiarogodności, myślał wyrządzić pamięci swej ofiary i tem samem się uratować — nie istnieje. Postać zabitego pozostanie w pamięci ludzi, jako postać człowieka bez zarzutu, szlachetnego, czystego, dobrego obywatela i nieskazitelnego sługi rzeczy publicznej.

Zakończony gorzki proces, prowadzony przez przewodniczącego ze spokojem i właściwą wyjątkowej powadze nastroju podniosłością, był niejako aktem oczyszczenia sumień od brudnych

i jątrzących naleciałości, któremi zaśmieca się nasze życie społeczne. Wielką wagę i doniosłość ma i proces ten i wyrok sądu.

Decydującą dla losu oskarżonego była opinja ekspertów-psychjatrów, doktorów Radziwiłowicza i Rychlińskiego, Po trzydniowej obserwacji, po bardzo czynnym udziale w przewodzie sądowym, przyszli oni do wniosku — że Niwiński jest odpowiedzialnym za swoje czyny i że poczytalność jego w pewnej tylko mierze może być uważana za ograniczoną. Jakkolwiek ciąży na oskarżonym dziedziczność chorobliwa, jakkolwiek psychopatyczność jego usposobienia jest niewątpliwą, a w kierownictwie swemi postępkami oskarżony niezupełnie był władny, nie może być mowy o całkowitem wyjęciu Niwińskiego z pod sankcyj kodeksu karnego. Zasadniczym pierwiastkiem umysłowej choroby, ktora wyraża się w czynie zbrodniczym, niekaralnym, bo dokonanym bez udziału świadomości i celowo kierowanej woli — jest amnezja, luka pamięciowa co do faktów, wypadków i zdarzeń, poprzedzających zbrodnię. W wypadku Niwińskiego eksperci nietylko nie zauważyli takiej amnezji, ale, przeciwnie, skonstatowali zupełną pewność i trafność tej pamięci.

A stany wzruszeniowe Niwińskiego, odbiegające od normalnych, a jego pobudliwość i niezrównoważenie—rezultat psychopatycznego usposobienia, spotęgowanego przez lenistwo, rozwiązłość, brak moralnych hamulców i najdrobniejszej bodaj powagi życia—na tle nadużyć alkoholicznych i płciowych nabierają osobliwej, niebezpiecznej dla otoczenia i dla oskarżonego wagi —

ale nie czynią Niwińskiego niepoczytalnym. Eksperci uważają, że dłuższa obserwacja Niwińskiego w szpitalu nie jest konieczną dla sumiennej i trafnej opinji o charakterze odpowiedzialności oskarżonego przed prawem.

Przeto prokurator Rudnicki oskarżał Niwińskiego jako człowieka, który musi zdać sprawiedliwości całkowitą sprawę ze swej zbrodni. Mowa prokuratora miała ducha doniosłych oskarżeń; była to mowa w dużym stylu i z trybuny oskarżyciela państwowego padały słowa ważkie, szczere i mocne. Pozbawione przesady, bez ryzykownych analogji, z prostotą tonu i szlachetnością ujęcia, przez które przebijało się głębokie uczucie człowieka, wzruszonego przejmującą tragedją nieszczęsnej ofiary, oskarżenie zdyskredytowało nędzną, ubogą postać oskarżonego i napiętnowało cały fałsz jego życia, fałsz jego gestów, słów—i ostatniego zbrodniczego gestu. A z całą powagą przedstawiciela państwa wystąpił prokurator w obronie honoru zabitego, który dał państwu swoją pracę, życie i poświęcenie.

Jako przedstawiciel żony zabitego i dwuch jego małoletnich córeczek, powód cywilny, adwokat Paschalski przejmująco scharakteryzował Niwińskiego i jego otoczenie.

Również przejmująco mówił o warunkach społecznych, o braku szacunku dla ludzi, o niekrytycznej wierze we wszelkie zło, tym ludziom przypisywane — a to wszystko czyni możliwemi takie fakty, jak zabójstwo ś. p. Olewińskiego.

Adw. Rudziński, drugi powód cywilny, zanalizował szczegółowo fakty przewodu sądowego,

uwydatniające zupełną kłamliwość Niwińskiego i fałsz jego twierdzeń w stosunku do zabitego.

Trudnem było zadanie obrońcy Niwińskiego, adw. Szurleja. Utalentowany obrońca z góry wyrzekł się obciążania pamięci zabitego — wersji o łapówkach nie uważał za możliwe popierać. Ale jednocześnie sądził, że było coś w postępowaniu Olewińskiego, jakiś brak decyzji względem przyszłego zabójcy; w chorym umyśle Niwińskiego wytworzyło się pojęcie o jakimś obowiązku, ciążącym na Olewińskim. To był zaczątek tych natrętnych idei Niwińskiego, które kazały mu widzieć w Olewińskim sprawcę swych nieszczęść.

Sam fakt zabójstwa człowieka zupełnie niewinnego uważa obrońca za dowód choroby umysłowej zabójcy. Obrońca prosił o zastosowanie do Niwińskiego artykułu prawa, mówiącego o zabójstwie pod wpływem afektu, wywołanego otrzymaną przez zabójcę zniewagą.

O g. 12 w nocy sąd okręgowy ogłosił wyrok, skazujący z art. 458 cz. I k. k. Władysława Niwińskiego na 8 lat ciężkiego więzienia. Powództwo cywilne zasądzono wdowie zabitego i dzieciom w sumie 143 miljonów 900 tys. mkp.

Poseł Dąbal przed sądem *).

P. Tomasz Dąbal, urodzony w 1890 roku, mieszkaniec miasteczka Sobów, powiatu Tarnobrzeskiego, wychowaniec uniwersytetu, b. kapitan wojsk polskich, poseł na Sejm Ustawodowczy, oskarżony z artykułu 129, 102, 52 kodeksu karnego zasiadł wczoraj tylko na godzinę na ławie oskarżonych. Sprawa jego rozpoczęta o 11-ej zrana w sali sądu okręgowego, o 12-ej już została przerwana do 9 i pół zrana dnia dzisiejszego.

Z 65 świadków, wezwanych do sali sądowej, nie stawiło się kilkunastu; byli pomiędzy nimi tacy, których zeznanie ma istotne dla sprawy

---

*) Początkowo, autor tych szkiców sądowych chciał zgrupować oddzielnie procesy typowo kryminalne, a oddzielnie polityczno-karne i prasowe. Ale z przerażeniem spostrzegł, że typowo-kryminalne procesy są przeważnie sprawami o zabójstwo. Tak wiele krwi wylano podczas wojny — i tak wiele wylewają zbrodnicze dłonie po wojnie! Jednostajność wrażenia dla czytelnika byłaby niewątpliwie pognębiającą. Więc wszelka klasyfikacja została zaniechana. A dla urozmaicenia wrażeń (zechce czytelnik wybaczyć autorowi to niewłaściwe wyrażenie o tak ponurym temacie, jak temat sądowo-karny) sprawy typowo kryminalne będą przeplatane sprawami politycznemi i prasowemi. Sprawa Dąbala rozpoznawana była w Sądzie Okręgowym 4—8 lipca 1922 roku.

znaczenie, a o prawności ich niestawiennictwa (tylko przy prawności niestawiennictwa może być odczytanem zeznanie świadka nieobecnego) sąd dotychczas wiadomości nie otrzymał. P. pprokurator Rettinger wobec tego prosił o odroczenie sprawy; z wywodów jego wnieść należy, że poseł Dąbal oskarżonym jest o odczytanie publiczne mowy, podburzającej do obalenia istniejącego w państwie ustroju społecznego i że oskarżenie nie może zrzec się dwuch nieobecnych świadków, którzy ustalą szczegóły podburzania, intonację, gest, dokładność zwrotu mowy. Obrońca, adw. Duracz prosi o nieodraczanie rozprawy i gotów, po części, przynieść proceduralną legalność w ofierze szybkości sądu. Drugi obrońca, adw. Jan Dąbrowski, przypuszcza, że przy odroczeniu sprawy, w dzień nowego terminu sąd narażony będzie na nowe niestawiennictwa; we wszystkich świadkach, bez rozróżniania świadków obrony od świadków oskarżenia, widzi jednakowo doskonały materjał do wydobycia prawdy sądowej; nie sądzi przeto, żeby zachodziła potrzeba odraczania i prosi udatną formułą „zdyskontować coś z idealnej dobroci procesu na rzecz słabej ludzkiej możności“, tembardziej, że poseł Dąbal znajduje się pod kluczem i chciałby jaknajprędzej z pod niego się wydobyć,

Po krótkiej naradzie sąd w osobie przewodniczącego p. Gumińskiego, asesorów sędziów Grzybowskiego i Krassowskiego pogodził legalność z interesem oskarżonego i, nie odraczając rozprawy, przerwał ją do dzisiejszego rana w celu upewnienia się o przyczynach niestawiennictwa

świadków i zmuszenia ich, jeśli zajdzie tego potrzeba, do stawienia się.

Drobną lekcję legalności dał również sąd kancelarji pana marszałka Sejmu, która zwróciła sądowi obydwa egzemplarze wezwania p. marszałka do sądu w charakterze świadka—bez podpisu p. marszałka, z krótką wzmianką kancelarji „że p. marszałek stawić się nie może". Sąd powtórnie prześle wezwanie dostojnemu świadkowi, który, rozumie się, z taką samą pełną szacunku gotowością stawi się do sądu, z jaką to czynią na Zachodzie najwięksi potentaci nietylko demokracyj, ale i monarchji.

Drobna czterotysiączna grzywna przypomni pp. posłom Barlickiemu i Sudolowi, że obowiązek świadka należy do najszanowniejszych w organizowanem społeczeństwie.

Po powrocie do swej celi, poseł Dąbal powinienby wystosować do p. Vanderwelde*) depeszę następującej treści: „Sytuacja moja nie przypomina sytuacji pańskich klientów, moskiewskich es-erów. Niema obawy, aby mieszkańcy Warszawy, odpowiednio zreżyserowani, defilowali przed sędziowskim stołem, wołając o moją głowę. Obrońcy moi będą mogli powiedzieć wszystko, co do obrony będzie potrzebne. Mój stenograf zapisuje spokojnie każde słowo. Żadnego gwałtu nademną nie będzie. Pomoc zagranicznych socjalistów jest zbyteczna".

Przyjaciele zaś posła Dąbala powinniby wy-

---

*) Leader socjalistów belgijskich, jak wiadomo, jeździł do Moskwy, w charakterze obrońcy es-erów; ale czując swoją niemoc—powrócił do domu—w środku procesu.

stosować do Moskwy depeszę: „Poseł Dąbal wygląda świeżo i dobrze. Uśmiecha się, jak człowiek, który ma białe zęby i jest dumny z honorowego obywatelstwa miasta Moskwy. Ubrany jest bardzo elegancko, jak przystało na komunistycznego dygnitarza pogenueńskiej epoki. Jednakowoż, wobec pewnych wątpliwości, prosimy zapytać Czyczeryna i telegrafować do Hagi, do Litwinowa, czy biały krawat o godzinie 10-ej zrana jest przyjęty“.

(Dzień drugi).

„W sali Teatru Powszechnego, 20 września roku 1921, na wiecu w sprawie wyborów do Kasy Chorych, poseł Dąbal nawoływał do głosowania na listę komunistów, do objęcia tej placówki komunizmu, która w chwili stanowczej będzie twierdzą w walce z obecnym ustrojem, do rozpędzenia Sejmu i Rządu: „już się szykują w Cytadeli mieszkania dla tych, kto dzisiaj rządzi“; mówił „my, komuniści“; pysznił się z honorowego obywatelstwa Moskwy; wnosił okrzyki na cześć Lenina.

Na Placu Teatralnym 9-ego października roku 1921 podczas wiecu dnia szkoły powszechnej, otwarcie nawoływał do rewolucji; „oświatę da narodowi tylko dyktatura proletarjatu“; wzywał robotników do czynnych wystąpień i stanięcia na barykadach.

Na wiecu na Placu Teatralnym 14-ego października roku 1921 w sprawie ośmiogodzinnego dnia roboczego publicznie nawoływał do speł-

nienia buntowniczęgo czynu, do zburzenia kapitalistycznego ustroju.

Należał do Polskiej Partji Komunistycznej z wiedzą, że partja ta, jako cel, ma zamach na ustalony w drodze praw zasadniczych ustrój państwowy Polski".

Takiem jest oskarżenie. Poseł Dąbal słucha go spokojnie, z uśmieszkiem; i zaraz potem, ledwo że świadkowie katolicy złożyli przysięgę w ręce księdza, a bezwyznaniowi—dosyć liczni i wyłącznie aryjczycy — uroczyste przyrzeczenie w ręce przewodniczącego, przy pierwszem zetknięciu z sądem, daje ujście swej, nagromadzonej w ciągu kilku miesięcy zamknięcia, niecierpliwie tłumionej żądzy wypowiedzenia się. Zrażony zimnym regulaminem rozprawy, który, wobec zaprzeczenia winy: „do żadnej winy się nie poczuwam", daje naprzód głos dowodom objektywnym, oskarżony wyrzuca z siebie pierwsze nuty pseudo-bohaterskich komunistycznych recytatywów; chce odrazu, przez grube mury Pacowskiego pałacu, ponad głowy sędziów, mówić do wyborców, do mas, do potomności—ale chłód otoczenia zziębił go—i z wielką elastycznością i zręcznością poseł Dąbal zestąpił ze swej góry Synai na ziemię.

Tymczasem wysłuchaliśmy zeznania p. marszałka Trąmpczyńskiego. Obrona wezwała go, aby ustalić, że nie wszystkie frakcje sejmowe są odnogami odnośnych partji, że przeto komunistyczna frakcja może być pomyślana nietylko jako przynależność Polskiej Partji Komunistycznej, ale może istnieć odrębnie. P. marszałek dał te wyjaśnienia i kilka innych w tym rodzaju,

bez żadnego niezadowolenia. Dowiódł tem wielce dobrego serca, bo obrona mogła otrzymać nie mniej wiarogodne i wystarczające wiadomości, nie odrywając marszałka od zajęć. Dyr. kancelarji sejmowej p. Pomykalski był również obecny w sali, jako świadek.

Potem, poseł Dąbal mówił dwie godziny. Dziwne wrażenie sprawia ten młody człowiek; odrzuca wyłogi kurtki, ręka w kieszeni, z typowem połamaniem korpusu wiecowca; zwrócony bardziej do publiczności, niż do sądu; z ciągłym naciskiem i wyrazistością słowa, co wyradza się prędko w bezbrzeżną monotonję; o głosie białym, głuchym; o dykcji niepewnej, stylu zaniedbanym i pretensjonalnym. „Charakter moich wyjaśnień jest wyjaśnieniem"; „praworządność tkwi w naszych władzach", „pan jest bardzo gorliwy w moich objaśnieniach". Talent mówniczy mizerny, frazes wymęczony; wygląd i intelekt Zołzikiewicza, który się stał komunistą; ochłapy łaciny, może chłopięce wspomnienia ministranta.

A pozatem wszystkie komunały broszur komunistycznych w głowie, w sercu i na języku; i ślepota fanatyzmu już nieuleczalna; i okropna manja pewności, ograniczona, uparta i niebezpieczna. Poseł Dąbal już wszystko wie i wszystko dla niego jest jasne: i to, że Trocki zasłużył na szacunek Polski w Brześciu Litewskim i to, że „głód w Rosji jest rezultatem kontr-rewolucji". Z tą pewnością w duszy dojrzał poseł Dąbal do sowieckiej miary; i, jeśli porzuci Polskę, w której „demokracja jest karykaturalną" dla Rosji, gdzie ona jest arcywzorem, ten czwarto-

rzędny człowiek nie będzie mógł odmówić, po kilku tygodniach uroczystości i kadzideł, jakie mu będą dedykowane za jego „cierpienia w Polsce“ — pomocy w gnębieniu tej kontr-rewolucji. Jako polskiemu towarzyszowi, prawdopodobnie powierzą mu „polską kontr-rewolucję“. Wtedy poseł Dąbal będzie stosował do winowajców normy komunistycznej sprawiedliwości, gdyż gardzi wyniośle burżuazyjną — tym „płaszczem do osłonięcia przemocy“.

Ale tymczasem poseł Dąbal zawzięcie korzysta ze wszystkich praw, jakich mu ta pogardzona, ale niewątpliwie naiwna, burżuazyjna sprawiedliwość użycza. Do żadnej winy się nie poczuwa; „komuniści nie są terrorystami; żadnych bojówek nie mają; nie podburzają tłumów, nie nawoływują do gwałtu—oni tylko uświadamiają“. Poseł Dąbal uświadamiał. Działalność jego była jawną, polityczną, dozwoloną. „Oskarżenie jest uplanowane; z sądu chcą zrobić narzędzie zemsty“. Oskarżony był prezesem komisji nietykalności; „ta komisja zajmowała się tylko tem, że odmawiała nietykalności Dąbalowi“. Nie jest winnym zdrady, chociaż dodaje, że dla komunisty pojęcie zdrady nie istnieje — chyba zdrady względem komunizmu i międzynarodowej robotniczej solidarności, Wszystko, co mówił, zawarte jest w jego prawie posła; o zmianie ustroju mówił, jak o celu, do którego trzeba dążyć, który będzie osiągnięty, rozumie się, drogą krwawą, gdyż żadna rewolucja inaczej się nie dzieje; ale nigdy słowa Dąbala nie miały na celu natychmiastowego, gwałtownego przewrotu.

A kiedy mowił o Cytadeli — to raczej biadał nad głodem mieszkaniowym. ponieważ wiadomo, że cele więzienne w Cytadeli pozamieniano na mieszkania dla urzędników... Do partji nie należy...

(Dzień trzeci).

Zdawało się drugiego dnia procesu, że oskarżenie słabnie pod wpływem nieokreśloności zeznań. Na wiecach, gdzie agitował oskarżony, nie było właściwie obojętnych: byli zwolennicy lub wrogowie. Jeśli zwolennicy nie dali materjału dla oskarżenia, mówili ostrożnie, sprowadzali dąbalowską agitację do poziomu trochę jaskrawszej krytyki władz lub ustroju społecznego, bez podburzania do antypaństwowego bezpośredniego działania, to wrogowie, przeważnie chrześcijańscy demokraci, swemu patrjotycznemu oburzeniu dawali formę tak ryczałtową, tak niedosyć plastycznie odróżniali ową polityczną jaskrawość od pchania mas do politycznej zbrodni — że zmudna, ale przewrotnie zręczna djalektyka oskarżonego miała pozory zwycięzkie. Była na wiecach jeszcze trzecia grupa — członkowie polskiej partji socjalistycznej, Ale ci świadkowie, którzy mogli dać sądowi najlepszą pomoc najdoświadczeńszej obserwacji, którzy mogli i powinni byli decydująco i wiarogodnie orzec, co w słowach Dąbala było występnym czynem, zajęli w tej sprawie pozycję, jeśli nie sceptyczną, to jakąś z wysoka pobłażliwą, Czy wrażliwość ich w ciągłych kontrowersach, zatargach nieco stępiała, czy wobec tłumów podnieconych, czekających

jakiegoś zbawczego słowa — myśleli tylko o chwilowem zwycięstwie, czy wogóle nie chcieli rzucać na szalę oskarżenia ciężaru swych zeznań, uważając ten sposób rozrachunku z politycznym przeciwnikiem za niewłaściwy dla socjalisty — w każdym razie to zamknięcie się świadków—socjalistów w wieży ze słoniowej kości nie pasuje do ważności sprawy, do jej bezmiernie wielkiego znaczenia. Bo chyba socjaliści nie łudzą się odnośnie do tego, coby się z nimi stało, gdyby ich z tej wieży wyciągnął zwycięzki polski komunizm z towarzyszem Dąbalem na czele. Zeznanie radnego Jaworowskiego, który przewodniczył na wiecu, gdzie palmę przewagi chciał mu odebrać oskarżony, jest zupełnie w tym względzie charakterystyczne: świadek pamięta o zatargach, o chaosie na okół, ale nie odczuł nic z tego, co oburzało tych, podniecało tamtych i bez ciekawości, bez zdziwienia — i, może, bez rozumienia — był obecnym przy falowaniach zbiorowej prostaczej duszy... Tylko poseł Malinowski wniósł dysonans do tej zbędnej harmonji, Ku zdziwieniu oskarżonego, nie zgodził się z jego twierdzeniem, że komunizm polski żacha się bojówek; zeznał, że one istnieją i że sam na sobie miał okazję przekonać się o ich istnieniu...

Wczorajsze posiedzenie wlało sporo krwi oskarżeniu. Zamiast bardzo szczerych, ale bardzo zdawkowych zeznań, oskarżających posła Dąbala gorąco, ale nieuchwytnie — świadkowie Sieński, Miklaszewski, Szczawiński, Różdżyński, Kosmaczewski i kilku innych odtworzyli incydenty wieców z dostateczną, ale niepożądaną dla oskarżo-

nego wiarogodnością. Świadek Sieński. człowiek młody, energicznie świadczył, że poseł Dąbal, który wtargnął się ze zwolennikami na wiec, organizowany przez chrześcijańską demokrację., agitował za listą Czerwonego Komitetu nie dla tego, aby wnieść do Kasy Chorych ulepszenia lub reformy, ale żeby, jak mówił, owładnąć tą placówką agitacji.

„Nie może być reform i ulepszeń w dzisiejszym ustroju; dopiero na jego gruzach można budować, po obaleniu ustroju, po zaprowadzeniu Rad Robotniczych". Dąbal wnosił okrzyki na cześć Sowietów, wołał: „niech żyje komunistyczna partja robotnicza Polski"; wołał i podniecał do wołania „Precz z Sejmem, precz z rządem". Nie z dzisiejszym składem rządu lub sejmu, ale z rządem i sejmem, jako podstawowemi instytucjami Polski. Wywołał olbrzymie podniecenie, sterory-zował chrześcijańskich demokratów; Rota i Międzynarodówka zagłuszając się wzajemnie, zakończyły wiec. Na sali zwolennicy Dąbala byli zbrojni — obecność bojówki deprymująco oddziaływała na obecnych. O bojówce na wiecu Kasy Chorych mówiły także panie Cybulska i Pawłowska. Świadek Kosmaczewski zeznaje, że mowa Dąbala na wiecu była wybitnie komunistyczna, nawołująca do czynu.

Na wiecu o szkole powszechnej postawa posła Dąbala była również wojowniczą i nie liczącą się z kodeksem karnym. Wzywał do porządku sowieckiego — powiada świadek Miklaszewski — znowu wnosił okrzyki na cześć Lenina; w całym duchu przemówienia było nawoływa-

nie do rewolucji socjalnej, do obalenia rządu; Dąbal obiecywał słuchaczom, że „ na gmachach warszawskich urzędów będzie powiewała czerwona flaga“, a po wiecu, z plakatami i transparantami, on i zwolennicy jego pociągnęli ku Sejmowi, tylko po drodze skierowali ku „Rzymskiemu hotelowi“, kiwali czerwonemi sztandarami przed balkonem sowieckiego poselstwa i wznosili okrzyki na cześć jakiegoś jegomościa, który wyszedł na balkon dziękować.

Do wiecu Kasy Chorych wróciliśmy wczoraj wieczorem ze świadkiem Szczawińskim i Rożdżyńskim; obydwaj namiętni, obydwaj szczerzy, zmącili oni uśmiechnięty i pewny siebie spokój oskarżonego. Chwile tych zeznań były dramatyczne, a prawda ich zdaje się niewątpliwą.

Świadek Szczawiński sformułował różnicę między chrześcijańskim socjalizmem i komunizmem — a „polskiem swem sercem“, w przeciwstawieniu do „komunistycznego serca“ Dąbala i burzył się przeciwko krwawym intencjom komunizmu. Widział na wiecu uzbrojonych robotników, zwolenników Dąbala, bojówkę, co przyszła onieśmielić organizatorów wiecu i słyszał jego przeciwpolskie, przeciwpaństwowe mowy. A świadek Rożdżyński ostatecznie zburzył równowagę ducha oskarżonego, który wbrew swej pogardzie dla burżuazyjnych instytucji nie może znieść, jeśli ktoś przypuszcza, że stan oskarżenia pozbawił go właściwości posła. Pozostanie, prócz burzliwych epizodów, świadectwo Rożdżyńskiego w pamięci słuchaczy tem, że Dąbal zbierał na wiecu składkę dla rosyjskiego proletarjatu, że je-

go agitacyjna pogarda dla państwa działała na słuchaczy, jak bezpośredni impuls i że jedna ze słuchaczek Dąbala, odezwała się o nim, jak mówi świadek: „Dąbal wszedł do Sejmu, jak Macoch do kościoła".

(Dzień czwarty).

— Przyjdź do mnie — powiedział entomolog do przyjaciela. — Pokażę ci wspaniałego motyla. Przyjaciel przyszedł. Na tysiącu szpilek zobaczył tysiąc drobnych szmatek. To miał być wspaniały motyl.

Na sześćdziesięciu pięciu wrażliwościach sześćdziesięciu pięciu świadków procesu, jak motyl na tysiącu szpilek, rozdarły się badane przed sąd fakty na drobne szmatki, często odmienne, to bezbarwne, to znów rażąco zabarwione, całości nie tworzące. Ale sąd musi je zebrać w jednolity kompleks zgodny z kodeksem, lub karygodny. Zadanie trudne.

Szereg świadków — z etykietą świadków obrony: Skarzyński, Maciąg, Spojankowski, Rygalski. Nic jakoby nie wiedzą: według ich zeznań, w agitacji Dąbala na wiecach nic nie było zdrożnego; o mieszkaniach w Cytadeli dla tych, co teraz rządzą, mowy nie było; nic przeciwpaństwowego w mowach oskarżonego nie słyszeli; przygotowywał on raczej słuchaczy do przyszłych wyborów do Sejmu, krytykował ministra Michalskiego; krzyczeli: precz z burżazją. Świadek Maciąg krzyczał także. Sam on jest robotnikiem, więc nie mógł krzyczeć: precz z robotnikami: ale uważa, że okrzyk: precz ze wszystki-

mi innymi, prócz robotników — jest zupełnie naturalny. „Tak wychodzi“; skoro jestem robotnikiem, wszyscy, co robotnikami nie są — są niepotrzebni. Skarzyński głosował za czerwoną listą do Kasy Chorych, bo chciał, żeby zarząd Kasy składał się z robotników; ale nie wiedział, że z mocy ustawy większość w zarządzie musi być robotnicza i dla czego lista, protegowana przez Dąbala miała być lepsza od listy, popieranej przez socjalistów — nie wie. Dla świadka Duckiego, kandydaci Dąbala do zarządu Kasy Chorych byli rękojmią tego, że lekarstwa dla chorych będą lepsze; ale świadek nie przypuszcza, aby burżuazja miała inne apteki, niż robotnicy. Rygalski, z czerwonym gwoździkiem w butonierce, słyszał na wiecach tylko tyle, że Dąbal mówił o rewolucji, jako o konieczności dziejowej; i to oderwane akademickie zdanie było jedynem, które świadek zapamiętał. Z Placu Teatralnego poszedł z pochodem pod Sejm; ale czy pochód przystawał u „Hotelu Rrzymskiego“ — nie wie. Może inni — w każdym razie nie świadek.

Wszyscy ci świadkowie: szewcy, krawcy, ślusarze, kolejarze, demokraci, jak o sobie mówią „z ciekawości tylko zaglądają na wiece; nie orjentują się w polityce i nie wiedzą, czemu garną się bardziej do Dąbala, niż do kogo innego“. Mówią oględnie, powoli i tylko uparcie wpatrzone w sędziów oczy, tylko nabrzmiałe żyły na skroniach i szyi, lub drżący w ręku kapelusz — dowodzą, że w głowach idzie robota napięta; każą wnosić, że ani na chwilę świadomość jakiegoś niebezpieczeństwa, potrzeba jakiejś oso-

bliwej ostrożności — ich nie opuszcza. Wydobyć z nich prawdę niesłychanie trudno, może niemożliwie; sąd w swych usiłowaniach napotyka wciąż jednakową, upartą nieprzenikliwość sumień, aż nieufny wobec bezbarwności otrzymanych odpowiedzi, niedopasowania ich do przypuszczalnego poziomu inteligencyj, zapytuje: „czy w sądzie burżuazyjnym nie należy mówić prawdy?“

W tem bolesnem zapytaniu tkwi tragedja współczesnego sądu w sprawach politycznych; jest ono wyrazem beznadziejności stosowania w tych sprawach cywilizacyjnego aparatu rękojmi sądowych. Czy w politycznych procesach kwestja celowości ma raz na zawsze zepchnąć z drogi kwestję legalności? Ci, do kogo modli się poseł Dąbal, już oddawna — i z jaką brutalną potwornością — zaliczyli legalność do szeregu burżuazyjnych przesądów. Sprawiedliwość polska tą drogą nie pójdzie.

Ci świadkowie są jak zapałki, które, jedną po drugiej, wyciągamy z pudełka, uparcie trzemy o fosfor i odrzucamy, bo żadna zapalić się nie chce. Ale dosyć rzucić iskrę do tego pudełka źle przepojonych palnym materjałem główek — wybuchną wszystkie odrazu. Są ciemni, uparci, ograniczeni — ale dosyć rzucić na ich wyobraźnie podstępny ogień wszystko obiecującego szarlataństwa — wybuchną i pójdą na lep wszelkiego politycznego oszustwa, choćby ono miało im przynieść nieszczęście i rozpacz. Poseł Dąbal zaprasza ich na sądzie do subtelnych rozróżnień: „czy wówiłem o rewolucji, jako o konieczności dziejowej, czy też jako o czynie, wymagającym

natychmiastowego wykonania? Czy, obiecując czerwony sztandar na wieży ratusza, mówiłem o jutrze, czy o pojutrze?“ Poseł Dąbal doskonale rozumie, że cała siła jego nawoływań polegała na ich dwuznaczności, na zmąceniu woli nieodpornych, impulsywnych natur. Te nawoływania są bezterminowe; ich celem nie jest udoskonalenie świadomości, ale wytworzenie nieprzepartej emocji.

Subtelnie *distinguo* polityczne jest rzeczą niełatwą; oto świadek, poseł Sudol, niegdyś kolega frakcyjny p. Dąbala wraz z ks. Okoniem. Zapytany o swój program polityczny, obraża się: „przecież ja nie jestem oskarżony“! Swoją drogą uważa siebie za polityka, „trudni się polityką“, ale sformułować jej nie potrafi; orjentuje się, zresztą, we frakcjach i partjach, jak księgarz w książkach, których nigdy nie czyta. Związany jest tysiącem nici z ustrojem społecznym. Co powiedzieć o innych, mniej szczęśliwych, jeszcze mniej świadomych? Dla nich poseł Dąbal jest groźnem niebezpieczeństwem.

I wszystko jedno, czy poseł Dąbal należy do polskiej partji komunistycznej, czy tylko do sejmowej komunistycznej frakcji. Bezwątpienia, jeśli nawet nie należy—to z rozkazu tejże partji. „Tak wychodzi“, wedle klasycznego zwrotu świadka Maciąga. Tak wygodniej — dla jawności, bezkarności akcji. Zbyteczne było pod względem zeznanie świadka Lauera.

Ten młody, piękny człowiek, w otoczeniu dwuch policjantów, przyszedł do sądu z więzienia. Doktór-matematyk, docent szwajcarskiego

uniwersytetu, ostro i nieprzejednanie, z pogardliwą otwartością przyznaje, że sam jest członkiem partji, zaprzecza, jakoby poseł Dąbal był nim również. Śmieje się z legendy bojówki; komunizm zna tylko masowe oddziaływanie; o komunistycznych bojówkach wszyscy mówią, nikt ich nie widział. Odmawia zaufania posłowi Malinowskiemu; ten czerpie swe wiadomości od defensywy, która ludzi katuje, bije i męczy...

Czy Lauer ma słuszność?

Bojówki, być może są tworem rozgorączkowanej wyobraźni. Komunizm działa podziemną drogą, masową — pojedyńcze morderstwa nie uśmiechają mu się. Po co? Po zwycięstwie nastąpi zapłata; zamiast pięćdziesięciu ludzi „zoperowanych“ przez bojówki — zwycięski komunizm zgładzi pięćset tysięcy. Komuniści klasy wstępnej, pp. Dąbal i Lauer, rozmawiają jeszcze językiem burżuazyjnego idealizmu. Skarżą się na niesprawiedliwość, na zadawane cierpienia.

Dajcie im władzę. Sympatyczny młodzieniec, o którym z rozrzewnieniem mówił jego teść, p. Nowaczyński, t. j. „współczujący nieszczęściom robotnika i inteligenta poseł Dąbal“—stanie, jeśli mu każą, na czele czrezwyczajki — albo, zważywszy gatunkowy dąbalowski ciężar — nawet nie na czele. Doktór matematyki, docent uniwersytetu zamknie oczy na piekło mąk, które go będzie otaczało — i będzie tworzył nędzne sztuczydła ze spokojem amoralnego szaleńca.

„Jeżeli chciałem, mówił Jaurès, stanąć w pierwszych szeregach proletarjatu, to dla tego, aby ocalić przyszłą rewolucję socjalną od okropności

tortur i rozlewu krwi, które dotychczas plamiły wszystkie rewolucje burżuazyjne".

Bolszewicy wycofali z obiegu jego dzieła.

(Dzień ostatni).

Kiedy poseł Woźnicki po otwarciu posiedzenia objaśnił sądowi, że podczas wiecu na Placu Teatralnym nie zaszło nic takiego, coby posła Dąbala mogło postawić w stan oskarżenia, nic takiego, coby mogło zaniepokoić świadka, obudzić jego czujność, zdawało się, że to zeznanie powiększy tylko liczbę zeznań niedostatecznie wyrazistych, a tak częstych w tej sprawie. Ale stało się inaczej. W mowie oskarżyciela, prokuratora Rettingera, zeznanie to stało się punktem wyjścia nietylko dla wywodów, ale i dla oburzenia. Musiało być ono bezgraniczne, skoro, wbrew ogólnemu przepisowi o należnych każdemu świadkowi względach grzeczności, wbrew prezumpcji— nietylko prezumpcji — szanowności świadka, prokurator ocenił to zeznanie jako kłamstwo, a świadka jako kłamcę. I uczynił to, nie dodając bynajmniej, że wszczyna przeciwko świadkowi oskarżenie o fałszywe zeznanie i że będzie domagał się wydania świadka przez Sejm. Nie powstrzymany przez przewodniczącego, miał prokurator dosyć czasu do umotywowania swego oburzenia, ale tego nie uczynił i pozostawił audytorjum pod wrażeniem zdziwienia, że mogą z trybuny oskarżyciela być rzucane słowa, na uzasadnienie których trzeba czekać dłużej niż pozwala trwanie rozprawy.

Cóż takiego się stało? Coprawda, świadek

powiedział: „byłem zaniepokojony czem innem; obawiałem się plakatów: „Bóg i Ojczyzna“. Może te dwa słowa, jako powód do niepokoju świadka, zaniepokoiły oskarżyciela? Jeśliby Anatole France*) przyszedł do sądu i usłyszał zeznanie posła Woźnickiego—powiedziałby: „to dziwny poseł! Przychodzi do sądu, który siedzi przed krucyfiksem i pod znakiem orła białego, i szuka u sędziów współczucia z okazji swej awersji do Boga i do Ojczyzny. I ja także jestem ateuszem, albo prawie jestem, ale bym tego nie zrobił. I przypuszczam, że Elizeusz Reclus w kwestji ojczyzny byłby również taktowniejszy“. Tak, ale Anatole France nie zna naszych stosunków, nie wie, że tu chodzi o Boga politycznego i Ojczyznę polityczną, Boga i Ojczyznę, specjalnie wydzierżawionych przez pewne stronnictwo—w przeciwstawieniu do Boga i Ojczyzny innych stronnictw. Tu chodzi o Boga i Ojczyznę plakatów partyjnych. Oskarżyciel wie o tem chyba dobrze—i nie powinien był rozumieć świadka, jak jakiś naiwny Anatole France. A jeśli zrozumiał go dobrze—to publiczność nie zrozumiała oskarżyciela.

Był to silny moment mowy oskarżyciela — ale samotny. Bo w tej sprawie, wielkiej i ważnej politycznej sprawie, w oskarżeniu nie było tchnienia tej wielkości i wagi. Mniejsza o to nieszczęsne zaliczenie Polski do Wschodu, do Dalekiego Wschodu; był to tylko *lapsus* nieposłusznej aratorowi *linguae*. Ale nie było tego wzniesienia się

---

*) W lipcu 1922 roku wielki pisarz trancuski żył jeszcze.

nad pobieżną analizę faktów, nie było tego uduchowienia. które ożywia i uogólnia; nie było grozy, jaka wionie od przestępstwa. Nie widzieliśmy, jak słowo staje się zbrodnią i jak zbrodnicze błąka między ludźmi, pchając ich na bezdroża. Zdawało się, że rozprawa się toczy o rzeczy zdawkowej, o codziennej strawie karnych oddziałów. Tak, to trudna była sprawa.

Nie było tego tchnienia i w obrończych mowach. P. Duracz jest widocznie doświadczonym prawnikiem; p. Dąbrowski adwokatem o poważnej kulturze i wykształceniu, o prawdziwej, niezawodzącej pewności wysłowienia. Ale nie podnieśli oni procesu do jego prawdziwej wysokości; bo nie rzucili na postać Dąbala wiele światła. Zaniechali psychologji i społecznej analizy dla analizy paragrafów, szczegółów, odcieni. I dziwna rzecz, w tej roznamiętniającej sprawie ani oskarżenie, ani obrona nie mieli, czy nie chcieli mieć, temperamentu. P. Dąbrowski zastrzegł się, że nie podziela poglądów i doktryn posła Dąbala i starał się być tylko rozumnym—i był nim. Ale nic więcej.

Dla czego oskarżenie wierzy tylko przeciwnikom politycznym Dąbala i jednemu świadkowi, który, choć nie należy do wrogiego stronnictwa, ale duchowo mu sprzyja? Dla czego nie wierzy nikomu z tych wielu, co powiadają, że mowy Dąbala nie podburzały do obalenia ustroju? Dla czego stosować do oskarżonego, pośpiesznie zredagowany, z obcego kodeksu, paragraf o spisku? Dla czego wzmianka w liście Lauera wystarcza do oskarżenia o należenie do komunistycznej partji? Oto tezy obrony.

Już późno wieczorem wstał poseł Dąbal po mowie swych obrońców.

Był to najprzykrzejszy moment procesu. Przed sądem stał już nie bohater, ani demagog, ale młody człowiek zmęczony, bezradny, zwyczajnie człowiek, co cierpi. Wzruszenie uczyniło głos jego cieplejszym. Jak każdy inny oskarżony w ostatniej chwili przed wyrokiem—budził tylko żałość i litość. Wyglądał, jak gdyby wcale nie chciało mu się mówić, ale raczej jak ktoś, kto chciałby być gdzieindziej, aby samotnie i spokojnie popłakać. Ale „obowiązek“ męczennika proletarjatu zmuszał go do mówienia. Wszystko, co powiedział, było bezładne, nietaktowne, niepotrzebne. Z naiwnem oburzeniem dziwił się, że prokurator spodziewał się odeń przyznania do winy, jak gdyby onegdaj jego towarzysz Lauer tego nie uczynił, jak gdyby przyznanie do winy nie było rzeczą śmiałą i elegancką. Z surową intonacją głosu karcił Polskę za jej podporządkowanie się francuskiemu kapitałowi; w chwilę potem on, komunista, ostrzegał ją w imieniu „wstecznika“ Tardieu, że sojusz z Polską będzie zerwany, jeśli nie skończy się tu ten chaos, którego najbardziej oburzającym wyrazem jest, oczywiście, aresztowanie Dąbala. O sobie samym mówi z zabawnymi domyślnikami w głosie i geście, z minkami skromności. Było coś bardzo dziecinnego w tych żałosnych beztaktach i żadna surowość sądu nie miałaby serca powstrzymać tej powolnej i jękliwej kaskady, gdyby poseł Dąbal nie opanował swego wzruszenia, które już się nieco

udzielało i nie przeobraził się znowu w wiecowca, „uświadamiającego“ sąd.

Znowuśmy usłyszeli tę wieczną banalność pożyczonej myśli i zawsze jednakowy, nieznośny żargon komunistycznych orzeczeń i klątw, i ograniczoną kategoryczność zapewnień, nie licującą z rozpaczliwym ubóstwem motywu. Swoją drogą zdobył się poseł Dąbal na brawurę: „bardzobym chciał gdzieindziej, nie tutaj, spropagować pana, panie przewodniczący“. Czyżby, rzeczywiście, przyszłość należała do takich ludzi tylko dla tego, że są pewni siebie?

Jest to niemożliwe. A w każdym razie jest możliwe i jest konieczne, aby społeczeństwo broniło się przed prorokami, którzy chcą uszczęśliwić ludzkość pożogą, osieroceniem, nieszczęściem, powszechnym pauperyzmem. Jeśli rewolucja socjalna jest dziejową koniecznością — to wcale nie jest koniecznością jej prowokowanie. Jeśli ma przyjść, to przyjdzie, ale jeśli rzeczywiście, przy porodzie wielkich epok życia ludzkości. akuszerką jest siła—to „dla czego ma to być akuszerka o zarażonych, brudnych, zakrwawionych rękach czrezwyczajki“?

Poseł Dąbal zrzekł się prędko ostatniego słowa. Potem nastąpiła najscholastyczniejsza część procesu: redakcja oskarżeniowych pytań, ich analiza przez strony—i zapadł wyrok—6 lat ciężkiego więzienia.

Wyrok surowy, bezwątpienia. Nie mógł on być innym, jeśli sąd uznał winę. Powiadają: nie trzeba tworzyć męczenników. Męczennicy zwy-

ciężają. Trzeba było odstawić p. Dąbala do granicy sowieckiej.

Jest to doktryna lękliwa ludzi, nie wierzących w swoją przyszłość. „Prawda", za którą ma cierpieć p. Dąbal, ujawniła się ludzkości w całej swej potwornej grozie; wszelkiemi siłami trzeba od niej się ochronić. Społeczność nie składa się tylko z kierowników; na jednego kierownika — sto tysięcy zwolenników. Na jednego tygrysa — prowodyra — sto tysięcy nietygrysów, które za nim pójdą, jeśli on zdoła zręcznie ich omamić. Z 10 tygrysami społeczeństwo może się uporać; z miljonem ogłupionego innego zwierza—nie. Tygrysów lub pseudo-tygrysów nie powstrzyma kara ciężkiego więzienia. Ale tych innych powstrzymać może groźba surowego sądu. Wobec okropności, które czekają społeczność z zapanowaniem komunizmu, karzący gest obrończy—jest koniecznym.

Zresztą, sowiecka republika prawdopodobnie zażąda zwrotu swego męczennika. Polska uczyni to z ochotą, jeśli w ten sposób ocali kilku swoich synów od niewinnej męki. A jeśli poseł Dąbal będzie musiał wypić do dna kielich zasłużonej goryczy—to niechaj pamięta o jednem: z polskiego więzienia wychodzi się po odbytej karze. A co się tyczy politycznych skazańców sowieckich, to o nich wiadomo, kiedy ich wzięto do więzienia, ale już ich potem nikt nigdy nie widział—i nie zobaczy.

W sądzie apelacyjnym po kilku miesiącach.

Przewodniczący, sędzia Bonisławski w swym, kilka godzin trwającym referacie, zatrzymał się

szczegółowo na analizie faktów, podanych przez sąd okręgowy za podstawę wyroku, skazującego p. Dąbala na 6 lat ciężkiego więzienia, na apelacji obrońcy, adwokata Duracza, wnioskującego o zupełnej niedostateczności podanych przez sąd motywów, na apelacji podprokuratora Rettingera, wnioskującego o zastosowaniu do oskarżonego artykułu 102 k. k. zamiast art. 129 k. k.

Podprokurator sądu apelacyjnego Leśniewski wyczerpująco bronił tej ostatniej tezy, wedle której samo należenie do partji komunistycznej, mającej na celu zburzenie ustroju społecznego, a co za tem, a raczej przed tem, idzie, i istniejącego ustroju państwowego, już z góry wyrokuje o winie udziału w spisku dla dokonania zamachu na ustalony w drodze praw zasadniczych ustrój państwowy Polski.

Należność do partji komunistycznej jest, w myśl oskarżyciela, nietylko stanem potencjalnie zbrodniczym, który w określonych warunkach może stać się groźnym dla ustroju politycznego Polski, jak jest on niezawodnie i ciągle groźnym dla ustroju społecznego kraju. Z natury swego działania, z metod swej taktyki, z istoty swej propagandy partja komunistyczna jest zrzeszeniem, spiskującem dla dokonania zbrodni zamachu — zwanego rewolucją socjalną. Nie zmienia bynajmniej osobliwej karygodności tego spisku, jako zdrady głównej, fakt, że to lub inne jego uzewnętrznienie nie jest tem *bezpośredniem* działaniem, po którem powinna nastąpić natychmiast zmiana ustroju państwowego. Komunistyczna partja jest to partja, istotą której jest spisek o róż-

norodnych przejawach: natychmiastowego lub powolnego działania, a w każdym razie jednakowo dla ustroju państwowego niebezpiecznego. Przeto i czyny, objęte artykułem 129 k. k.: ogłoszenie lub odczytanie publiczne mowy lub utworu, podburzającego do obalenia istniejącego w państwie ustroju społecznego—o ile są spełnione, jako objaw należności do partji komunistycznej, nabierają specjalnego charakteru karalności ze 102 art. k. k.

Z trzech kategoryj świadków; tych, którzy w mowach Dąbala nie widzieli i nie odczuli nic przeciwpaństwowego; tych, którzy wogóle uważali mowy Dąbala na publicznych wiecach za obojętne i tych, którzy kategorycznie świadczą, że mowy komunistycznego posła na wiecach były nawoływaniem do obalenia ustroju — oskarżyciel wierzy tym ostatnim i żąda uznania winy posła Dąbala. Ale nie chce bynajmniej, aby ten młody człowiek, który jeszcze dwa lata temu, jako kapitan wojsk polskich, podstawiał swoją głowę pod wrogie kule; który dał dowody, że w piersi jego biło jeszcze niedawno polskie i po polsku czujące serce — aby ten młody człowiek który niedawno jeszcze w Tarnopolu agitował za wzniesieniem pomnika Bartoszowi Głowackiemu — został zmiażdzony i do dalszego życia uniezdolniony przez zbyt surowy wyrok. P. prokurator wierzy, że poseł Dąbal nie powiedział jeszcze ostatniego swego słowa w życiu i że to jego ostatnie — i nawet nie ostatnie słowo — może być słowem polskiem i szlachetnem. P. Leśniewski prosił o złagodzenie wyroku.

Obrońca Dąbala, adw. Duracz o wiele moc-

niej, niż w sądzie okręgowym bronił zupełnej odrębności dwuch zbrodni, objętych artykułami 102 i 129 k. k. Wyczerpująco również traktował obrońca oskarżający materjał pierwszej instancji, dowodząc ryczałtowości, nieokreśloności lub niewiarogodności tych zeznań, które sąd okręgowy uważa za decydujące. Wedle obrońcy, mowy wiecowe p. Dąbala nie miały w sobie ani trochę więcej antypaństwowości od zwykłych i zupełnie tolerowanych odezw innych socjalistycznych stronnictw. Nigdy i w niczem p. Dąbal nie przekroczył tej granicy, która oddziela namiętną, ale dozwoloną krytykę istniejącego porządku od nawoływania do obalenia tego porządku. P. Dąbal powinien być wróconym do życia politycznego; skazujący wyrok pierwszej instancji jest niesłuszny.

Sam oskarżony zabrał głos również, Był mniej detalicznym w swem ostatniem słowie, niż kilka miesięcy temu i bez wielkiego oporu zrzekł się głosu, kiedy, starym zwyczajem, jął wiecowo przemawiać — a przewodniczący mu przerwał. Oznajmił p. Dąbal, że nie można posądzać ani jego, Dąbala, ani komunizmu o niechęć i antypatję do Polski. Ten, kto powiada, że p. Dąbal wołał: „precz z Polską“, kładzie posłowi w usta słowa, których on mówić nie mógł. „Dla komunisty Polska jest „kategorją“ sympatyczną i pożądaną“. P. Dąbal odrzuca insynuacyjne posądzanie go o wrogość względem Polski — dał on tego dowody. Odrzuca także narzucaną mu przez prokuratora łaskawą pobłażliwość dla pedagogicznych celów. P. Dąbal nie przyrzeka poprawy

i żadne więzienie, ani dłuższe ani krótsze nie przerobi go. Zostanie tem, czem jest — szczerym i wiernym swej doktrynie komunistą. Ale winnym z artykułów obowiązującego kodeksu karnego nie jest i żąda uniewinnienia. W każdym, zresztą, razie, powróci do tego życia politycznego, od którego chcą go, bez prawa, oderwać.

Sąd apelacyjny złagodził wyrok pierwszej instancji skazując p. Dąbala z art. 129 k. k. na 3 lata ciężkiego więzienia z pozbawieniem praw *).

---

*) P. Dąbal złożył kasację: Sąd Najwyższy skargę jego oddalił. Poczem były poseł został odstawiony do Sowietów i tam, obecnie, jest komunistycznym dygnitarzem, ostrzącym swe zęby na ojczystą ziemię. Ale w chwili, gdy książeczka ta idzie pod prasę, p. Dąbal — tak pisały gazety — jest poważnie chory i stan jego zdrowia jest niebezpieczny.

„Lektor“ contra „Skamander“.

Dr. Mieczysław Jerzy Grydzewski, redaktor „Skamandra“, po śmierci Gabrjeli Zapolskiej wydrukował w tym miesięczniku gorący, zbyt gorący artykuł swego pióra. Wzruszyła go smutna dola autorów, którym ani wieloletnia praca, ani rozległa produkcja, ani wielka wziętość nie mogą zapewnić jutra — i nietylko jutra, ale dnia dzisiejszego. Wzruszyły go zwierzenia zmarłej autorki, podane przez p. Koeltza w głośnym wywiadzie „Przeglądu Wieczornego“; pani Zapolska skarżyła się dzinnikarzowi, że z całej swej twórczości powieściowej nie ma już żadnej korzyści materjalnej, a moralną wydawcy niweczą tem, że ubierają jej powieści w pornograficzne okładki. Redaktor „Skamandra“ obliczył to honorarjum, jakie autorka „Kaśki Karjatydy“ winna była otrzymać wedle mniemania młodego redaktora-literata, któremu nie chce się wierzyć, że bywały czasy, kiedy to powieściopisarz był bezbronny wobec zakusów wydawcy i kiedy żaden związek zawodowy praw jego nie bronił. Wypadła pokaźna suma wielomiljonowa. Przeto

p. Grydzewski napisał, że firma wydawnicza „Lektor“, która nabyła prawa autorskie Gabrjeli Zapolskiej, dopuściła się względem niej wyzysku. A o wydawniczej działalności firmy, charakteryzując ją wielostronnie, powiedział zapalczywie, że produkuje ona wydawnictwa tandentne i niechlujne, że szerzy zgniliznę estetyczną, deprawując smak publiczności masową produkcją pornograficznej miernoty i lichoty.

Właścicielem i „zawiadowcą“ firmy „Lektor“ jest dr. Lewicki, który w imieniu swego „Instytutu wydawniczego“, jak się uroczyście wyraża, pociągnął p. Grydzewskiego do odpowiedzialności za obelgi i oszczerstwo w druku.

„Delikatna“ ta sprawa rozpoznawaną była onegdaj w sądzie okręgowym pod przewodnictwem sędziego Jaworowskiego; zebrała, w charakterze świadków, liczną grupę literackiej braci, w osobach pp.: Jedlicza, Rzymowskiego, Nowaczyńskiego, Muszkowskiego, Lama, prof Witwickiego i zakończyła się po trzygodzinnej rozprawie wyrokiem, skazującym p. Grydzewskiego na 2 tygodnie więzienia.

Czy p. Lewicki dopuścił się wyzysku względem Gabrjeli Zapolskiej? P. Lewicki utrzymuje, że nie; sąd zgodził się z jego opinją. Bo ze stanowiska „normalnego“ porządku rzeczy, wobec dobrowolnej umowy nabywcy i sprzedawcy, cechę wyzysku mogą mieć tylko bardzo wyjątkowe majątkowe ugody — takie, gdzie pogwałconą została wolna wola strony lub gdzie nadużyto przykrej sytuacji majątkowej. A te ogólne warunki onegdajszej przeszłości, kiedy autor sprzedawał swe

dzieło za bardzo suchy kawałek chleba, oczywiście, z tem zgodzić się trzeba ostatecznie i z rezygnacją, — do podobnych wyjątków nie należą. I p. Lewicki zupełnie szczerze mógł się dziwić, że go oskarżają o eksploatację zmarłej autorki.

Tembardziej, że, jak sam p. Lewicki opowiedział w sądzie, osobiście nigdy on nic nie nabywał od Gabrjeli Zapolskiej. Nabył — w 1919 roku — od likwidującej się firmy S. Orgelbranda prawo na 8 utworów powieściopisarki; nabył za sumę względnie niewysoką, bo Orgelbrandowie wysprzedali bardzo tanio wszystkie swe wydawnictwa. Później dokupił od osób trzecich prawo na resztę produkcji autorki; te „trzecie osoby", które nabyły swe prawa również od firmy Orgelbrand, nie skarżą się na wyzysk ze strony p. Lewickiego. O cóż więc chodzi? P. Lewicki jest w zgodzie z prawem ludzkiem. Zresztą dawał liczne dowody swej życzliwości względem zmarłej autorki; w 1920 roku, kiedy we Lwowie było bardzo ciężko z aprowizacją, przyszedł nieboszczce z pomocą, ofiarował jej kilkakrotnie kartki chlebowe! Za to pani Zapolska napisała mu list, w którym nazywa go „łaskawcą" i dodaje, że wie p. L. „jak trafić do serca" autorki. (Przez kartki chlebowe w ciężkich chwilach). P. Lewicki jest więc w zgodzie i z boskiemi prawami miłosierdzia. Czegóż chcieć więcej? Prawda, powiadają, że ongi, wielki wydawca Charpentier zawarł z jakimś młodym literatem, który później zyskał pewną wziętość, ryczałtową umowę na całą produkcję pisarza. Umowę taką, jak to było we zwyczaju ongi za dobrych czasów — umowę za

kawałek suchego chleba. Ale kiedy nieznany literat napisał pierwszą zamówioną powieść, Charpentier przyszedł do autora, ucałował go i podarł zbyt korzystną dla wydawcy umowę. Literatem tym był Emil Zola.

„*Comparaison n'est pas raison*" powiadają Francuzi i przykład Charpentiera może nie być wzorem dla p, Lewickiego. P. Lewicki jest przekonania, że autor jest rzeczą podrzędną, a najgłówniejszą osobą w literaturze jest wydawca. Tylko wydawca wyrokuje o powodzeniu książki. Jeśli umie ją „lansować" i jeśli ma pod ręką profesora psychologji, który w chwilach wolnych rysuje również okładki do powieści — okładki najbardziej budzące ciekawość — to los książki jest zapewniony. I nie ma powodu rozrzewniać się nad losem autorki, zwłaszcza, jeśli ona była tak bogatą, jak zapewnia p. Lewicki, wbrew przed chwilą przezeń cytowanej historji o kartkach chlebowych. Zresztą p. Lewicki możeby od swoich zysków udzielił coś pani Zapolskiej; ale — autorka nie doczekała się tej chwili — umarła. P. Lewicki chciał uczcić jej pamięć konkursem, zastrzegając, rozumie się, jak przystało na rozważnego wydawcę, swój przywilej drukowania nagrodzonego utworu — przeznaczał na to 5 miljonów, później „ze zmianą wartości pieniądza", tylko jeden miljon — i tak to się jakoś rozeszło. Nie ma co mówić, p. Grydzewski nie miał racji. Przynajmniej, tej kodeksowej. Bo co się tyczy innej...

Bardziej skomplikowaną jest druga część oskarżenia, tycząca obelżywej oceny wydawni-

czej działalności „Lektora". Rzecz dziwna. W ocenie tej, jak dowiedzieliśmy się od p, Lewickiego, radykalny „Skamander" spotkał się z narodowo-demokratycznem „Słowem Polskiem". Odpowiadają za to przed różnemi sądami; p. Lewicki, jak wyraził się obrońca „Skamandra" adw. Tadeusz Zagórski, chce kilku wyrokami sądowymi poświadczyć wysoką jakość literacką i moralną swych produkcyj.

Oto świadek oskarżenia, prof. Witwicki, filozof, prof. psychologji uniwersytetu, tłómacz Platona i autor okładki do powieści Gabrjeli Zapolskiej. „Co jest pornografja"? pyta obrońca „Skamandra". — Nic, odpowiada filozof. To tylko obelga, słowo pozbawione treści. Bo człowiek jest miarą rzeczy i niema piękna ani brzydoty samej w sobie. Pornografję pojmuje każdy, jak mu to odpowiada; podniecać się seksualnie można wszystkiem, nawet czytaniem biblji. Pisać o rzeczach brudnych? Dla czystego wszystko jest czyste. Pojęcia estetyczne są tak względne, że trzeba zachować względem nich jaknajwiększą względność, a zwalczać rzecz nieprawdziwą, która sprawia komuś przyjemność, nie jest rzeczą psychologa. (Ani rysownika, prawdopodobnie). Te mocne wyrazy skrajnego potępienia, których użył „Skamander" przeciwko „Lektorowi", są to brzydkie słowa, których nic uzasadnić ani poprzeć nie zdoła. Niema objektywnego probierza słuszności i kto mówi o szerzeniu estetycznej zgnilizny — ten nic nie mówi. Objektywny probierz słuszności potępienia? Gdzie go znaleźć?

W idei Platona porzez okładkę „Janki“ Zapolskiej? O, *vanitas vanitatum!*

Przyznać należy, że taka harmonja estetyczno-filozoficznej myśli rzadko dźwięczy w skromnych salach sądu okręgowego. Co wobec niej mogą takie poziome, realne, niepoetyczne zapewnienia, jak świadectwo p. Rzymowskiego, że przekłady „Lektora“ są encyklopedją niedorzeczności, bezsensów, językowych dziwolągów, nieustającym „językowym skandalem“. Co wobec wyżyn, na jakie zaprowadził nas profesor, mogą zapewnienia pp. Muszkowskiego i Lama, że wydawnictwa „ Lektora“ zdradzają zgóry powzięty zamiar celowego uderzania ciągle w jedną złą ciekawość czytelnika, że są arcy-niedbałe, drukowane na złym papierze, „nienajgorszym, bo jest jeszcze gorszy“. A że tam o jednym z drukowanych przez „ Lektora“ autorów, Włochu Guido da Verona, świadek oskarżenia p. Nowaczyński napisał, że jest to „rozbuchany pornokrata, zwyrodniały, rozwydrzony, wściekły nimfoman“, to nic nie znaczy. Z wdziękiem i lekkością świadczył p. Nowaczyński, że ponieważ pisał o autorze znienawidzonym przez faszystów, w artykule poświęconym faszyzmowi, więc naturalnie, jak to być powinno w artykułach o treści politycznej, czuł się upoważnionym do „celowego“ traktowania prawdy. Czyli, że w artykule literackim p. Nowaczyński może napisze, że Guido da Verona nie jest ani nimfomanem, ani rozwydrzonym pornokratą. Zdawna bowiem wiadomo, że sprawiedliwy kłamie siedm razy na dzień, a człowiek polityczny siedmdziesiąt razy

po siedem. Ci, co czytują artykuły p. Nowaczyńskiego, niechaj baczą, czy czytają literata, czy polityka...

W sądzie apelacyjnym.

... A co się tyczy niechlujstw i tandety wydawnictw „Lektora“, to nawet więzienie nie zmieni prawdy faktów pod tym względem. Wydawnictwa „Lektora“ są — a w każdym razie były — niechlujną tandetą. Dosyć spojrzeć na papier, na korektę, na język przekładów, na styl ich. Świadek Rzymowski, sędzia kompetentny i słusznie surowy, powiedział o tych przekładach i o tym stylu, że jest to „nieustający skandal językowy“. A inni świadkowie i katalog wydawnictw „Lektora“ świadczą, że w wydawniczych tendencjach tego „Instytutu“ dominuje chęć popularyzacji specjalnego piętna obyczajowego. Dr. Porębowicz, wezwany w analogicznej sprawie „Lektora“ we Lwowie jako ekspert, dał ujście swemu oburzeniu. Nie chce się zgodzić z tem, że firma wydawnicza, która grupuje u siebie prawie wszystkie znane, bardzo pokupne i smutnie popularne utwory, wysławiające drażniącemi obrazami tę trującą niedyskrecję w rzeczach zmysłowej miłości, której miano pornografja, — że taka firma ma prawo skarżyć się i żądać kary dla szczerego publicysty, co nazwie rzecz po imieniu i nie chce zdjąć czapki przed taką wydawniczą akcją, Oburzenie „Skamandra“ i jego redaktora należy do szeregu takich oburzeń, za które karać nie należy.

Bo trzeba zrozumieć, że literatura nietylko

odtwarza życie, ale i tworzy je. Wszelki obraz, zawarty w książce, jeśli jest frapujący, idzie między ludzi i tworzy naśladownictwo. Kto zdołał zmierzyć, w jakim stopniu jesteśmy wszyscy wytworem literatury?

„Skamander“ zgrupował się koło formuł poetyckich, obcych rozpanoszeniu i znieprawieniu zmysłów. Jest to objaw pocieszający — zwłaszcza w tej powojennej epoce — kiedy niema nic bardziej pożądanego nad czystość wyobraźni i ideałów.

Sąd apelacyjny, pod przewodnictwem sędziego Alchimowicza, z udziałem sędziów Żyźniewskiego i Kwiatkowskiego, uchylił wyrok sądu okręgowego, uniewinnił red. Grydzewskiego w części tyczącej się oceny wydawniczej działalności „Lektora“ i uznając go za winnego wydrukowania okoliczności niedostatecznie sprawdzonych i objektywnie niesłusznych o wyzysku Zapolskiej — skazał go na 3 dni aresztu z umorzeniem kary na mocy amnestji.

Obronę wnosili adwokaci Tadeusz Zagórski i Leon Okręt.

Obraza urzędu skarbowego.

Panna Zofja Pietraszewiczówna, dziewiętnastoletnia studentka uniwersytetu, mając zdawać egzamin maturalny i wpłacić z racji tego 2.000 marek do skarbu, stanęła 6 lutego r. 1922 u drzwi urzędu skarbowego. Odsyłana od okienka do okienka, a raczej od ogonka do ogonka, przeczekała młoda maturzystka 6 godzin bez przerwy w urzędzie, a kiedy nakoniec stanęła przed obliczem kasjera, o godzinie 3-ej popołudniu, spotkała ją jeszcze jedna odmowa. Zrozpaczona, zmęczona i zdenerwowana młoda osoba uniosła się i krzyknęła „niedołęgi, idjoci". Urzędnicy, którzy to usłyszeli, poczuli się dotknięci, zawołano policję, sporządzono protokuł i sąd okręgowy w trybie uproszczonym, w osobie sędziego p. Feliksa Bogatko sądził wczoraj winowajczynię z art. 154 k. k. 3-ej jego części, grożącej za nieposzanowanie władzy 3-letniem więzieniem. Panna Pietraszewiczówna tłumaczyła się ze skruchą, ale jej obrońca z urzędu, adwokat Henryk Gałczyński sięgnął w swej obronie dalej i głębiej nad

rozpoznawany epizod i klijentka jego została uniewinniona.

Trzy urzędy: urząd mieszkaniowy, urząd walki z lichwą i urząd skarbowy miały wyłączny przywilej doprowadzania publiczności do rozpaczy w kolejkach: a same te kolejki były zjawiskiem tak nieznośnie przykrem, że dziwić się raczej należy nieliczności ekscesów, do jakich publiczności dochodziła. Kolejki trwały od 4-ej godziny z rana dopóty, dopóki tylko trwać mogły; interesanci wracali po kilkakroć, dzień po dniu, do urzędu, z którym mieli nieszczęście być zwią. zani jakąś sprawą. Mogłoby się zdawać, że uregulowanie procesu załatwiania interesantów jest jakąś nieprzezwyciężoną trudnością, rodzajem siły wyższej, której nie można nic przeciwstawić; ani zwiększenia liczby urzędników, ani planowego podziału interesantów na kilka czy kilkanaście działów, załatwianych w określonych godzinach stosownie do ilości interesantów, liczby urzędowych godzin i sił i środków urzędu. Zupełnie normalna funkcja urzędu urastała do znaczenia jakiegoś masowego nieszczęścia, z którem uporać się nie można. I wobec tego czyż można się dziwić, że jakiś zrozpaczony student (tak donosiły gazety w swoim czasie), pogryzł palce, Bogu, zresztą, ducha winnego policjanta, który gwałtem, posłuszny rozkazowi, pchał denata do jeszcze jednej, i niewiadomo już której kolejki?

Urząd mieszkaniowy już opustoszał od kolejek, urząd walki z lichwą również; ci, którzy zmęczyli się w kolejkach tych dwu urzędów — już zapomnieli o swoich cierpieniach. Pozostał tylko

urząd skarbowy, najczęściej stykający się z ludnością, zawsze jakimś kącikiem życia jej bliski. I bodaj że uciążliwość kolejek w urzędzie skarbowym sama przez się starczy za inne urzędy. Nieskończenie częste i nieskończenie uzasadnione są utyskiwania publiczności i rzeczywiście dzieją się rzeczy niedopuszczalne przy wpłacaniu pieniędzy do skarbu. Powiadają, że sama publiczność jest winna, bo czeka zawsze ostatniej chwili. Możliwe, ale jest to zupełnie naturalne i trzeba się z tem liczyć. Publiczność niesie grosz wtedy, kiedy go ma, kiedy ma czas; urząd winien być do tego przygotowany.

Dzisiaj studentka przeczekała sześć godzin i pieniędzy, swoją drogą, niewpłaciła, a jutro ktoś inny, opłacając patenty przepędził w urzędzie trzy razy po sześć godzin, zanim dostał się do kasy! Czyż to możliwe i dopuszczalne? Czy nie należy, jak np. w sprawie obecnej, spojrzeć okiem prokuratora na porządki, jakie istnieją w urzędzie, zbadać, czy nie ma tam pierwiastków bezczynności władzy; jest to jedyne naturalne objaśnienie nienaturalnego i niedopuszczalnego stanu rzeczy, który trwa bez końca i prowadzi do przykrych wybryków. Czy nie będzie słuszniejszem, ze strony urzędu, naprawiać stosunki nie drogą represji sądowej przeciwko zrozpaczonej publice— ale drogą radykalnej reformy ładu w urzędzie?

Sędzia uchylił wniosek obrony o dochodzenie z art. 639 k. k. o bezczynności władzy, ale uniewinnił pannę Pietraszewiczównę *).

---

*) Sprawa ta — to kartka z bardzo niedalekiej przeszłości ale, na szczęście, już przeszłości. Niepowodzenia młodej studentki przyczyniły się bodaj również do tej, tak pomyślnej zmianv

Sprawa Stefana Hordliczki.

Mieliśmy wczoraj *) w sądzie okręgowym warszawskim wielki dzień, a raczej przedsmak wielkiego dnia — wielki poranek. Mieliśmy bardzo liczną i jakby „najlepszą“ publiczność, i moc świadków o znanych warszawskich obliczach i najwytrawniejszych sędziów w składzie orzekającym, i samego prokuratora na fotelu oskarżyciela i czterech z pośród najbardziej interesujących naszych mówców sądowych na dwóch przeciwnych krańcach obrony i powództwa cywilnego. Nadewszystko mieliśmy przedsmak wielkiej sprawy, sensacyjnej jak wszelkie zabójstwo o motywach skomplikowanych i niepewnych, jak wszelkie brutalne obnażenie przyzwoitości społecznych, jak wszelka operacja w społecznem prosektorjum, dokonana nad niezgodnemi, do zdrowego życia już coraz mniej zdolnemi członkami tego orga-

*) Dwa razy głośny ten proces o zabójstwo Wandy Suskiej-Hordliczkowej, drugiej żony zmarłego Kazimierza Hordliczki, spadał z wokandy. Pierwszy raz „wczoraj“, to jest 6 października 1922 roku. Po raz wtóry w końcu maja 1923 roku; rozpoznanym był w sądzie okręgowym dopiero 7—12 listopada 1923 roku

nizmu, co się zwie rodziną. Widzieliśmy na ławie oskarżonych młodego jeszcze człowieka, oskarżonego o zabójstwo wdowy po swoim ojcu; odpowiadającego z wolności; niczem, prawie niczem, nie odróżniającego się od innych, napełniających salę, ludzi, a wybitnie różnego od innych od chwili, kiedy po rozmowie z otaczającymi, widocznie pogodnej i nawet wesołej, przesiadł się na ławę oskarżonych. Ta ława zadziwiająco zmienia ludzi; obojętna, zdawkowa twarz zmienia się na niej w charakterystyczną, niemile wyrazistą i nieco niepokojącą. Trzeba o niej na chwilę zapomnieć, żeby bezstronnie słuchać, co się dzieje naokół.

Pozornie dzieje się rzecz zwykła w dużych procesach; ten lub ów świadek jest nieobecny. Kiedy jest ich 50, jak w sprawie Stefana Hordliczki, nic naturalniejszego, że pięciu, sześciu niedopisało. Przyczyny ich niestawiennictwa są uzasadnione, zeznania ich można odczytać i rozprawę prowadzić. Ale strony nie mogą zrezygnować z nieobecności jednego świadka—pani Laury Hordliczkowej, prawdopodobnie ciotki lub kuzynki oskarżonego. Adwokat Śmiarowski, obrońca oskarżonego, i adwokat Paschalski, pełnomocnik powoda cywilnego, z jednakową zaciętością żądają odroczenia sprawy, dla ponownego wezwania tego świadka, który wyjechał do Paryża i nie mógł stawić się wczoraj. Z jednakowym uporem dowodzą, że to, co z zeznania Laury Hordliczkowej zapisał sędzia śledczy, jest tylko skrótem tego, co ona dać może sądowi, bez czego sprawiedliwości zadość stać się nie może. Stefan

Hordliczka zabił; zabił w tym osobliwym stanie psychicznym, na który złożyły się nietylko fakty, ale i odbicie tych faktów w jego świadomości; i bardziej to odbicie, niż te fakty. Laura Hordliczkowa jest łącznikiem faktów i ich odbicia; ona podobno coś takiego mówiła Stefanowi o ojcu i o stosunku ojca do matki, co zapadło do duszy Stefana na zawsze i co wyładowało się w zabójstwie drugiej żony ojca. A ponieważ to, co ona mówiła, szło z najpewniejszego źródła, od samego Kazimierza Hordliczki, kiedy przed samą jego śmiercią w Paryżu, czuwała nad nim p. Laura Hordliczkowa — przeto bez tego świadka sprawa pójść nie powinna.

Tutaj skończyła się harmonja pomiędzy obroną i powództwem cywilnem.

To co nastąpiło później było już walką, może przedwczesną, może zbyteczną, w każdym razie interesującą i prowadzoną w tak napięcie wysokim tonie—pierwszego dnia rozprawy, o 10-ej godzinie z rana!—że gdyby nie odroczenie sprawy, trudno byłoby się na tych wyżynach utrzymać.

Widocznie, rodzina zabitej Wandy Suskiej-Hordliczkowej nie brała udziału w śledztwie, a śledztwo nie interesowało się w tej mierze, jak to odpowiadało krzywdzie rodziny, temi ustaleniami stosunku męża zabitej do pierwszej żony, które powinnyby oczyścić pamięć zmarłej od wszelkich zarzutów podżegania nienawiści pomiędzy rodzeństwem — a najbardziej od zarzutu zdeptania pierwszego ogniska domowego Hordliczków. Tak myślą pełnomocnicy powoda cywilnego, adwokaci Nowodworski i Paschalski.

Dla obrony pamięci zabitej złożyli oni na sędziowskim stole dopiero co otrzymane od rodziny, z zaniedbaniem terminów ustawowych, cztery tomy kopjałów prywatnych listów Kazimierza Hordliczki, w których cała bolesna tregedja rodziny opowiedzianą ma być przejmująco i dotkliwie — ale niezbicie uniewinniająco dla Wandy Hordliczkowej. Złożyli oprócz tego egzemplarz odezwy, którą Kazimierz Hordliczka, człowiek widocznie mocnych i niehamowanych namiętności, złożył na imię Synodu Ewangielickiego w latach 1908—9, podczas pierwszego procesu rozwodowego z matką oskarżonego. Ta odezwa składa się z trzech części: powodom cywilnym chodzi tylko o drugą, która jest przedrukiem oficjalnych akt sprawy rozwodowej. Ona także niezbicie dowodzi, że to nie Kazimierz Hordliczka pierwszy wniósł rozczarowanie i nieszczęście do rodziny.

Ani p. prokurator Rudnicki, ani obrońcy oskarżonego, adwokaci Szurlej i Śmiarowski żadną miarą nie mogą się zgodzić na dołączenie do sprawy tej odezwy, Jest ona tak niepowściągliwie złośliwą, tak pełną nieumiarkowania i nienawiści, tak pozbawioną wszelkiego szacunku dla lepszej przeszłości małżonków i czystości ich wspomnień, że niczyjej pamięci oczyścić nie może, a może tylko skalać samą sprawę. Sprawa o zabójstwo Wandy Hordliczkowej, dokonane przez Stefana Hordliczkę, nie powinna się wynaturzać w pozagrobowy rozrachunek pomiędzy dwiema żonami Kazimierza Hordliczki. Sąd powinien postąpić tak, jak postąpili znajomi Kazimierza Hordliczki, kiedy ten, w nieliczącem się z ni-

czem zaślepieniu, rozesłał im swoją odezwę — zwrócić ją, nie czytając. Istnieje granica wstydliwości i sromu duszy, której żadna rozprawa sądowa, nawet w sprawie o zabójstwo, przekraczać nie powinna. Odezwa Kazimierza Hordliczki przekracza ją.

Wymowna apostrofa adwokata Śmiarowskiego mogłaby stropić sąd, jak stropiła widownię, gdyby nie słuszna, zdaje się, uwaga adw. Nowodworskiego: „Jeśli nie chcecie rozrachunku „pozagrobowego“, po co ta wielka litanja świadków, wezwanych dla odmalowania stosunków pomiędzy małżonkami, z oczywistym zamiarem potępienia Kazimierza Hordliczki, jeśli nie Wandy Hordliczkowej“? I kiedy majsterskiem posunięciem na sądowej szachownicy adw. Paschalski zabrał złożoną przez się „odezwę“ Kazimierza Hordliczki, uprzedzając, że o rycerskości względem dwóch głównych postaci w procesie sądzić będzie można później — podczas przewodu — i że powództwo cywilne czekać będzie z „odezwą“, aż pierwszy świadek obrony złamie obiecaną przez adw. Śmiarowskiego harmonję tej rycerskości — korzyść z namiętnej tej dyskusji staje się realną. Strony zobowiązały się na przyszłość do szlachetnej powściągliwości.

Sąd okręgowy, pod przewodnictwem wiceprezesa Gumińskiego, w składzie sędziów Laskowskiego i Skawińskiego, zadecydował o odroczeniu sprawy głównie dla przesłuchania Laury Hordliczkowej i dla zaznajomienia się ze zgłoszonemi kopjami listów K. Hordliczki..

*

Sprawa Stefana Hordliczki, oskarżonego o zabójstwo wdowy po Kazimierzu Hordliczce, ojcu podsądnego, została po raz wtóry odroczoną *). Za pierwszym razem — z powodu niestawiennictwa kilku świadków. Wczoraj została skreślona z wokandy jeszcze przed terminem posiedzenia z innej racji. P. Stefan Hordliczka odbywa obecnie ćwiczenia wojskowe. Kierownictwo marynarki wojennej żądało odroczenia sprawy.

Możliwe, że pozostawienie oskarżonego Hordliczki w armji czy też we flocie jest rzeczą ważną. P. Stefan Hordliczka tak celnie strzela... Ale z pewnością ta racja odroczenia jest czemś zupełnie nowem w dziejach naszego sądownictwa. I czemś zupełnie nie do naśladowania.

Przyzwyczailiśmy się mniemać, że sprawiedliwość winna być wszechpotężną i że względy użyteczności winny przed nią chylić czoła. Jest to przyzwyczajenie, którego nie należy podważać; w niem rękojmia ładu społecznego. Tylko w pewnych, wyjątkowych, razach władza kraju może dozwolić człowiekowi oskarżonemu o zbrodnię, zanim jeszcze stanie przed obliczem sędziów — w zetknięciu z groźnem, a szlachetnem niebezpieczeństwem, w obronie ojczyzny, dać dowód, że nie wymarły w nim pierwiastki dobre i że umie poświęcić swe życie dla rzeczy większej. We wszystkich innych razach człowiek taki winien naprzód oczyścić się z zarzutu lub ponieść zasłużoną karę. Dopiero potem będzie mógł korzystać z wniosłego prawa służby w szeregach —

---

*) Sprawa miała się odbyć 28 maja 1923 roku.

stałej czy chwilowej. Innemi słowy: człowiek oskarżony o zbrodnię na czas trwania śledztwa i sądu usuwa się z szeregów i nie może być powoływany nawet na ćwiczenia. Tak było i tak być powinno.

Nie można traktować oskarżenia o zabójstwo, jak natrętny epizod, który tylko zlekka i bardzo nieznacznie krępuje komfort wygodnego życia. Oburza się przeciwko temu moralna estetyka i zwyczajny instynkt moralny. P. Stefan Hordliczka, choć jest oficerem marynarki w rezerwie i inżynierem, powinien być pozbawiony prawa rozkazywania i prawa służby aż do chwili, kiedy sąd orzeknie o jego winie.

P. Hordliczka zajmuje odpowiedzialne stanowisko w czasach ćwiczeń. Ten sam instynkt, o którym mówię, ze zdziwieniem zatrzyma się na fakcie. że człowiek, który przez swoich obrońców i przez sąd traktowany jest jako człowiek, co do psychicznej odpowiedzialności którego istnieje wątpliwość i dla ustalenia tej wątpliwości zwołuje się do sądu grupę psychjatrów — że taki człowiek zajmuje — chociażby na czas ćwiczeń — odpowiedzialne stanowisko, wobec którego i sprawiedliwość chwilowo musi zamilkąć.

Źle było inspirowane kierownictwo marynarki wojennej, żądając odroczenia i powinno było uczynić wszystko, aby oskarżony stanął wczoraj przed sądem.

*

„Dnia 23 marca 1922 r. w domu Nr. 15-17 przy ulicy Kapucyńskiej w Warszawie, podczas spisu inwentarza po zmarłym Kazimierzu Hordliczce,

syn jego Stefan (lat 37), sześciu strzałami rewolwerowymi śmiertelnie ranił drugą żonę swego ojca Wandę z Suskich Hordliczkową. Przewieziona do szpitala ewangielickiego Wanda Hordliczkowa wkrótce zmarła.

Przy dokonaniu sekcji zwłok zabitej, ustalono zadanie jej trzech ran postrzałowych w czaszkę, jednej — w szyję, jednej — w lewą pierś i jednej — w lewą rękę.

Według opinji biegłego, strzały w głowę i szyję były dane od tyłu i strony lewej, przytem strzał w szyję był dany w bardzo bliskiej odległości, strzał w pierś — był dany od strony lewej i z góry, trochę od tyłu, strzał w rękę był dany z góry i od tyłu. Śmierć nastąpiła wskutek ran postrzałowych czaszki, połączonych z uszkodzeniem mózgu. Zranienia te były bezwarunkowo śmiertelne. Jako pierwsze były dane strzały w głowę, pozostałe zranienia zadane również za życia, lecz wtenczas, kiedy ranna znajdowała się już w stanie agonji.

Zbadany w d. 24 marca (nazajutrz po zabójstwie) w charakterze oskarżonego Stafan Hordliczka, przyznał się do faktu zabójstwa Wandy Hordliczkowej i wyjaśnił, że uczynił to pod wpływem strasznej nienawiści za wszystkie krzywdy moralne, które Wanda Hordliczkowa wyrządziła jemu i jego rodzeństwu w przeszłości.

„Czułem do niej nienawiść — zaznaje oskarżony — czy kiedy chciałem ją zabić, tego sobie nie przypominam, w każdym razie dobrze jej nie życzyłem. Wczoraj (dzień zabójstwa), zdając sobie sprawę z konsekwencji, jakie mi grożą po

zabiciu Suskiej-Hordliczkowej, a w szczególności, mając wstręt do samego aktu zadania śmierci, kilka razy wyjmowałem rękę z kieszeni, w której miałem rewolwer, nie mogąc zdecydować się na strzał. Rewolwer noszę zawsze przy sobie, a mam go jeszcze z czasów wojskowości. W końcu zdecydowałem się, wyjąłem rewolwer i dałem strzał, kierując rewolwer do Suskiej-Hordliczkowej. Miałem wtedy po tej walce, jaką z sobą toczyłem, prawie uczucie ulgi. Nie wiem dobrze, ile razy strzelałem, ale wiem, że kilka razy. Chcę dodać, że głównym momentem walki, jaką z sobą stoczyłem, zanim zdecydowałem się dać strzał, była obawa przed zadaniem śmierci".

* * *

Oto najważniejsza i najmniejsza część nadzwyczaj obszernego aktu oskarżenia, napisanego interesująco i z psychologiczną tendencją, czasem zakrawającego na akt obrony i odczytanego wczoraj*) w sądzie okręgowym przez przewodniczącego, wiceprezesa Gumińskiego, który wraz z sędziami: Laskowskim i Skawińskim rozpozna w ciągu kilku dni rozpoczętą już nakoniec sprawę o zabójstwo Wandy Hordliczkowej. Nie jest dziś proces ten tak sensacyjnym, jak był kilka miesięcy temu; inne sensacje ostrzejsze, bliższe**) i jeszcze świetniejsze wyparły tamtą. Zresztą, pod wpływem gazet ciekawość rozbudzi się znowu i los Stefana Hordliczki znowu dla nikogo obojętnym nie będzie. Chyba dla niego samego; jeśli obserwo-

*) 7 listopada 1923 roku.
**) Proces Niewiadomskiego.

wać tę postać, podobną do kalifornijskiego Chińczyka, po europejsku ubranego, albo do niewiadomo jakim nałogiem trawionego majtka — nie dostrzeże się w jego zagasłych skośnych oczach i zmiętoszonej twarzy żadnego wzruszenia. Duże swoje ręce, ciemniejsze od twarzy, oparł na poręczy, albo zakrywa się niemi; ani długa relacja aktu oskarżenia, ani zeznania świadków: Suskiego, brata zabitej; adwokata Ręczlerskiego, adwokata Eberhardta, sędziego Blaszkowskiego, adw. Szczepańskiego, ludzi, którzy go znali, albo o nim dużo wiedzą i mówią o nim rzeczy różne, czasem nad wyraz przykre, — nie wywołują żadnej z jego strony reakcji. Już z samego początku eksperci psychjatrzy, których niesłusznie nazywają ekspertami obrony, doktorowie Radziwiłłowicz, Wizel, pułkownik Nelken i doktór Łuniewski zadają świadkom pytania nadzwyczaj mało pochlebne dla miłości własnej tego „znacznego“ oficera marynarki, którego ministerstwo latem „bez krzywdy dla interesów floty“ nie mogło zwolnić od obowiązków jakieś bardzo ważnej służby i pozwolić mu stanąć przed ojczystym sądem. Ale i to nie wywołuje żadnej reakcji Stefana Hordliczki. Tylko raz jeden zdecydował się przemówić, a to w celu, aby rzucić dosyć przewrotnie, nieprzebaczalne i nieuzasadnione podejrzenie na jednego z obrońców powództwa cywilnego, że do szeregu oskarżycieli przeszedł z szeregu obrońców jego, Stefana Hordliczki. Jeszcze niewiadomo—dowiemy się od psychjatrów — czy Stefan Hordliczka jest szaleńcem; ale już wiado-

mo, że jeśli nim jest, to nie bez metody. Metody dostatecznie przewrotnej.

Sam fakt zabójstwa budzi grozę; w otoczeniu kilku mężczyzn, podczas odczytywania spisu inwentarza, oskarżony zabił wdowę po swoim ojcu. Po pierwszym wystrzale, może jeszcze nie śmiertelnym rozbiegli się wszyscy i z przedpokoju, w bezpieczeństwie, słuchali, jak zabójca dobijał ofiarę. Jaki kotlet uczyniliby z oskarżonego mniej dbali o siebie świadkowie takiego strasznego wypadku, jacyś Amerykanie lub Anglicy! A teraz w sali sądowej czynią się próby moralnego dobijania ofiary. Czy będą miały powodzenie? Siostra oskarżonej, pani Jabłońska świadczy, że decydującym powodem zabójstwa była rewelacja, dla dzieci Kazimierza Hordliczki niespodziana, iż „zmarła", jak się delikatnie wyraża świadek — zdradzała męża. Pani Jabłońska dowiedziała się o tem od ciotki, Laury Hordliczkównej, która w Paryżu widziała, że Wanda Hordliczkowa u łoża umierającego męża prowadziła niedwuznaczny romans z doktorem Filipowiczem. Zabrała dzieciom ojca, a później zdradziła męża. Zabójstwo było, oczywiście, karą za złamane szczęście ojca... Ale oskarżyciel państwowy prokurator Rudnicki prosi sąd o przeczytanie listu, który ta sama ciotka Laura pisała do zabitej w dwa miesiące po śmierci Kazimierza Hordliczki. I list ten, odczytany na sądzie, tchnie takim szacunkiem dla zabitej, takim uznaniem dla jej wiecznej i oddanej miłości do męża—że zgoryczone opowiadanie świadka wygląda, jak jeszcze jedno ogniwo tej nieszlachetnej metody wątpliwego szaleństwa hordliczkowego.

Do tej samej metody należy to, popierane, niestety, przez adwokatów dzieci Kazimierza Hordliczki, wbrew prawom boskim i ludzkim, traktowanie zabitej w oficjalnych dokumentach, jak osoby, uzurpującej nazwisko Hordliczków; do tej samej metody należą, na szczęście potępione przez jakiegoś „kanonistę", próby unieważnienia małżeństwa Kazimierza Hordliczki z Wandą Suską, projektowane po śmierci Kazimierza. I do tej samej metody—w najokropniejszym jej wyrazie—należy to, przez świadka Eberhardta cytowane, trzymanie za włosy ofiary jedną ręką, podczas, gdy druga strzelała.

W ciągu kilku dni przewodu zapoznamy się dokładnie z oskarżonym i jego zbrodnią.

*

Nie mówmy tymczasem o oskarżonym. On sam nic nie mówi i o nim mówi się tak niewiele. Kiedy psychjatrzy z poczucia obowiązku wracają uparcie do swoich pytań: czy Stefan Hordliczka nie wykazywał jakich niezwykłych cech, czy nie miał nałogów, czy był impulsywnym, czy smutnym, czy jako dziecko bał się ciemności, i obawiał się samotności — te natrętne lejtmotywy, czasem brzmiące ironicznie, wydają się mało interesującemi i całkiem zbędnemi. A około zagadki czynu Hordliczki przewód sądowy chodzi tak dyskretnie, jak w pokoju bardzo chorego. Dotychczas jeszcze zupełnie nie można powiedzieć, że zbliżamy się choć trochę do zrozumienia tego najgłówniejszego pytania: dlaczego zabił? Dlaczego zabił po kilkunastu latach, kiedy ojciec już spoczywał w grobie, a gorzki smak rodzinnego

nieszczęścia siłą rzeczy stracił swoją rażącą siłę? Dlaczego nie miał odwagi wypowiedzieć ojcu za życia całej swej boleści i znalazł odwagę tylko wobec bezbronnej kobiety, na którą poszedł z rewolwerem? Dlaczego ta niesmaczna mięszanina pieniędzy i sentymentu, *praetium affectionis* i łapczywej chciwości, bolesnych wspomnień i sporów o ocenę rzeczy, bezmiernego żalu i targów inwentarzowych? Może obrońcy oskarżonego, adwokaci Szurlej i Śmiarowski dadzą nam słowo tej zagadki? Z największą niecierpliwością czekamy ich głosów.

Pójdźmy śladem przewodu. Poza osobą oskarżonego, którą bezsilnie zaniedbuje, — odtwarza on środowisko, wśród którego szamotała się duszyczka Stefana Hordliczki, aż doszamotała się do zbrodni. Środowisko dziwne, zgoła niesympatyczne, pozbawione cienia wyższości, nie bacząc na materjalną możność, na zewnętrzną ogładę, na pozory wytworności. Żadna groza wypadków, żadna fala czasu, żaden smutek tragicznych rozwikłań nie zdoła oderwać tych ludzi od osobistych, zadawnionych żalów. Są egoistami z taką samą siłą, z jaką egoistą, wedle ich zdania, był nieboszczyk Kazimierz Hordliczka, za którego miłość biedna Wanda Hordliczkowa zapłaciła życiem. Nic nie zapominają i nic nie przebaczają; dziś jeszcze nie są zdolni, choć patrzą na ławę oskarżonych, gdzie siedzi niesławnie ich brat, do zrozumienia tych wypadków, które ich nastroiły tak uparcie mściwie. Onegdaj pani Jabłońska, wczoraj pan Jabłoński mówili językiem zawsze świeżego oburzenia, zawsze niepohamo-

wanej żądzy jakiegoś nowego odwetu, jak gdyby ten, który spowodował obecną rozprawę— jeszcze był niedostateczny, Jeszcze dziś pan Jabłoński nie chce uznać, że małżeństwo teścia z Wandą Suską było ważne; jeszcze dziś nie chce on zrozumieć, jak przykrem jest wrażenie, które sprawia walka rodziny z wdową po ojcu—walka drogą odmawiania wdowie tytułu żony w papierach adresowanych do komisarjatów! Jeszcze dziś pani Jabłońska ima się plotki lub opacznego wniosku, ażeby zohydzić w oczach sądu pamięć tej nieszczęśliwej, która, niezawodnie, była taką samą ofiarą zbyt wybujałego charakteru ich ojca — jak Stefan, Jan, Zofja Hordliczkowie. I oni i ona mieli, przecież, niegdyś kilka chwil szczęśliwych pod skrzydłem Kazimierza Hordliczki; i oni i ona drogo za to zapłacili.

To środowisko nic nie rozumie—i może dla tego nic nie przebacza. Że nie rozumie, jaką mogła być wina pierwszej żony Hordliczki—rzecz naturalna. Matka—to stworzenie najświętsze i jakąkolwiek uczyniło ją życie—niechaj zostanie nazawsze świętością dla dzieci. Ale nie rozumie nawet ojca. I chociaż mówi o nim, nie krępując się zupełnie i pomawia go o symulację wtedy, kiedy ten człowiek wielkich zalet, namiętny i ciężki w życiu, chce się zabić pod wpływem nieuzasadnionych, prawdopodobnie, podejrzeń odnośnie do najbliższej istoty — nie pojmuje wcale ani jego natury, ani jego oddziaływania. Cała rodzina Hordliczków, wyspecjalizowana w nienawiści do Wandy Suskiej, nie chce zrozumieć, że ta kobieta nie skrzywdziła ich choćby dlatego, że

ojciec ich „był niemożliwy do kierowania“; że to on sam „zabrał im ojca“, że to on sam wystudził w sobie dawniej gorące umiłowanie domu, dzieci, swoją trochę nadmierną, patetyczną miłość dla ogniska domowego i dlatego właśnie zmienną, że była chorobliwie wielką. Nie trzeba było potępiać matki, żeby zrozumieć ojca i wybaczyć mu—jeśli nie wówczas, to obecnie.

Ale nawet te trzy mogiły: mogiła ojca, mogiła wdowy po nim, i ta mogiła Stefana Hordliczki, która zwie się ławą oskarżonych — nie zdołają nauczyć Hordliczków rozumienia ani przebaczenia.

Bywają kobiety, które dla stęsknionego serca męskiego są tem, czem klimat Nicei dla zbolałej piersi. Taką musiała być dla namiętnego, czułego, żądnego miłości wiernej i nierównego człowieka, jakim był nieboszczyk Kazimierz — nieboszczka Wanda, Po przez złośliwe niedomówienia niektórych świadków, po przez świadome czy nieświadome obelgi ich — postać Wandy Hordliczkowej, wolna od wszelkiego brudu, od wszelkiej plamy, szlachetna zaletami prostej, kochającej duszy, cnotami uległości, dobroci i wyrozumienia — zostaje w pamięci jako jedyna plastycznie piękna postać tego procesu.

Nie zaszkodzi jej to, że adwokat Dworzaczek śmiał podczas spisywania inwentarza sekwestrować jej prywatne listy do jej zmarłego męża; nie zaszkodzi jej to, że rzecznicy jej przeciwników „poślubili“ wszystkie ich małostkowe pretensje i brzydkie sprzeciwy. Tem gorzej dla tych rzeczników, że dają sobą kierować, zamiast pomagać

światłą i szlachetną radą mocodawcom—lub ustąpić, jeśli mocodawcy żądają kompromisu rzecznika z sumieniem.

*

Zdaje się, że już wiadomo, kto włożył Stefanowi Hordliczce rewolwer do ręki. I wiadomo także, kim jest Stefan Hordliczka.

Słyszeliśmy wczoraj jego matkę; słyszeliśmy siostrę jego ojca. Z niemi razem do sali sądowej weszła zażarta, niepohamowana waśń rodzinna, mocniejsza od wszelkich konwenansów, od skruchy. od wstydu zbrodni; nagromadzone od lat wielu żółć i złość i cierpienie wezbrały w potok takich skarg i oburzeń matki, że na chwilę musiało zamilknąć wszelkie sędziowskie potępienie i wszelka zbyt prosta, zbyt przykazaniowa ocena tego, co nas do tej sali sądowej przywiodło. Histeryczne, czy naturalne, wykrzyki żony niewinnej czy grzesznej, miały nieprzepartą wymowę przeżytych i przemęczonych jęków i zimno się robiło na myśl, wśród jakiego piekła toczyło się przez lat kilkanaście, rozłączone dla miłości, stykające się dla nienawiści, życie niegdyś małżonków Hordliczków.

Wszystko, co mówiła pani Eugenja Hordliczkowa mogło być prawdą, i z poza oderwanych, a wyrazistych obrazów, jakie malowała przed sądem jej do krzyku wznosząca się, zaciekła i nie krępująca się skarga — wyglądała najokropniejsza męczarnia, jaka nad wszelką winę, jeśli wina była — dręczyła upokorzoną żonę. Jej bezlitosny w swoim gniewie mąż, niezdolny, może w tym samym stopniu, co i ona sama, do

surowości względem siebie; nie widzący nic poza swoją, słuszną, czy urojoną mężowską krzywdą; odwracający serce od każdego, kto nie poszedł z nim razem, kto nie podzielił jego nienawiści; nie umiejący rozstać się z żoną, bez oplwania dawnych chwil niezmąconego szczęścia; oddający ją z dziećmi na pastwę biedy i życiowych udręczeń — wyrósł w tym histerycznym, czy naturalnym krzyku do wielkości groźnej, dręczącej, zimnej kary, ogarniającej niewinnych i tych, co nie stracili w niczem prawa do ojcowskiej miłości.

Prawdą mogło być i było oczywiście to, czego pani Eugenja Hordliczkowa nie powiedziała; co niekompletnie i niezawsze pewnie mówią papiery i ludzie; prawdą musiał, czy mógł być ból tego człowieka, stworzonego na większą miarę, umiejącego, zdaje się, mocno kochać, jeszcze mocniej nienawidzieć, i tak wyłącznego w swych namiętnościach, że nie powstrzymywało go nic, żaden wzgląd ludzkości, żaden głos krwi, żaden nakaz litości. Tych dwoje ludzi, którzy się kiedyś kochali, kiedyś byli małżonkami, jednej krwi, jednego nazwiska, podobni byli do siebie; nic sobie wzajemnie nie przebaczyli. I ten z małżonków, z którym poszły dzieci przeciwko drugiemu — karmił je przez długie lata strawą nienawiści ku pozornej winowajczyni nieszczęścia — ku tej Wandzie Suskiej, która zaspokoiła obrażoną potrzebę kochania w złym i tkliwym, okrutnym i łagodnym, niepohamowanym i krańcowym człowieku, jakim był Kazimierz Hordliczka.

Słyszeliśmy jego siostrę. To już inna odmiana hordliczkowego typu. To już niema namięt-

ności, ani krzyku, ani niepowściągliwości, Tu jest słodycz wyrazu i układność i zupełne przystosowanie do nieszczerości. To nie przeszkadza Laurze Hordliczkównie mniemać się „czystym sercem“ „*pure hearth*“. Jej „czyste serce nie podejrzywa życiowego brudu“ i dlatego panna Laura Hordliczkówna, która pobłogosławiła małżeństwo brata z Wandą Suską, w każdym geście swojej nowej bratowej upatruje fałsz, zdradę i hańbę. Jeśli ją proszą o pofatygowanie się po lekarstwo dla umierającego brata — to znaczy, że Wanda chce się jej pozbyć, aby zostać sama z doktorem, który, niewątpliwie dla panny Laury, jest kochankiem bratowej; bo czyżby inaczej bratowa wzywała tego doktora do Paryża z Warszawy, do łoża męża? A że tam panna Laura nazywała Wandę Hordliczkową „słońcem życia naszego brata“, że już po śmierci brata pisywała do niej listy z najgorętszemi wyrazami wdzięczności, szacunku, miłości, to „czyste serce“, dla którego wszystko jest czyste, tłómaczy swoją kłamliwość godziwym celem „zbudzenia w Wandzie wyrzutów sumienia“. I panna Laura Hordliczkówna także przez długie lata karmiła dzieci Kazimierza strawą nienawiści ku pozornej winowajczyni nieszczęścia rodziny — ku Wandzie Suskiej.

Słyszeliśmy kilku świadków, którzy dobrze znali Stefana Hordliczkę. Widzą w nim niepospolicie uczuciowego, niepospolicie lojalnego człowieka. Z tragedji lat młodzieńczych wyniósł gorycz, która uczyniła z niego samotnika; ale w sferze obowiązku był zawsze, jak powiadają ci świad-

kowie, wcieleniem sumienności i prawości. Inżynier, oficer rosyjskiej marynarki, ocalał w Sewastopolu podczas pierwszej rewolucji, która zdziesiątkowała oficerów. Załoga jego torpedowca szanowała go i ceniła jego pracę. Pracował bez końca, za siebie, za wszystkich. Spał po dwie godziny na dobę. I był dziwaczny, niezrozumiały—obcy ludziom. I coś niepokojąco wątpliwego, jakaś obawa tragicznej niespodzianki — tkwiło w tym tak chwalonym i cenionym, jeszcze młodym człowieku.

Taki człowiek z utajoną skłonnością do psychozy, od dzieciństwa przyzwyczajony do nienawiści dla żony ojca, póki był daleko, póki pracował w dziedzinie, która trzymała na wodzy jego nerwową pobudliwość i dawała jego duchowi inną strawę prócz wspomnień o przebytych nieszczęściach—mógł przeżyć życie bez nadzwyczajnych wstrząśnień.

A kiedy porzucił służbę we flocie, kiedy zamknął się znów w przesyconych wyziewami przeszłych okropności ścianach rodzicielskiego domu, i za całą pracę jął się znowu karmić tragicznemi narzekaniami matki, układnemi plotkami ciotki, nieoględnością i biernością rzeczników i nawoływaniem do nienawiści ze strony innych krewnych — nie wytrzymał i wziął rewolwer do ręki.

A ofiarę, kiedy do niej strzelał, schwycił za włosy.

*

Czy w dniu zabójstwa Wandy Hordliczkowej, Stefan Hordliczka był psychicznie wzruszony,

czy to wzruszenie, o ile istniało, miało cechy afektu patologicznego, czy stan ten był, lub mógł być wpływem stałych cech patologicznych charakteru oskarżonego?

Psychjatryczna ekspertyza, która w ciągu czterech dni przewodu brała w nim czynny udział, a ostatnio poświęciła bezpośredniemu badaniu oskarżonego kilka godzin, odpowiedziała wyczerpująco na te pytania. Ostateczną formułą tej odpowiedzi będzie: niewątpliwie, zabójstwo dokonanem zostało przez oskarżonego w stanie silnego wzruszenia, ale wzruszenie to nie osiągło kryterjów patologicznych. Świadomość istoty czynu i możność kierowania swemi czynami były u Stefana Hordliczki przejściowo dosyć znacznie upośledzone w chwili dokonania zbrodni na skutek silnego wzruszenia, powstałego na tle wrodzonego niezrównoważenia psychicznego i na skutek długoletniego „nastawienia“ uczuciowego. Zamroczenia świadomości, tego kamienia probierczego niepoczytalności, ekspertyza nie konstatuje w oskarżonym w chwili, kiedy zabijał on Wandę Hordliczkową; Stefan Hordliczka winien odpowiadać przed prawem za swe czyny, jako człowiek normalny.

Ale ten normalny człowiek jest jednakowoż dziedzicznie obciążony; z matki i z ojca ma cechy ekscentryczności, jest nerwowo przeczulony, ma wybuchy pubudliwości, czasami umotywowane, czasami niespodziane, czasami dziwaczne. Jest skłonny do przesadnej reakcji uczuciowej. Ten stan jego nerwowości i pobudliwości pogorszył się po wojnie wśród rodziny; neuropatyczne

obostrzenie jego stanu nie ma jednak nic wspólnego z czynnikami materjalnej korzyści; wpłynęły na to inne poważne urazy psychiczne, a w szeregu nich największą rolę odegrały momenty smutnej przeszłości: bałwochwalcza miłość do ojca rzucona w błoto, krzywda wyrządzona matce, machinacje procesu, matkę tę krzywdzącego, specjalny stosunek do kobiety, w której widział sprawczynię nieszczęść rodziny.

Nie odpowiedziała psychjatryczna ekspertyza, bo zresztą jej o to nie badano, na wiele innych pytań, które zdaje się, należałoby jej postawić. Nie powiedziała nam, czy należy uważać za objaw patologiczny lub psychopatyczny to zasklepienie uczuciowości w jednem zjawisku dawnej osobistej krzywdy, swojej lub swych najbliższych, krzywdy prywatnej, kiedy życie naokół wołało ludzi do zapomnienia prywat, kiedy samemu widziało się najstraszniejsze katastrofy masowe z jednej strony, najwspanialsze wybuchy odradzającej energji masowej z drugiej strony? Czy mężczyzna 35-cioletni, chcący stanąć w szeregach, jeśli nie najpierwszych, to nie najpośledniejszych, może z zachowaniem tej swojej pretensji, jednocześnie z zupełną niemocą sprawiedliwej analizy życiowych przejść, które już ze śmiercią ojca straciły swoją ostrość — ześrodkować się w maleńkiej nienawiści do człowieka bez winy? Czy patologicznym lub psychopatycznym objawem jest w Stefanie Hordliczce po tych latach różnorodnej pracy w różnorodnych środowiskach—zachowanie gryzącej żądzy zemsty? Czy jest psychozą w chrześcijańskiem, słowiańskiem

społeczeństwie ta korsykańska, zaciekła potrzeba vendetty, trwającej po przez pokolenia, nieubłaganej, nic nie przebaczającej? Czy jest psychozą w człowieku dojrzałym, w ciągu dziesiątków lat bierne poddanie się przesadzie podszeptów, kłamstwu oczerniań i niemożność — rozróżnienia, co w życiu jest nieszczęściem, co splotem fatalności, co błędem, co świadomym złym czynem.

Odpowiedzą nam na to strony.

*

Sąd Okręgowy 12-go listopada pod przewodnictwem wiceprezesa Gumińskiego, przy udziale sędziów Laskowskiego i Skawińskiego ogłosił wyrok, mocą którego Stefan Hordliczka za zabójstwo Wandy Hordliczkowej, wdowy po ojcu, skazany został na 6 lat ciężkiego więzienia, a po zastosowaniu amnestji na 4 lata ciężkiego więzienia z pozbawieniem praw. Oskarżony, odpowiadający z wolności, został aresztowany.

*

Surowy ten i sprawiedliwy wyrok wstrząsnął zebraną tłumnie publicznością. Widocznie sumienia ludzkie do głębi poruszył ten tragiczny proces, gdzie rozpoznawano: czy syn ma prawo zabijać kobietę, którą kochał ojciec i która mu zastąpiła pierwszą żonę i rodzinę? Czy zabójstwo takie, spełnione w warunkach okrutnych, po upływie dziesięciu czy więcej lat od chwili, kiedy ojciec rozstał się z żoną, po upływie dwóch lat po śmierci tego ojca — może być wytłómaczone i usprawiedliwione współczuciem syna do opuszczonej matki? I czy ma prawo ten współczujący syn kierować się tylko impulsem niena-

wiści i potępić odrazu i ojca i kochaną przez niego kobietę, której całą winą było, że chciała być szczęśliwą i pozwoliła sobie być szczęśliwą z człowiekiem, co w pierwszem małżeństwie znalazł (przynajmniej i on i ona tak czuli) rozczarowanie, zdradę i ból?

Prokurator Rudnicki, pełnomocnicy powoda cywilnego adw. Nowodworski i Paschalski analizowali te stosunki w sposób rozbieżny w szczegółach, w ostatecznej tendencji jednakowy. Dla wszystkich oskarżony nie jest jednostką, którą należy wykreślić z życia. Ale oskarżyciel publiczny widzi w Kazimierzu Hordliczce, ojcu oskarżonego, człowieka tylko złego i tylko okrutnego, a w zabitej tylko dobrze pasujące do niego stworzenie, bierne i nikłe — które na zemstę i śmierć nie zasłużyło. Adw, Paschalski i Nowodworski w zabitej oświetlili cechy podniosłości serca, szlachetności umysłu, zupełny brak jakiejkolwiek winy; nie ona rozbiła ognisko domowe Hordliczków; nie ona stworzyła przepaść pomiędzy ojcem i dziećmi. A postać Kazimierza Hordliczki w świetle jego własnych listów do żony, do dzieci, przeczy najzupełniej ryczałtowemu oskarżeniu o okrucieństwo: jest to człowiek, który cierpiał, męczył się i niewygasłe w człowieku dążenie do szczęścia kazało mu szukać go u dobrej, uległej, kochającej Wandy Suskiej. Nie zasłużyła zabita na śmierć z rąk syna swego męża.

Ten syn męża, walczył ze sobą długo, jak mówił adw. Śmiarowski, zanim dokonał zbrodni, tak sprzecznej z jego naturą. W „walce moty-

wów", które nim miotały, zwyciężyły, niespodziewanie, motywy prące ku zabójstwu.

Przemawiał wspaniale do serc adwokat Szurlej. Ten obrońca Hordliczki wszystko zważył i wszystko poruszył; wszystkie prawa moralne, które w tym procesie niepokoiły i drażniły, wszystkie uczucia, o które zbrodnia Stefana Hordliczki potrąciła. Z werwą, z energją wyrazu i świeżością jego niepospolitą, z dobitnością frazesu jasnego i mocnego, z pięknym patosem i śmiałością wzruszająco bronił swego klijenta. Przeobraził całą sprawę i zrobił to z takim naciskiem, że wymowa jego dała wrażenie prawdy. W pani Eugenji Hordliczkowej widział tylko cierpiącą matkę i żonę, a w pani Wandzie Hordliczkowej tylko demona i krzywdzicielkę; dał obrazy tej i tamtej tak przenikliwe i plastyczne, że zdawały się skończenie prawdziwemi. Miał zwroty niezwyczajnie rozrzewniające na temat prostych uczuć: miłości dziecka, miłości matki; targał duszami słuchaczy ze znakomitą umiejętnością. Przeciwstawił Wandzie Hordliczkowej — Anielę z „Bez Dogmatu" i to porównanie było na niekorzyść zabitej, a potem tak wysoko podniósł zakaz moralny nieprawnego korzystania z cudzego szczęścia, że już nikt nie wątpił, iż, rzeczywiście, Wanda Hordliczkowa była wspólniczką zbrodni Kazimierza, bo wraz z nim ukradła szczęście matce oskarżonego i jej dzieciom.

Stworzył niezwykle podniosły nastrój; nie było już pani Eugenji Hordliczkowej — pozostała tylko matka. A Wanda Hordliczkowa przeobraziła się w djablicę, dla której jedynem zbawieniem

mogło być chyba tylko odkupienie. Z samego początku powiedział, że choć mogił nie depce, ale nosi kwiaty tylko na groby tych, kogo szanuje i kocha. Dla pani Wandy Hordliczkowej, dla Kazimierza Hordliczki kwiatów nie miał, nie zaniósł ich na cmentarz. I nawet podeptał te groby bardzo silnie. A winowajcą śmierci Wandy Hordliczkowej, w tej, dającej wrażenie niezwykłego talentu, obronie — był przypadek — ot taki sam, jaki z Jacka Soplicy uczynił zabójcę. „Przeklęta broń palna!“

Te wszystkie pyszne i pysznie powiedziane rzeczy — nie były słusznemi. W każdym razie można im było bardzo wiele przeciwstawić. Czekaliśmy tego przciwstawienia z napiętą ciekawością. Odpowiedzi nie było. Pełnomocnicy powoda cywilnego zamilkli. Czyżby, w przekonaniu słusznem, że nastąpić musi wyrok skazujący, nie chcieli wbijać jeszcze jednego gwoździa do trumny oskarżonego? Szlachetny hamulec! Ale, czyż nie szło tutaj raczej o uszanowanie pamięci Wandy Hordliczkowej? Czyż można było zostawić tylko sądowi obowiązek prostowania pięknej retoryki adwokata Szurleja? Należało koniecznie, i z całą możliwą energją, tę pamięć zabitej jeszcze raz, najdobitniej obronić. Wanda Hordliczkowa zasłużyła na to. W procesie — najciekawszym ze wszystkich, jakie tutaj słyszałem — ta pamięć zabitej broniona była przez świadków wiarogodnych z przejęciem i wiarą. Jeszcze raz trzeba było to zrobić.

Obrońcy pamięci zabitej nie uczynili tego po raz drugi. Poprzestali na pierwszych swych

przemówieniach. Była to krzywda dla zabitej. Ale nie winię jej obrońców. Winien tu jest konwenans, wprowadzony do sali sądowej. Konwenans, polegający na tem, że sprawa rozłamu między małżonkami Hordliczkami traktowaną była abstrakcyjnie, ogólnikowo, ze wszystkiemi względami najzupełniejszej dyskrecji, jakich żądała dla siebie pani Eugenja Hordliczkowa. Powstało stąd nieurównoprawnienie dwóch kobiet, grających tak ważną rolę w procesie. Żywa zachowała wszystkie prawa, zabita, której pamięć niczego się nie obawiała, straciła — we wrażeniu słuchaczy, nie sędziów — wszystko to, co zyskała skutkiem konwenansu jej antagonistka. Nie powinno być miejsca dla konwenansu w sali sądowej. Albo ograniczyć się należy do rozpoznawania wyłącznie faktu zbrodni, albo dać objaśnieniom okoliczności, które ją wywołały — całą rozciągłość.

Nie zastąpią rozciągłości i prawdy sądowego badania te rozliczne literackie analogje, któremi tak obficie karmili nas obrońcy z obu stron. Nie sądzę, aby to było znamieniem postępu w technice i istocie sądowej wymowy.

Nie, nie róbmy literackiego wieczoru z dramatycznej rozprawy sądowej. Nie ciągnijmy do sądów postaci poematów czy romansów: nie swojsko im w sali sądowej i krzywda im się dzieje, kiedy wymowni rzecznicy stron każą im świadczyć przed trybunałem. Niechaj śpi spokojnie Anielka Kromicka; ona nie może pomóc ani pani Wandzie Hordliczkowej, ani — tembardziej — pani Eugenji Hordliczkowej. Jej gołębia bierność

nic nie wyjaśni, nic nie oświeci — a w zetknięciu z gzygzakami hordliczkowskich namiętności, będzie tylko razić jak anachronizm, jak nietakt, jak niestosowność. Dajmy pokój roztrząsaniu listów Kazimierza Hordliczki ze stanowiska dekadentyzmu czy przeobrażenia współczesnego wyrazu namiętności; te uogólnienia krytyczne będą bezpłodne i żenujące tam, gdzie idzie o odwieczny nakaz szanowania życia ludzkiego, broniony przez surowość prawa. Nie krzywdźmy Jacka Soplicy upodobnieniem jego wielkiego grzechu do zbrodni Stefana Hordliczki. Biedny, namiętny, ognisty, rubaszny, wesoły, zawadjacki Jacek Soplica! On nie poszedłby do Stolnika z rewolwerem w kieszeni; on tego Stolnika nie męczyłby impertynenckiemi spojrzeniami, lekceważącemi gestami! Nigdy; i nigdy nie zabiłby podstępnie; muszkiet, którym zastrzelił Stolnika, nie był jego muszkietem — znalazł się wypadkiem tuż obok. A gdyby to nie był Stolnik — ale Stolniczyna? Czyżby, on, szlachcic polski, Rąbajło, nie zostawił w domu narzędzia śmierci? „Przeklęta broń palna!“ Nie trzeba nosić jej ze sobą; w cywilizowanych społeczeństwach noszenie broni w warunkach pokojowego, codziennego życia jest zakazanem i karanem. Stefan Hordliczka już nie był oficerem, ani rosyjskim. ani polskim, kiedy strzelał do nieszczęśliwej swej ofiary. Sławetna „walka motywów“, walka ze sobą samym — zabić czy nie zabić — byłaby zbyteczną, gdyby Stefan Hordliczka był posłusznym sumieniu, które nakazuje unikać pokusy. Czy można sobie wystawić Jacka Soplicę, chwytającego bezbronną

kobietę za włosy, żeby ją pewniej zabić! Niechaj śpi spokojnie od infamji uwolniony, ojczyźnie zasłużony, po odkupieniu swego grzechu, Jacek Soplica! Po co adwokat Szurlej ciągnął go do sali sądowej!

A jeśli już go tam zaciągnął, to dlaczego nie powiedział nam, że Jacek Soplica zbrodnię swoją zrozumiał, odczuł i odcierpiał; że ona wyżłobiła jego namiętną duszę, nauczyła ją pokory, szacunku dla ludzi, a drogą cierpienia od wszelkiej skazy ocaliła. Dlaczego nie objaśnił Stefanowi Hordliczce, że tylko tą drogą cierpienia, i drogą poświęcenia można zyskać zapomnienie i przebaczenie, które zyskał niespokojny, ale szlachetny w duszy Jacek?

Droga cierpienia, wielkiego, ale zasłużonego, które czeka Stefana Hordliczkę, bodajby zgotowała mu przyszłość Jacka Soplicy. Ale niechaj Jacek Soplica nie służy za środek obrony dla nieszczęsnego zabójcy Wandy Hordliczkowej *).

---

*) Sąd Apelacyjny złagodził karę Stefanowi Hordliczce do czterech lat ciężkiego więzienia. Sąd Najwyższy skargę kasacyjną oskarżonego oddalił.

Zniesławienie generała Zwierzchowskiego
(w sądzie wojskowym).

Major Kazimierz Listowski, dowódca odziału sanitarnego, człowiek zdolny, sprężysty i młody, oficer ceniony i dzielny, 29 czerwca 1922 r. zakończył życie samobójstwem. Zwikłał on poprzednio i skomplikował swoje życie czynami niegodnemi swego charakteru, odczuł z bólem stan niższości wobec ludzi, w jaki postawiły go te czyny, zbuntował się w duszy przeciwko strasznej perspektywie szukania litości u tych, kto w nim poprzednio szanował prawość i energję — i wolał odejść na zawsze, niż wstydzić się i cierpieć. Z wruszającą rozpaczą melduje zwierzchnikowi z powodu jednego z tych czynów: „brakło mi odwagi, brakło mi mężkości powiedzenia prawdy, postąpiłem źle, nie po oficersku; gotów jestem zapłacić za me przekroczenie ceną krwi". A szło o błahostkę, jeśli porównać ją z ceną życia ludzkiego. Kiedy był jeszcze dowódcą bataljonu sanitarnego w Wilnie, zatrzymał u siebie dwa blankiety podróży; później zaś,

już w Warszawie, opatrzył je pieczątkami min. spraw wojskowych; mógł je zużytkować i chciał zużytkować, ale nie zużytkował. Pewnego dnia zgubił tekę z papierami, pośród których były te dokumenty. Odnaleziono tekę, odczytano papiery i przekroczenie się wykryło.

Władze oddały postępek majora na rozpoznanie sądu honorowego; sąd honorowy dał naganę majorowi. Z meldunku na imię zwierzchnika widać, jak dręczyła nieszczęśliwego ta bolesna sprawa.

Ale groziły majorowi Listowskiemu gorsze rewelacje. W swoim meldunku legitymacyjnym własnoręcznie podał się za absolwenta lwowskiego uniwersytetu, ukończonego gimnazistę ze Stanisławowa. W rzeczywistości nie kończył gimnazjum, nie był w uniwersytecie. Po co pisał te kłamstwa? Czy chciał się utrzymać na stanowisku, do którego czuł się dosyć dzielnym, choć niedosyć udyplomowanym, czy kłamał dla możności użytecznego stosowania swej energji? Liczył może na to, że w chwilach przełomowych nie chodzi o tytuł, ale o zdatność; że w naszej atmosferze „uniwersalnej niekompetencji“, zasobnej w dyplomy, nie będzie wątpliwości co do dyplomu człowieka, którego w swojej dziedzinie wszyscy uważali za kompetentnego? Może nie odczuł brzydoty swego postępku? Niewiadomo; wiadomo tylko, że kiedy po wstydzie sądu honorowego, miał nastąpić wstyd okropniejszy i hańba, major Listowski nie wahał się. Już nie pisał: „brakło mi odwagi, brakło mi męstwa; skłamałem; gotówem zapłacić ceną krwi“! Poprostu za-

płacił ceną krwi. Biedny, biedny major Listowski! Pokój jego zmęczonej duszy!

A w departamencie sanitarnym min. spraw wojskowych zwierzchnikiem, — przeto naczelnym zwierzchnikiem zmarłego majora — jest szef o symbolicznem nazwisku — generał Zwierzchowski. W błyskawicznem oświetleniu przewodu sądowego postać ta uwydatnia się, jako postać człowieka władnego, twardego, pewnego siebie i przekonanego o swej słuszności. Mówi z godnością i z wagą człowieka przyzwyczajonego do rozkazywania; i to co mówi, jest przekonywające. Zresztą nie zawsze; bo kiedy w obliczu sądu świadek, siostra miłosierdzia, skarży się, że w jednym ze szpitalów, gdzie przełożoną sióstr miłosierdzia, jest rodzona siostra generała, świadek została „wyrzuconą“ za to, że skonstatowano u niej nadwyżkę inwentarza, gen. Zwierzchowski z góry aprobuje tę decyzję, nie zapyta nawet, czy skonstatowano przestępne pochodzenie tej nadwyżki; w jego przekonaniu sam fakt nadwyżki już jest tak karygodnym, że wszelkie dochodzenie jest zbytecznem. Z temi rysami charakteru, człowiek władny, twardy i „*peu commode*“, jak mówią Francuzi, nie chcący i nie mogący absorbować się szczegółami, trzymający się swojej linji postępowania, nie bacząc na niezadowolenie naokół, musi, im bardziej jest władny i im bardziej twardy, budzić niechęć i żale.

I w tym samym departamencie sanitarnym M. S. Wojskowych służy przydzielony, młody podlekarz, podporucznik Józef Rybicki, oficer zupełnie duchowi wojskowości obcy, o wyszkole-

niu i dyscyplinie wiedzący mało albo nic — ale człowiek wrażliwy, czuły, zbyt czuły i wrażliwy, aby ze spokojem, równowagą i dostatecznym darem analizy orientować się wśród tego, co się na okół dzieje. Władność i twardość zwierzchnika, niezadowolenie, które jego „mocna ręka“ rozsiewa, burzą wrażliwego młodego człowieka, którego umysłowość i życiowe doświadczenie nie dorównywają jego uczuciowości. Słucha on z naiwną wiarą wszelkiego podszeptu, przyjmuje za dobrą monetę wszelką plotkę, wierzy w szczerość ludzi, którzy go podbudzają przeciwko szefowi, wierzy ich prawdomówności, wierzy, że działają w imię prawdy i sprawiedliwości, a nie z osobistych pobudek — i zapomina o obowiązku służbowej dyscypliny, unosi się jakąś melodramatyczną, niesprawdzoną oceną wypadków i niesie do gazety rezultaty swych niedokładnych obserwacji, swych gniewów i żalów, domysłów i wiary w cudze podszepty.

A brakowi jego wojskowej dyscypliny i wyszkolenia odpowiada, niestety, brak społecznego wyszkolenia naszej dziennikarskiej ciekawości. Bo, rzeczywiście, nikt nie wątpi, że motywy gazety, która od podporucznika Rybickiego przyjmowała jego „oskarżycielski“ materjał przeciwko generałowi Zwierzchowskiemu, były jaknajczystsze; ale wytrawność gazety winna była wymagać bardziej przekonywających dowodów, niż gołosłowne i sensacyjne opowieści.

Winna była wymagać ich nie ze względu na samą gazetą; nikt nie pozwoli sobie wątpić, że żadna polska gazeta nie cofnie się przed od-

powiedzialnością za to, co drukuje. Ale ze względu na takiego np. podporucznika Rybickiego; przyjąć od niego materjał oskarżający gen. Zwierzchowskiego, a później, kiedy władza prokuratorska oskarży Rybickiego o autorstwo zniesławiających artykułów, zostawić go jego losowi i nie rzucić na szalę sprawiedliwości ciężaru głębokiego przekonania, które kierowało gazetą przy drukowaniu oskarżających artykułów — czy to „uchodzi"? Nie uchodzi.

A jednak 4 lipca 1922 r. w jednej z gazet, w artykule „Tragiczne samobójstwo" wydrukowano, że władze wojskowe śledcze po przeprowadzeniu dochodzenia stwierdzają, iż przyczyną samobójstwa majora Listowskiego były nienormalne stosunki służbowe oraz szykany ze strony generała Zwierzchowskiego i całej jego kliki, że samobójstwo nastąpiło w takich warunkach, iż jest możliwe, że skradziono materjał, obciążający generała Zwierzchowskiego; że Listowski wiedział za wiele o swoim szefie, o jego nieudolnej gospodarce, niesprawiedliwościach i t. d.

Za te zniesławiające generała artykuły i za niesubordynację siadł na ławę oskarżonych podporucznik Józef Rybicki.

Łatwe zwycięstwo odniósł generał Zwierzchowski. Może zbyt łatwe. Nieszczęśliwy jego „oskarżyciel" był godny litości. Odbiegli go wszyscy. Oto świadek major Krzyski; kiedy oskarżony, z wypiekami na twarzy, z oczyma bezradnie smutnemi, z drżeniem prawdy w głosie, zapytywał majora Krzyskiego: „wszak mówiłeś, majorze, o bezprawiach generała, o jego nepotyzmie,

wszak przynosiłeś mi informacje, mówiłeś, że za tydzień będziesz miał generała Zwierzchowskiego w ręku, wszak zapraszałeś mnie do siebie dla detaliczniejszych opowiadań", a subtelna twarz majora Krzyskiego wykrzywiała się nieszczerym uśmiechem i zlekka zmącony głos starał się dodać wartości nieszczerym zaprzeczeniom — nikt nie wątpił, że podporucznik Rybicki pada ofiarą swojej łatwowierności i „subtelności" swych instygatorów. Wachmistrz żandarmerji Kurtz mówił także, że „władze śledcze są na tropie udowodnienia gen. Zwierzchowskiemu winy samobójstwa majora Listowskiego". Ale potwierdzić takie zeznanie, to znaczy siąść obok Rybickiego na ławie oskarżonych. Podporucznik Rybicki jest beznadziejnie naiwny. Nie rozumie nietylko dyscypliny wojskowej — ale i nie zna się zupełnie na ludziach.

Gdyby jednak p, min. wojny powiedział gen. Zwierzchowskiemu: „generale, daj tymczasem pokój podporucznikowi Rybickiemu. Będziem mieli zawsze dosyć czasu do skazania go za niesubordynację i zniesławienie zwierzchnika. Zacznijmy od gazety. Jej artykuł, i nietylko ten jeden, zawiera ciężkie oskarżenia; trzeba je zwycięsko odeprzeć; inaczej opinja publiczna może pomyśleć, że idziemy drogą najmniejszego oporu i zadowalamy się łatwem zwycięstwem. Środki obrony gazety będą, chyba, poważniejsze; i zwycięztwo pańskie, generale, decydującem" — możeby sprawa oskarżeń przeciwko szefowi sanitarnego departamentu M. S. W. raz na zawsze została rozstrzygniętą w sposób bardziej stanow-

czy, zupełny, dla wszystkich jednakowo sprawiedliwy.

Sąd okręgowy wojskowy, pod nadzwyczaj taktownem i umiejętnem przewodnictwem pułkownika Dudrewicza, skazał ppor. Rybickiego na rok więzienia i na wydalenie z armji. Na wniosek obrońcy, adw. Beylina (obrońcy wytwornego, serdecznego i wymownego), sąd uwolnił oskarżonego od prewencyjnego aresztu. Z wielkim talentem i energją wnosił oskarżenie major Grodzicki.

Eligjusz Niewiadomski.

Mówi Eligjusz Niewiadomski z ławy oskarżonych, na której zasiadł o godzinie dziesiątej zrana 31 grudnia 1922 roku*).

---

*) Dnia 16 grudnia 1922-go roku Prezydent Rzeczpospolitej, Gabrjel Narutowicz, przybył do gmachu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych na otwarcie wystawy. Powitany w westibulu przez prezesa Towarzystwa, Kozłowskiego, i wiceprezesa Okunia, Prezydent Narutowicz w towarzystwie ich oraz szefa kancelarji cywilnej Cara. adjutantów, ministrów, tudzież niektórych przedstawicieli dvplomacji. udał się na pierwsze piętro do sali Nr. 1, gdzie oprowadzony przez Kozłowskiego i Okunia, oglądał wystawione dzieła.

Gdy Prezydent Narutowicz zatrzymał się pod obrazem Kopczyńskiego, przedstawiającym gmach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, z pośród zgromadzonej za nim publiczności padły strzały jeden po drugim. Wiceprezes Okuń, usłyszawszy strzały, zwrócił się w stronę upadającego Prezydenta i zauważył stojącego tuż za nim artystę malarza Niewiadomskiego z rewolwerem w ręku. Wiceprezes Okuń schwycił Niewiadomskiego, adjutant zaś Prezydenta odebrał mu rewolwer. Niewiadomski oświadczył, iż do nikogo prócz Prezydenta strzelać nie zamierzał, oraz, że chce się oddać w ręce policji.

Sądowo-lekarskie oględziny zwłok Prezydenta Narutowicza, dokonane za pośrednictwem lekarzy biegłych: prof. Wiktora Grzywo-Dąbrowskiego i pułkownika Eugenjusza Pietrzyńskiego, wykazały, że Prezydentowi zadano trzy rany postrzałowe od tyłu, z tych dwie w klatkę piersiową, jedna zaś w okolice lędźwiowe kręgosłupa, przyczem jedna z kul przeszła nawskroś klatki piersiowej,

W przepełnionej wielkiej sali Sądu Okręgowego, wśród natłoku skupionej publiczności, wśród nastroju uroczystego i poważnego, każde słowo tego niezwyczajnego podsądnego słuchane jest z największą uwagą. Przewodniczący sędzia Laskowski; w zgodzie z asesorami, sędzią Krasowskim i sędzią Kozakowskim, pozwala oskar-

---

uszkodziwszy płuca. przebijając serce i zadając ranę bezwarunkowo śmiertelną i powodując natychmiastową śmierć.

Niewiadomski, zbadany w charakterze oskarżonego przyznał się do winy, oświadczając, że zamachu na życie Prezydenta Rzeczypospolitej Narutowicza dokonał z powodu przyjęcia przez niego wyboru na to stanowisko, pomimo, że wybór ten nastąpił głosami „wrogów państwa polskiego". Zamiar swój powziął wówczas, gdy stało się wiadome, że Prezydent przyjął ofiarowaną mu przez Zgromadzenie Narodowe godność.

Od tej chwili Niewiadomski szukał jedynie sposobności do wykonania swego planu, a wiedząc, że na otwarciu wystawy zawsze bywał Naczelnik Państwa Piłsudski, przypuszczał, że nowo obrany Prezydent zachowa ten zwyczaj. Dlatego też udał się na wystawę, zabrawszy z sobą w celu dokonania zamachu rewolwer, posiadany od roku 1920-go.

Jako członek rzeczywisty T-stwa miał prawo wolnego wstępu na wystawę. Strzelał do Prezydenta z odległości 1—2 kroków z tyłu, starając się trafić go w klatkę piersiową. Strzelał z tyłu dlatego, że strzelając od przodu, mógł zranić kogokolwiek z publiczności, zgrupowanej za Prezydentem.

Do żadnej partji politycznej od lat kilkunastu nie należy. Przed 20-tu mniej więcej laty był członkiem Ligi Narodowej i za należenie do niej był pod śledztwem i przez 4 miesiące pozostawał w areszcie prcwencyjnym, poczem został zwolniony z braku dostatecznych poszlak.

Wobec powyższych danych, mieszkaniec m. Warszawy Eligjusz Niewiadomski, lat 53, oskarżony jest, że w dniu 16 grudnia 1922 roku w Warszawie, podczas otwarcia wystawy w Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych, dokonał zamachu na życie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Gabrjela Narutowicza, dając doń trzy strzały rewolwerowe i powodując tem natychmiastową śmierć Prezydenta.

Przestępstwo powyższe, przewidziane w artykule 99 kodeksu karnego, oraz w paragrafie 15-ym przepisów przechodnich, na zasadzie artykułu 208 i 503-go ustawy postępowania karnego, podlega właściwości Sądu Okręgowego w Warszawie.

żonemu mówić wszystko; w zwyczajnym procesie zdawałoby się, że zbyt wiele. Ale ta podwójna krew, o której powie powód cywilny adwokat Paschalski — krew zabitego Prezydenta i ta krew, którą za swój zbrodniczy czyn może zapłacić sam oskarżony, dają prawo podsądnemu do najdetaliczniejszego ujawnienia swej myśli. Zimny napozór, z precyzją słowa niezwykłą, z profesjonalną pisarską plastycznością formy, przesuwa zabójca Prezydenta przed oczyma sądu doskonale wypracowany, uczuciowo zabarwiony, różaniec swych mniemań, odczuć, ocen i „przeżyć“ i tworzą one całość dziwaczną, która byłaby mniej napięcie ciekawą, nawet zdawałaby się już dobrze znaną, gdyby nie świadomość, że po takich modlitwach na takim różańcu, można wziąść rewolwer i zabić niewinnego człowieka.

„Na pierwiastkowem śledztwie przemilczałem ważną okoliczność; strzały moje były przeznaczone nie dla Prezydenta; miał od nich zginąć Józef Piłsudski. Myśl o odebraniu życia Naczelnikowi Państwa kiełkowała już we mnie dawno; stronność, o pomstę do nieba wołająca, język, jakim przemawiał Naczelnik do życzliwych sobie stronnictw — „zejdziemy na ulicę“ — niedotrzymanie zobowiązań względem Korfantego — oto moralne i umysłowe kwalifikacje Głowy Narodu. Od tej chwili rzecz była postanowiona. Natomiast wykonanie uległo zwłoce — nie było sposobności.

Sposobność nadeszła. W środę 6 grudnia w gmachu Baryczków miała być otwarta wysta-

wa Stanisława Augusta; według wszelkiego prawdopodobieństwa miał ją otwierać Naczelnik; upewniłem się, że będzie, prosiłem sekretarza o zaproszenie, otrzymałem je; wszystko było gotowe; wypróbowałem po raz setny rękę; że Piłsudski zginie, byłem tego pewny, jak tego, że tutaj stoję. We wtorek 5 grudnia wyszedłem zrana na ulicę; wziąłem gazetę: na pierwszej stronie przeczytałem, że Naczelnik rezygnuje... Moje postanowienie upadło; uczucie ulgi mną owładnęło; los uwalnia mię od konieczności zabójstwa człowieka dobrego, szlachetnego i niepozbawionego rycerskości; zapomniałem na chwilę, że jest on twórcą niedoli polskiej, sprawcą wszystkich nieszczęść. Rozbrojony byłem i pobity".

Wysokiego wzrostu, chudy, z głową i twarzą ogoloną, wyglądu jak najmniej artystycznego, podobny raczej do żółciowego kancelisty o nieudanej karjerze, z małemi oczkami, twarzą długą, ostrą jak brzytwa, zaciśniętemi wargami, o opuszczonych kątach ust, typ „smutny i niezadowolony", — oskarżony robi wrażenie fałszywej tkliwości i robionej, ale ostatecznie zrobionej energji ducha. Jest to energja ducha, której dopomagają braki rozumowania, nielogiczność myśli—i pobudliwość. I jednocześnie ta koturnowość, patetyczność, strasznie wymagająca, roszcząca pretensje nieskończenie wielkie do świata, do ludzi. do natury ludzkiej, aż nakoniec zatrzyma się na czemś, co jest nawet niższe od przeciętnego etycznego poziomu, albo co jest nawet niższe od zwykłej nizkiej zbrodni. Rosjanie, pod wpływem których widocznie się znajdował (tak mówi nad-

zwyczaj subtelny świadek—duszoznawca p. Skotnicki) nazywają takich ludzi „wysprennije liudi“. Jest to niebezpieczny rodzaj. Są sentymentalni, uczuciowi, ba czułostkowi nawet, a jednocześnie oschli i zimni względem innych. Dostojewski mówi o starym Karamazowie: „zły i sentymentalny“. Niewiadomski jest zły i sentymentalny. A w ocenie zjawisk politycznych i społecznych nie sięga wyżej nad rozagitowaną odpowiednio kucharkę. Tylko że ubóstwo swych koncepcyj pokrywa bogactwem wszystko prawie zdobiącego wyrazu i ze swych studjów zaczerpnął różnorodność analogji i określeń. Własna pobudliwość smaga jego intelekt i dosmagać się może do atrofji uczucia... a nawet, ostatecznie, i do takiej atrofji, która robi przelotne wrażenie — jakiegoś niesmacznego bohaterstwa.

Posłuchajmy, jak wysławia Piłsudskiego: niegorzej największych zwolenników marszałka. Tak Brutus może wysławiał Cezara, bo „Brutus jest najszlachetniejszym z ludzi“.

„Piłsudskiego pamiętam jeszcze z młodych czasów; wiedziałem o jego recydywach, ucieczkach, śmiałości. Moje uczucie względem niego było, jak względem czegoś bardzo pięknego. „Twarda dusza, bohaterska dusza“. Nie wiedziałem, że twarda dla siebie, miękka była dla innych — co jest jeszcze piękniejsze. Ale nie wiedziałem także, że ten rodzaj piękna, przełożony w chwili przełomowej na funkcje państwa, będzie szkodliwym.

Piłsudski stanął na czele legjonów. Zdawało mi się, że to było błędem. Przekonałem się, że nie. Moje uznanie dla niego jeszcze wzrosło. Po-

tem przyszła sprawa przysięgi, potem aresztowanie Piłsudskiego, Magdeburg. W mojem rozumieniu to były rzeczy piękne. Ale tu się zamknęły piękne karty działalności Piłsudskiego"...

Więc Brutus musiał zabić Cezara, a Niewiadomski musiał zabić Piłsudskiego. Piłsudskiego — albo kogo innego na jego miejscu. Ale o tym innym tymczasem ani słowa. Piłsudski targa dotychczas wyobraźnią oskarżonego i wyrasta w jego zeznaniu do nieludzkich rozmiarów wszystko organizującej, wszystko dezorganizującej, szatańsko-potężnej woli, formującej wedle swego złośliwego pojęcia i uznania łożysko dla życia Polski, wykoszlawione łożysko dla skoszlawionego, zbezczeszczonego życia... To wszystko zrobił Piłsudski—sam Piłsudski, tylko Piłsudski i Niewiadomski nie mógł nie chcieć go zabić. A zmorne słowo podsądnego ujawnia przygnębionej, rozgoryczonej wyobraźni świadków-słuchaczy tego niebywałego oskarżenia, idącego z ławy oskarżonych, do jakich herkulesowych słupów tragicznego rozdarcia dojść może romantyczna przesada myślącego jaskrawemi obrazami, nastawionego wrogo, nienawistnie, złośliwie, krótkowzrocznego człowieka...

I naiwnego... Bo oto historjozofja Niewiadomskiego, niestety, doniosła wielce, skoro zerwała nić życia pierwszego Prezydenta, buja niepowstrzymanie bez żadnych pęt zdrowego rozsądku, rozumienia realności, dziejów, stosunków, prądów...

Piłsudski zrobił więcej jeszcze: to on, a nie kto inny, „rozpętał tę zajadłą nienawiść semicką

nietwórczą, ten genjusz oszustwa, który zabarwił wszystkie stosunki społeczne"; to on „z religji daje robić geszeft społeczny, bo demokracja jest oszustwem — kanaljokracją, jak w Bolszewji"; to on, oczywiście, „zezwolił na mocniejsze w Polsce, niż gdzieindziej, ciśnienie intelektu i „etyki" żydostwa; żydostwa, „które zaszczepiło niemoc twórczą socjalizmowi", ongi w latach młodych drogiemu dla Niewiadomskiego. „Dawna ideologja romantyczna poszła w kąt"— to wina Piłsudskiego; „natomiast zapanowało patologiczne zwyrodnienie sprawiedliwości społecznej; żydzi dali doktrynę socjalizmowi, dali teoretyka, dali reklamę, kolportaż, rozmach zewnętrzny; ale wnieśli do socjalizmu własne pierwiastki. I teraz zapanował duch materjalizmu: idzie walka o pełne koryto, o zysk nieprawy, o zarobek nadmierny, i duch nienawiści, walki i zemsty"!...

Duch miłości, zgody i przebaczenia włożył Niewiadomskiemu do ręki rewolwer i kazał mu po sto razy próbować rękę, aż ją skierował 16 grudnia przeciwko pierwszemu Prezydentowi Rzeczypospolitej. Ochłapy jakichś pojęć o świętości królobójstwa, o szlachetnej legendzie królobójców, co z boleścią w duszy zadają ciosy—tułają się widocznie w głowie oskarżonego, który nagi- na wszystko, krótkowzrocznie, bez rozróżniania hierarchji rzeczy, do jednego poziomu, wszystko pchając w jedną płaszczyznę, bez żadnej perspektywy, jak w malarstwie japońskiem.

Krwawa to japońszczyzna! A jednocześnie z mściwemi uogólnieniami fantastycznych przywidzeń, mających charakter niby to dziejowych,

masowych formuł, Niewiadomski z jednakową czułą niegodziwością mówi o drobnostkach, które bodaj najbardziej zaważyły w jego rozgniewanej decyzji. Jak można nie chcieć zabić Piłsudskiego? „Przecież wszędzie panuje wiara w protokuły, brak woli twórczej, przecież w 1920 roku w maju, ministerstwo kultury i sztuki zamknęło jedyną szkołę artystyczną, typ wyższej szkoły dekoracyjnej i dotychczas nie zdobyło się na otwarcie nowej, choć wszystko było gotowe". Śmierć Piłsudskiemu!

Wszędzie, gdzie pracował Niewiadomski — drwił z niego Piłsudski swoją niszczycielską potęgą. A pracował wszędzie.

Poeta, malarz, krytyk sztuki, wyobraźnia lotna i uczuciowość subtelna — Niewiadomski znalazł przytułek nawet w defensywie! W odradzającej się Polsce ten mściciel nieprzebaczalnych krzywd, przez jednego winowajcę dokonanych, w defensywie szukał terenu dla zastosowania swej energji ku zbawieniu ojczyzny! Ale nie na długo; bo nawet w defensywie prawdy nie ma. I obecnie z ławy oskarżonych, w przedsionku śmierci, bez zażenowania, rażącą małostkowością swych tyrad rozprawia się Niewiadomski z nieprawdą defensywy. Może ci, przeciwko komu kieruje on swoje malownicze, literackie i uparte frazesy słuchają go w sali sądu i cierpnie na nich skóra od jeremiad byłego współpracownika! A Niewiadomski wszystkie swoje żale wypowiedzieć musi; nie stropi go przestroga przewodniczącego; zawzięcie kontynuuje przerwany frazes i nie opuści żadnego epitetu, przygo-

towanego dla tej ostatniej mównicy, „W defensywie działy się rzeczy gorszące, okropne; jeden zwierzchnik chudy, sympatyczny, drugi nizki, tłusty, uprzejmy czynili rzeczy niedozwolone“. A te rzeczy niedozwolone to, zdaje się, było niedostateczne korzystanie z prawa rozstrzeliwania na skutek podejrzeń. Kto za to wszystko odpowiada? Piłsudski! Piłsudski zasłużył na śmierć!

Czy wiedział Piłsudski, co się dzieje w defensywie, czy nie wiedział — to wszystko jedno — zasłużył na śmierć... Zasłużył, tembardziej, że odchodząc zalecił „człowieka miękkiej ręki“. „Komu potrzebna miękka ręka? Temu, komu potrzebny bezrząd: złodziejom, paskarzom, bandytom, chłopstwu, które się wykręca od podatków, żydostwu, Daszyńskiemu. wszystkim wrogom Polski. Piłsudski o tem wiedział i szukał „człowieka miękkiej ręki“.

— Ale dlaczego oskarżony zabił Prezydenta Rzeczypospolitej Narutowicza? zapytuje adwokat Paschalski.

* *
*

To pytanie adwokata Paschalskiego na krótką chwilę zmięszało oskarżonego. Jakkolwiek narzucające się, konieczne — wydało się i było arcyzręcznem — i jakby niespodzianem. Bo długie i wyraziste przemówienie Niewiadomskiego wyczerpało jak gdyby całą sprawę. Cóż jeszcze więcej mówić? Trzeźwe pytanie powoda cywilnego zburzyło odrazu suggestyjną ułudę, wytworzoną przez oskarżonego. Niewiadomski zmięszał się. Nie odpowiedział odrazu. Na skamieniałej

jego twarzy nic wyczytać nie można. Tylko oko z niepokojem i rozdrażnieniem patrzy na pytającego. „Zabił Prezydenta? Dlaczego zabił?“ Czyżby poprzednie wyjaśnienia były niewystarczające? Czy to, co jest ważnem i decydującem dla Piłsudskiego, nie jest ważnem i decydującem dla Narutowicza? Narutowicza, słomianego człowieka, promowanego przez Piłsudskiego na najwyższy urząd Rzeczypospolitej?

Ale powód cywilny jest natarczywy. Zabrano, powiada on, Prezydenta Rzeczypospolitej, a w całej długiej przemowie oskarżonego — ani słowa o zabitym. Oskarżony zaciekle wyjaśnia swój stan psychiczny, ale kiedy dochodzi do punktu, skąd zaczyna się najaktualniejsza doniosłość dla sprawy — Niewiadomski zatrzymuje się i powiada, jak Hamlet: *The rest is silence.* To niewystarczające.

Adwokat Paschalski staje w sądzie w imieniu p. Leopolda Skulskiego, głównego opiekuna nieletnich dzieci zamordowanego Prezydenta: Stanisława Józefa i Anny; staje jako obrońca pamięci zamordowanego i żąda, dla zadosyćuczynienia wymaganiom ustawy, zasądzenia jednej marki polskiej tytułem pokrycia strat materjalnych i moralnych. Taką jest krępująca forma prawa, która wymaga od powoda cywilnego, aby koniecznie ocenił na pieniądze swój interes w sprawie. Adwokat oskarżonego, mec. Kijeński, zostawia do uznania sądu dopuszczenie powództwa cywilnego. To nie przeszkodzi mu, później, w replice dowodzić, że w świątyni sprawiedliwości targować się nie należy; że obecność powoda cywilnego

zniża ten proces, proces o zabójstwo Prezydenta Rzeczypospolitej, do poziomu procesu o zabójstwo pana Narutowjcza. Mój Boże, jak surowym jest mecenas Kijeński dla ś. p. Narutowicza!

Ale, czy niema dozy słuszności w zgryźliwych słowach obrońcy Niewiadomskiego? Bronić honoru zabitego Prezydenta? Broni go poczucie sprawiedliwości mas, obroni przyszłość i historja i nikt w sądzie nie pozwoli, aby najmniejszy pyłek siadł na pamięci wielkiej ofiary. Nikt, sam zabójca przedewszystkiem. Za chwilę powie: „Narutowicz, jako człowiek, dla mnie nie istniał; nie znam go, nie rozmawiałem z nim nigdy; ani ja, ani nikt z mojej rodziny; był czcigodnym, szlachetnym człowiekiem".

Niepotrzebnie stawał powód cywilny, choć tak trafne pytanie wystosował w odpowiedniej chwili. Niepotrzebnie, bo żadnych wątpliwości co do moralnej osoby wczorajszego wybrańca Zgromadzenia Narodowego nie było, a sam ten wybór stawia niedosiężnie wysoko nietykalności zamordowanego Prezydenta. A tylko to jedno mogło by usprawiedliwić obecność w sali sądowej opiekuna sierot, jako strony w procesie. Niepotrzebnie, bo chyba nie po to przyszedł adwokat Paschalski, aby przekonywać oskarżonego, że Narutowicz „nie byłby pielęgnował politycznego matactwa i dotychczasowej anarchji", jak mówi Niewiadomski. Ta dziedzina (nazywa się ona, niestety, dziedziną polityki) nie może być troską małoletnich Stanisława, Józefa i Anny. Nie, niepotrzeba fikcyj w tej sprawie, ani fikcji głosu sierot, ani zgrzytliwej fikcji jednej marki zbytecznego po-

wództwa. Chociaż zgryźliwe, słowa mecenasa Kijeńskiego nie są zupełnie niesłuszne...

Niewiadomski zatrzymał się i nie zaraz odpowiedział. Po kilku uciążliwie długich chwilach odpowiedział. Właściwie tylko obiecał, że odpowie. Jego obrońca utrzymuje nawet, że takie wyjaśnienie nastąpiło by bez wszelkiego zaproszenia ze strony powództwa. Prosi tylko o przerwę dla wypoczynku.

A przedtem jeszcze, szereg świadków opowiedział obszerniej to, co już obwieścił akt oskarżenia. Świadek Car, naczelnik kancelarji cywilnej Prezydenta Rzeczypospolitej zeznał, że prezes komitetu Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, mecenas Karol Kozłowski, wraz z wiceprezesem Edwardem Okuniem, 15 grudnia zapraszali Prezydenta na otwarcie wystawy w Zachęcie, zgodnie z tradycją, wprowadzoną przez Naczelnika Państwa; że Prezydent zadecydował, iż najlepszem zabezpieczeniem jego osoby będzie niezwracanie się do władzy bezpieczeństwa, że urzędowy komunikat o śmierci Prezydenta był redagowany przez p. Łebkowskiego, zastępcę p. Cara. To ostatnie świadectwo było spowodowane zapytaniem mecenasa Kijeńskiego „czy był komunikat o incydencie?“ „Incydentem“ nazywa obrońca Niewiadomskiego zabójstwo Prezydenta Rzeczypospolitej. I odtąd już wiernie i zawsze, w ciągu dalszych swych obron, adwokat Kijeński nie znajdzie innego rzeczownika dla określenia tego, co uczynił Niewiadomski z ś. p. Prezydentem, jak: „wypadek“ „incydent“. Jakże surowym jest adwokat Kijeński dla zabitego Prezydenta! A jak surową

będzie potomność dla tej surowości adwokata — jeśli, co wątpliwe, zajmie się nim kiedykolwiek!

P. Karol Kozłowski opowiedział, że z liczby zaproszonych osób zjawił się przedewszystkiem p. prezydent Nowak, który zadziwił wszystkich swojem znawstwem i erudycją w malarstwie, następnie inni ministrowie. Kiedy przyjechał Prezydent Narutowicz, p. Kozłowski, poprzedzając całą grupę zaproszonych, oprowadzał ją; stał ciągle koło Prezydenta; przed obrazem Kopczyńskiego podszedł do Prezydenta poseł angielski i lady Müller, później poseł Tomasini; następnie Prezydent przeszedł do jakiegoś innego obrazu; wtedy rozległy się trzy strzały; świadek nie odrazu zrozumiał, o co chodzi; nie spuszczał z oczu Prezydenta; nagle zauważył, że Prezydent dziwnie patrzy, mruga oczyma, zaczął się słaniać i upadł na wznak. P. Nowak nachylił sie nad nim; potem zjawił się doktór; świadek usłyszał cichutko powiedziane: położyć na ziemi. Kiedy przyjechał prof. dr. Leśniowski — Prezydent już nie żył. Naokół dopytywano się, kto zabił? Świadek usłyszał głos p. Skotnickiego: „to ten warjat Niewiadomski, co go Ponikowski zwolnił".

I wice prezes Towarzystwa Zachęty, malarz Edward Okuń powtórzył to samo. Wielkie, przykre wrażenie wywarło na słuchaczy opowiadanie o trzech głuchych wystrzałach, które świadkowi wydały się jakąś odświętną salwą zdaleka, a po których Prezydent zamilkł i upadł. P. Okuń porwał zabójcę za rękę; porucznik Sołtan, adjutant Prezydenta, odebrał zabójcy rewolwer. Świadek opowiedział, że kwestja zaproszeń na otwarcie

wystawy była dyskutowaną w Zarządzie. Marszałka Piłsudskiego postanowiono nie zapraszać; takim jest „zachęcająco piękny“ artystyczny ceremonjał Zachęty Sztuk Pięknych, stosowany do byłych przedstawicieli polskiego państwa. Natomiast Zarząd uznał, że nie może lepiej udowodnić swego szacunku dla nowego przedstawiciela państwa, jak, zapraszając razem z nim, generała Hallera, tego samego, który 11-go Grudnia, o pięć dni wcześniej, zajął tak nieprzejednaną postawę wobec wyboru Narutowicza. Sam prezes Zachęty Sztuk Pięknych osobiście rozwoził najpożądańsze zaproszenia: był u Prezydenta Narutowicza, u generała Hallera, u kardynała Kakowskiego, u prezydenta Rady Ministrów p. Nowaka. Generał Haller chciał skorzystać z uprzejmości Zarządu, ale niejednocześnie z oficjalnymi gośćmi uprzejmego Zarządu; i widząc belwederskie automobile przed gmachem Zachęty, czekał na placu Małachowskiego, aż Prezydent Narutowicz opuści wystawę. Rzeczywiście, czekał niedługo; pobyt Prezydenta Narutowicza w gmachu Zachęty był krótki...

W tym olbrzymim swą doniosłością procesie, ale doprowadzonym do najskromniejszych rozmiarów jako przewód sądowy, jedynym człowiekiem, który mógł coś dokładniejszego powiedzieć o Niewiadomskim, był, niegdyś jego podwładny w ministerstwie sztuki i kultury, obecnie kierownik, czy też, w każdym razie. dostojnik ressortu, pan Skotnicki. Jego świadectwo jest charakterystyką doskonałą, jest rezultatem obserwacji bezpośredniej, przenikliwej i nie mającej

złudzeń. Obejmuje ono całą postać Niewiadomskiego wszeż i wzdłuż i w każdym calu, z pewnemi tylko spornemi, podmiotowemi uogólnieniami jak np., że brak dyscypliny względem władzy, nieuznawanie jej prestige'u, nieuznawanie etykiety — wziął oskarżony z petersburskiego świata, gdzie w Akademji Sztuk Pięknych przebywał 5—6 lat. Ten sam brak poczucia dyscypliny względem władzy, brak poczucia społecznej hierarchji mieli i inni artyści zachodu, chociażby taki Hektor Berlioz; było to niejako nieświadome odczucie naturalnego prawa wyższości, które daje talent. U ludzi nieudanych, nieszczęśliwych, nie umiejących się uporać z życiem, taka duma nieuznawanej wyższości razi, jak raziłby np. brylant w ręku żebraka. Ale pozatem — wszystko, co powiedział p. Skotnicki przynosiło zaszczyt jego wielkiej domyślności psychologicznej i umiejętności obserwacji. „Niesłychanie pracowity—powiada świadek — wzorowy urzędnik; prawdomówny aż nadto, nazywający rzeczy po imieniu. nie zwracając na nic uwagi; prawy aż do przeczulenia, bezinteresowny aż do krańcowości; egzaltowany i jednocześnie oschły; prostolinijny, ale robiący awantury, czy też wywołujący je swojem usposobieniem; umiejący opanować siebie", ale widocznie zupełnie w życiu nieznośny. „Wyznacznikiem tego człowieka były zawsze ideje — tylko że nie o szerokim poglądzie; człowiek szczegółów, nie całości; warjat — ale nie w znaczeniu psychozy, tylko narwany, bezwzględny, drażliwy— trochę deklamatorski i pozujący; oczywiście, samoistny jako umysł i postępowanie, ale bardzo

skłonny wytwarzać sobie sztuczne sytuacje; umysł słabszy od intencji — bo bezkrytycznie przyjmował agitacyjną literaturę; podjudzał się nią"...

Już więc znamy oskarżonego; wiemy, do czego jest zdolny i wiemy, dlaczego; czekamy tylko, żeby sam on swoją odpowiedzią na pytanie adwokata Paschalskiego ostatecznie zakreślił błędne koło swej osobliwej jaźni. Na tej ławie oskarżonych jego długa postać zdaje się wcieleniem nieugiętości, mocy, postanowienia. A w rzeczywistości jest to „trzcina, malowana na żelazo", którą kołyszą wiatry pobudliwych, nieodpowiedzialnych nawoływań. On jeden, ten pozornie wytrawny analista cudzych i swoich czynów i ich pobudek, nie umiał w tych nawoływaniach pełnych goryczy odróżnić agitacyjnej przesady od prawdy oburzenia. On jeden uwierzył w literę tych wołań, aż pchnęły go one do strasznego czynu.

Po skończonej przerwie oskarżony odpowiedział powodowi cywilnemu. Z tą samą doskonałością formy, czystością nauczycielskiej dykcji i upartym chłodem obserwatora, który daje formułę zjawisk, od osoby jego oderwanych, objaśnia, że śmierć Narutowicza była dziejową koniecznością, a on tylko opatrznościowem tej konieczności narzędziem. „Jako człowiek, jako obywatel, Narutowicz padł ofiarą, zgrozę budzących gmatwanin sejmowych; lewica połączona z żydostwem postanowiła nie dopuścić niezależnego człowieka do prezydentury. Trzeba było żydostwu człowieka chwiejnego, coby dalej pielęgnował polityczne matactwo i dotychczasową anarchję.

Przeprowadzono kandydata głosami żydostwa przeciwko większości polskiej. Narutowicz nie zorjentował się w sytuacji i zasiadł na prezydjalnem krześle, oblanem krwią naszych synów 11 grudnia. Przeciwko tej hańbie trzeba było zaprotestować, bronić majestatu Rzeczypospolitej, sponiewieranego przez ciury. Miałem prawo i obowiązek to uczynić. Narutowicz istniał dla mnie tylko jako symbol hańby. Tę hańbę moje strzały starły z czoła Polski; spełniłem mój obowiązek twardo i uczciwie“,

Tak daleko sięga patetyczna nierównowaga ducha pobudliwego człowieka bez serca. A w ciężkiej, przygnębiającej atmosferze moralnej depresji, która ogarnia salę sądową, gdzie wszystko ginie jakby z pola widzenia i pozostaje tylko ten długi, wysoki, chudy człowiek, dystylujący swoje straszne i spokojne słowa — mam nieprzezwyciężoną sensację czegoś, com już kiedyś widział i słyszał. Przypominam sobie również złowrogą, ale inaczej, scenę sądowego dramatu, kiedy inny oskarżony, tam, daleko, w tym Petersburgu, skąd „wziął Niewiadomski swoje nieuszanowanie dla władzy“, ze spokojem i powagą objaśniał z ławy oskarżonych, że, zabijając carskiego ministra, był tylko fatalnem narzędziem dziejowej konieczności. Ale przy całem podobieństwie grozy sytuacji i słów oskarżonych, w rosyjskim podsądnym Karpowiczu był jakiś pierwiastek wznioślejszy, jakiego niema w Niewiadomskim, „Minister nie mógł nie zginąć“ powtarzał Karpowicz z łagodnym uporem krótkowzrocznego romantyka, który w zabójstwie jednostki widzi roz-

wiązanie lub początek rozwiązania dziejowych zwikłań. Ale była w jego słowach jakaś prostoduszna abnegacja, brak wszelkiej wyniosłej podmiotowości, zupełna obcość dyskontowaniu swego czynu dla swojej osobistej chwały, jakaś pokora zakonnika... I straszny gest rewolucjonisty, dokonany jako protest przeciwko despotycznemu uciśnieniu, powszechnej zgnębionej uległości, wśród ogólnej niemocy przeciwdziałania — wydał się bohaterstwem.

Rzeczy nieuchwytne, wspomnienia wzrokowe, wspomnienia słuchu, uparcie budzą do życia dawno zagasłe wrażenia tego petersburskiego dramatu.

I Niewiadomski w ostatniem swem słowie sięgnie do bohaterstwa. Będzie sensacja tego bohaterstwa chwilową i będzie ziębić nasze normalne pojęcia o szlachetności i jakiś wewnętrzny głos będzie się burzył przeciwko naszemu wrażeniu; ale nie będzie można oprzeć się nieprzepartemu uczuciu, że to bohaterstwo, jeśli nie jest prawdą, to jest łudząco do prawdy podobne i jakby długo koło jakiejś prawdy leżało. „Na dwuch przeciwległych biegunach, mówi jeden z bohaterów Dostojewskiego, odczucie jest jednakowe". Skrajny egoizm zlewa się w jedno ze skrajnem poświęceniem... Skrajny wyraz sztuczności ze skrajnym wyrazem naturalności...

To ostatnie słowo oskarżonego było niezwykłem.

Drugiego takiego przykładu nie znam; chyba w sprawie 17-letniego Stefana Szewczyka, zabójcy 60-letniej kobiety. Szewczyk także prosił

o śmierć — znacznie krócej — ale równie spokojnie. „Proszę o wyrok śmierci — powiedział Niewiadomski. Pan prokurator zapomniał, żądając jej dla mnie, o racji stanu. Przeważać ona winna wszystkie inne względy. Sąd powinien być bez słabości; nie o mnie tu chodzi; ale niewątpliwie przyjdzie chwila, kiedy prawdziwie polscy dostojnicy zasiądą na wysokich urzędach. Przeciwko nim podniesie się zbrodnicza ręka wrogów i niejeden taki złoczyńca widziałby w pobłażaniu dla mnie — rękojmię pewnej bezkarności dla siebie. Nie należy na to pozwolić i do tego dopuścić. Uczyniłem zamach na Pezydenta; mam za to zapłacić swojem życiem. Wystawiłem weksel, chcę go zapłacić uczciwie. Ale słowa moje i sława czynu mego dojdą do potomności i najdalszych zakątków ziemi polskiej“.

„Uczciwie zabiłem“... „uczciwie zapłacę“... Tragiczny rachmistrz mniema, że trzyma w ręku główną księgę dziejową, a tuż obok inną, w której jego osobisty rachunek kończy się wiekopomnem saldem na dobro jego nieśmiertelności. A to saldo, mamiące nieprzeparcie jego fantazję artysty, pozwoli mu dotrwać w jego „robionem, aż zrobionem“ bohaterstwie do końca...

Samotny na ławie oskarżonych, samotny obok tego tłumu, który nie umie pohamować swej obojętnej ciekawości, spogląda na wrące o kilka kroków życie, i kąty ust jego, smutne i niezadowolone, składają się do wyrazu gorzkiej pogardy. W oczekiwaniu strasznego wyroku, którego tak mocno się domagał, patrzy gorączko-

wemi oczyma z za szkieł okularów i myśli. Czyżby widział glorję, co ma otoczyć czyn jego, wbrew ludzkiemu sądowi? Czyżby przeczuwał, że beznamiętna przyszłość z litością i niemocą powie o nim słowami starożytnej tragedji: „Nieszczęsny! Nieszczęsny! Nieszczęsny! I nie będziesz miał odtąd nigdy innego miana“!...

* * *

Zwykłe postacie dramatu sądowego: oskarżyciel państwowy, powód cywilny, obrońca oskarżonego — tym razem zajęły plan oddalony; górowała nad wszystkiem jedyna, wyłączna, wybitna, absorbująca postać samego Niewiadomskiego. W imię obrażonego prawa, w imię dotkniętej czynem oskarżonego sprawiedliwości: względem Narutowicza, jako człowieka, względem Prezydenta, jako wcielenia godności i powagi Państwa — wytrawnemi i mądremi słowy potępił prokurator Rudnicki zbrodnię podsądnego.

A powód cywilny, adwokat Paschalski, w imieniu małoletnich sierot historycznemi zestawieniami ze wzruszeniem utrwalał w sędziach świadomość, że obcym jest polskiej psychice impuls królobójstwa; a później, w imieniu tych sierot, na drodze od kary do „klemencji“, szukał prawdziwej odpowiedzi na tragiczne pytania procesu. Ale wzruszenie jego nie udzielało się; bo piękne swe zadanie, w warunkach procesu może zbyteczne: zadanie obrońcy pamięci zabitego — powód cywilny przetworzył w skomplikowaną wykładnię historyczno-psychologicznych zagadnień dawnej przeszłości; a droga wahania po-

między karą a zmiłowaniem, jak wszelka droga rozstrząsań o karze, z ustawy obca powodowi cywilnemu, nie mogła do żadnego celu doprowadzić; nawet wstęp na tę drogę raził potroszę, jak zbyteczne słowo, co nie ma jutra...

Sam oskarżony wyznaczył swemu adwokatowi niemą rolę, a posłuszny wysokiemu powołaniu obrońcy, zastosował się mecenas Kijeński do woli swego mocodawcy. Niewiadomski nikomu nie chciał zaufać swej obrony. „Ja obrony nie potrzebuję. Nikt w moim czynie poziomego mordu nie dojrzy. Dwukrotnie odmawiałem obrony i jeśli przyjąłem szlachetną pomoc obrońcy, to dlatego, że w komunikacie urzędowym był fałsz; ja nie uciekałem po dokonaniu wystrzałów; prosiłem obrońcę, aby był tylko opiekunem przewodu“. „Opiekun przewodu“ nie miał czem się opiekować; sprawa trwała niedługo i przewód, jeśli nie liczyć zeznania p. Skotnickiego, zamykał się prawie wyłącznie w przemówieniu Niewiadomskiego. Zazdrosny o indywidualne piętno, jakie sam nadał procesowi, Niewiadomski nie pozwolił mecenasowi Kijeńskiemu długo korzystać z głosu obrończego. Tych kilku krótkich chwil, które miał obrońca do rozporządzenia, adwokat Kijeński użył dla przeprowadzenia tezy, że jeśli w Polsce nigdy nie było królobójstw, to dlatego, że Polska nigdy nie znajdowała się w tak okropnym stanie, jak obecnie.

Ten dziwny pesymizm obrońcy, wyrwał z ust prokuratora Rudnickiego, zawsze tak umiarkowanego, słuszny okrzyk oburzenia. „Jak to, więc

w niewoli stuletniej, pod wrażem jarzmem było lepiej?“

Adwokat Kijeński nie odpowiedział na to pytanie.

Wyrokiem Sądu Okręgowego Eligjusz Niewiadomski został skazany na śmierć.

„Niech Bóg da zdrowie temu, kto go zabił".

Tak wyraziła się 16 grudnia 1922 roku, głośno, bo ją słyszeli, jeszcze młoda artystka dramatyczna jakiegoś nieznanego teatru, panna Józefa Nepon. Kogo zabito — dodawać nie potrzeba; kto zabił — wiadomo aż nadto. Panna Nepon podeszła na Marszałkowskiej, około Mokotowa do panien: Stanisławy Gąsowskiej, Julji Ziętek i Heleny Konopińskiej, odczytujących ze wzruszeniem i z oburzeniem nadzwyczajny dodatek jednej z gazet, opiewający o zabójstwie Prezydenta, zapytała dwa razy o nazwisko sprawcy i wykrzyknęła: „niech Bóg da zdrowie temu, kto go zabił". To życzenie ziściło się tylko przenośnie; samum masowego obłędu dał zabójcy tylko tragiczną, ponurą sławę, która nierozwikłanie poplątała dotychczas jasne, proste, zrozumiałe uczucia i pojęcia. Szesnastego grudnia ten samum nie wszystkich jeszcze owionął; w każdym

razie żadnej z tych niewiast, które odczytywały nadzwyczajny dodatek. Rozgniewane poszły za artystką dramatyczną, doprowadziły ją do policyjnego posterunku i poprosiły o zredagowanie protokułu.

Dlatego też panna Nepon odegrała wczoraj skromnie, ale z bezwarunkowem powodzeniem, prawie niemą rolę oskarżonej z artykułu 133 K. K., który karze aresztem wychwalanie zbrodni lub występków w przemowie lub utworze, wygłoszonych publicznie. Jedyną repliką artystki było zapewnienie w sądzie, że nieszczęsny swój frazes powiedziała „zupełnie odruchowo, zupełnie, jak gdybym jakąś powieść czytała; a myśli żadnej, mówiąc to, nie miałam".

Świądek Gąsowska — młoda, ale widocznie zacofana osoba, bo utrzymuje, że takiej zbrodni, jak zabójstwo Prezydenta, darować nie można, twierdziła, iż panna Nepon powiedziała swój frazes głośno, tak iż wszyscy słyszeli, że mówiła nie tylko do tego pana, z którym była (był to świadek pan Tilly), ale jakby do publiczności na cały głos; świadek Julja Ziętek dodała, że w głosie artystki widoczna była wielka radość, a na twarzy wielki uśmiech; ale, czy to było powiedziane do tego mężczyzny, co był z artystką, czy też tak sobie „na odchodnem", (ponieważ panna Nepon odeszła, a później wróciła do grupy czytających i później znów odeszła)—trudno powiedzieć. I to samo powtórzyła świadek Konopińska. Natomiast pan Tilly zapewniał, że panna Nepon, choć mówiła głośno, ale mówiła „zwyczajnie, jak kobieta" i to „nie było zwrócone politycznie".

A trzy czytelniczki dodatku krzyczały, idąc za artystką: „burżujka, ubrała się w karakuły“. Znalazł się jeszcze jeden świadek, również artysta dramatyczny nieznanego teatru, kolega oskarżonej i pana Tilly, który zeznał, że panna Nepon mówiła półgłosem, zwrócona do niego, Millera — ale z odległości trzech kroków.

Pprokurator p. Nisenson żądał kary dla oskarżonej,

Z motywów prawodawczych do art. 133 widać, że wychwalanie przestępcy z powodu wykonania zbrodni jest również karygodnem jak i wychwalanie zbrodni; że „przemowa“, o której mówi kodeks, może zamykać się w odezwaniu się w jednem słowie, w wykrzykniku, w haśle. W ścisłym związku z artykułem prawa, karzącego za gloryfikację zbrodni, lub zbrodniarzą z okazji jego zbrodni, stoi artykuł 129 kodeksu karnego; oba w różnej mierze karzą wywołanie nastroju szkodliwego społecznie i etycznie, i emocyj, wytwarzanych publicznem oddziaływaniem na cudzą wolę. Kara za pochwalanie zbrodni winna być dostosunkowana do rodzaju gloryfikowanej zbrodni i jej doniosłości,

Nie mogą być — powiedział obrońca oskarżonej, adwokat Hofmokl-Ostrowski, — karane prywatne uwagi dwojga osób na ulicy, chociażby były powiedziane głośno; nie w technice „przemowy“ tkwi cecha jej karygodności, ale w celu, w zamiarze oddziałania na wolę, w chęci zaszczepienia tego nastroju, który kierował mówcą; jeden frazes, jeden wyraz, jeden okrzyk, wydane na odchodnem przez nieumiejącą pohamować

się kobietę, odruchowo, czy bezmyślnie — to jeszcze nie „wychwalanie“, za które prawo karze. A gdyby nawet przypuścić w pannie Nepon jakąś chęć propagandy w kierunku uwielbienia Niewiadomskiego, to czy nie będzie czyn jej jednym z objawów tego masowego rozstroju ducha, któremu z bezsilnem, bolesnem zdziwieniem przyglądamy się od grudnia po dziś dzień? W kraju, gdzie psychika zabójcy Prezydenta stała się najzawilszą zagadką, nerwującą wszystkich; gdzie nie ma obojętnych w sprawie tego zabójstwa, a całe społeczeństwo rozłamało się na dwie części, i która większa, niewiadomo; tych, którzy potępiają zbrodnię Niewiadomskiego a tych, którzy ją gloryfikują — czyż można sądzić tylko pannę Nepon? Ta samotna na ławie oskarżonych kobieta winna mieć nieskończenie wiele towarzyszy.

W kraju, gdzie episkopat musiał, zresztą, zdaje się, bez skutku, prosić wiernych, żeby zaprzestali publicznego obwieszczania modłów za „świetlaną duszę“ Niewiadomskiego — czyż można sądzić pannę Nepon, skromną artystkę nieznanego teatru? Świadek przodownik Pogorzelski mówił na sądzie, że wypadki w rodzaju wypadku z artystką miały miejsce w grudniowe dni dosyć często, ale nosiły tak charakterystyczne cechy emanacji masowego rozstroju, — że władze policyjne nie zatrzymymały się nad temi wypadkami. Sąd powinien postąpić z panną Nepon tak samo—uniewinnić ją.

Sąd okręgowy pod przewodnictwem sędziego Skawińskiego—zgodził się z wymownym obrońcą.

Sprawa Toeplitza i jego 11 towarzyszy.

Jest ich dwunastu i wszyscy w czambuł mają lat dwieście pięćdziesiąt. Ku honorowi naszego więziennictwa powiedzieć należy, że wyglądają doskonale, policzki mają pełne, na twarzach ani pozoru znękania czy wyczerpania; jedyny oskarżony o mizernym wyglądzie, to Tom, odpowiadający z wolności.

Ich zachowanie na ławie oskarżonych trąci albo nieświadomością, albo cynizmem; rozmawiają prawie wesoło, ssą jakieś cukierki, uśmiechają się; niektóre zeznania świadków elektryzują ich, wówczas poważnieją, wsłuchują się z napięciem, bledną; potem znowu na ławie oskarżonych zapanowywa ożywienie. Może to tylko młodość; z biegiem przewodu dadzą się poznać; dotychczas jeszcze nic prawie nie mówili, jeśli nie liczyć naiwnie snobowego zaznaczania swej „bezwyznaniowości“ przez Toeplitza i kilku słów dość trafnej obrony żołnierza Fryca.

Leon Toeplitz, Antoni Piwowarczyk, Julja

Stanisława Heflichówna, Jan Pomorski, Ignacy Tom, Salomon Garfinkiel — to studenci i studentka uniwersytetu czy politechniki. W 1922 roku, jak mówi akt oskarżenia, należeli do „Związku młodzieży komunistycznej w Polsce“, dążącego do obalenia ustroju państwowego polskiego. Toeplitz organizował koła komunistyczne w wojsku i dostarczał literatury komunistycznej; w mieszkaniu swego ojca, Teodora Toeplitza, urządził skład tej literatury, rozpowszechniał ją wśród młodzieży akademickiej w Warszawie; Heflichówna prowadziła,w interesie związku młodzieży ko.nunistycznej, wywiad o defensywie politycznej z ulicy Brackiej; Pomorski agitował wśród młodzieży i nawoływał do uchybiania obowiązkom służby wojskowej; Tom rozpowszechniał literaturę komunistyczną; Garfinkiel użyczał lokalu na zebrania Związku młodzieży komunistycznej; Piwowarczyk, jako członek wojskowego wydziału partji komunistycznej, prowadził agitację wśród żołnierzy 1-go pułku wojsk łączności w Zegrzu, 1-go dywizjonu taborów, 36-go i 1-go pułku szwoleżorów, nawołując do uchybiania obowiązkom służby wojskowej, rozpowszechniając literaturę komunistyczną i urządzając w tym celu skład urzędowych wydawnictw komunistycznej partji polskiej na ulicy Konopackiej.

Noga, Watulski, Des, Szeler, Fryc i Sotelman — to żołnierze wojska polskiego, podobnie jak Piwowarczyk; akt oskarżenia imputuje im ciężką zbrodnię. podobnie jak Toeplitzowi, Piwowarczykowi i Pomorskiemu, — rozpowszechnianie w swych oddziałach odezw komunistycz-

nej partji, podburzających do obalenia ustroju społecznego.

A trzech podsądnych: Toeplitza, Pomorskiego, Piwowarczyka, akt oskarżenia stawia pod najcięższym dla Polaka zarzutem, że w roku 1922 w Warszawie i w Zegrzu dopomagali rządowi państwa obcego w zbieraniu wiadomości o liczebności oddziałów wojskowych i o nastroju żołnierzy i oficerów, to jest w zbieraniu wiadomości, dotyczących zewnętrznego bezpieczeństwa Polski.

Przynależność do partji komunistycznej, komunistyczna propaganda, zbrodnicza agitacja wśród wojska i szpiegostwo — oto wiązanka zbrodni, które zawiodły tutaj tych młodziutkich, zanadto ożywionych i doskonale — nie bacząc na prawie roczny pobyt w więzieniu — wyglądających ludzi.

Sądzi ich ósmy wydział karny sądu okręgowego warszawskiego; cywilnych łącznie z wojskowymi, na mocy rozporządzenia rady ministrów; przewodniczący sędzia Grzybowski w otoczeniu sędziów Kozakowskiego i Skawińskiego; sędziowie doświadczeni i wytrawni; oskarżenie popiera pprokurator Michałowski, bronią adwokaci Szumański, Śmiarowski, Perzyński. Duracz, Honnigwil, Sterling, Bielenia; kapitan sztabu generalnego Bratkowski obecnym jest na przewodzie w charakterze eksperta i da sądowi o działalności oskarżonych swoją opinję ze stanowiska zewnętrznego bezpieczeństwa kraju i moralnej jedności armji.

Winni czy niewinni — oskarżeni mają obroń-

ców żarliwych i zaraz z początku ci ostatni oponują prokuratorowi, wnoszącemu o rozpoznanie sprawy, nie bacząc na niestawiennictwo dwuch ważnych świadków: Maserowicza i Chmai. Pierwszy z nich pomógł do wykrycia sprawy, przyjmując początkowo udział w agitacji, drugi prowadził pierwiastkowo dochodzenie, u źródła sprawy zetknął się ze świeżemi śladami, badał zaskoczonych winowajców, Obrona nie sądzi, żeby niestawiennictwo tych świadków było uzasadnione: dokumenty usprawidliwiające to niestawiennictwo wydają się jej niedostatecznie przekonywającemi; chciałaby, nie poprzestając na martwem odczytaniu zeznań, danych u sędziego śledczego, usłyszeć na sądzie żywe i wymowne opowiadanie tych najważniejszych w procesie świadków, bezpośredniem wrażeniem ocenić stopień ich wiarogodności i szczerości — jako możliwych podstaw przyszłego wyroku. Sąd rozważa szczegółowo wnioski obrony, — daję wiarę dokumentom, usprawiedliwiającym niestawiennictwo — uchyla wniosek o odroczeniu sprawy.

Zanim po odczytaniu olbrzymich rozmiarów aktu oskarżenia, przejść do analizy sedna sprawy, sąd zezwala na zbadanie świadków, których zajęcia są tak poważne, że wymagają ich obecności w miejscu stałej służby. Choć nienajistotniejsze, zeznania ich wprowadzają odrazu nutę napięcia do przewodu; a najbardziej zeznanie generała Leona Barbeckiego. Jeszcze młody generał, z krzyżem walecznych, krzyżem *virtuti militari*, komandorskim krzyżem legji honorowej na piersiach, z ośmioma czy więcej trójkątami na

lewem ramieniu — świadectwem wielo-półrocznych okresów pobytu na frontach — z lojalną serdecznością mówi o rodzinie Toeplitzów, o jej patrjotyzmie, polskości i zasługach, o radości, jaką odczuwali wszyscy w rodzinie i sam oskarżony Toeplitz — w epoce wstąpienia do wojska polskiego. Nie wierzy generał, aby ta radość była wywołana okazją do zbrodniczej agitacji, a choć nie wie, drogą jakiej ewolucji młody człowiek, którego miał za dobrego Polaka, przeszedł do obozu wrogiego polskości, sądzi, że współczesność, dziwna i skomplikowana, kryje w sobie smutną tajemnicę wielu takich psychicznych przewrotów.

Prokurator Michałowski uważa jednak, że atmosfera domu Toeplitzów mogła być cieplarnią dla trujących roślin komunizmu i jako dowód — nie dowód, ale wskazówkę, wysuwa świadectwo, że w domu Toeplitzów generał spotykał... adwokata Duracza. Adwokat Duracz siedzi na ławie obrony; jest jednym z obrońców, którzy często występują w sprawach komunistów. Ale jest niewdzięcznem i może odosobnionem w dziejach procesów sądowych upodobnianie obrońcy komunistów, działającego na mocy ustaw i w myśl wzniosłej zasady obrony, która należy się każdemu, najbardziej nawet zatwardziałemu zbrodniarzowi, do samego komunisty. Niewiadomski, czy Toeplitz jednakowo mają prawo do obrony i wzmacniać oskarżenie komunisty tem, że w domu jego rodziców bywał adwokat, często broniący komunistów, nie jest szczęśliwym pomysłem. Słusznie zareplikował adwokat Śmia-

rowski, zapytując generała, który odpowiedział twierdząco, czy w domu Toeplitza bywali również przedstawiciele prokuratury warszawskiej. Mój Boże! stary mistrz Demange bronił najwielokrotniej szpiegów, ale nigdy żaden prokurator nie pytał świadka: czy w domu oskarżonego nie widział czasem tego adwokata. Jesteśmy jeszcze bardzo dalecy od rozumienia tego, co Francuz nazywa „*le service da la défense*“ „służbą obrony“.

Starszy wywiadowca defensywy Balcerzak rozpoczyna szereg świadków, którzy traktują o istocie rozpoznawanych zbrodni. Obrona stara się uwydatnić, że rola tego świadka jest dwuznaczną, a sam świadek wywołał niejako zbrodnię. Oczywiście, robota urzędnika defensywy nie jest podobną do poetyckiej twórczości, są w niej rzeczy przykre i w świetle dziennem rażące. Ale, czy nie pozostanie bądź co bądź niezbitym faktem, że Toeplitz miał skład literatury komunistycznej, że jego „potencjalny“ komunistyczny pęd tylko czekał okazji do wcielenia w życie?

I że ta młodzież, która siedzi na ławie oskarżonych, starała się znieprawić żołnierza?

* * *

Duchowe i moralne oblicze młodych komunistów nie wyjaśnia się wcale. Nic o nich nie wiemy, ponad ich mechaniczne gesty i czyny, opowiedziane przez świadków, przeważnie, a raczej wyłącznie, z grona urzędników defensywy. Podsądni głosu nie zabierają, chyba w kwestjach drobnych szczegółów i żaden z nich nie wypowiedział się o tyle, żeby można było zdać sobie

sprawę z psychologicznych czynników tego strasznego zboczenia, które młodzież polską, żyjącą w warunkach, gdzie dla myśli, uczucia i energji można i trzeba znaleźć przestworze i pokarm, pcha ku wywrotowi—najgroźniejszemu, brzemiennemu krwią i nieszczęściem. Należy zrezygnować z ujęcia tych młodych dusz; nie wyspowiadają się już one przed sądem; albo nie umieją, albo nie chcą mówić, albo zabdykowali z nadziei przekonania sądu o swej niewinności, albo przyjęli biernie następstwa swej winy, oddając swe losy tymczasem w ręce fachowych „braci miłosierdzia“ — obrońców.

Przewód sądowy odbywa się w atmosferze podnieconej, nierównej, niespokojnej; dopiero ku wieczorowi nastąpiło pewne złagodzenie nastroju; w ciągu dnia po kilkakroć nadciągały burzliwe chmury. Czem się to dzieje? Jeśli przewód jest walką między stronami. skąd ma powstać zwycięstwo prawdy, to, rzeczywiście, nastąpiła pewna nierównowaga sił.

Ustawa jest jasną; każe świadkowi opowiedzieć wszystko, co on wie, a później zaraz oddaje przewód w ręce stron, prokuratora i obrońcy kolejno.

Jeśli zaś inicjatywa badania i nietylko inicjatywa, ale samo badanie świadków we wszystkich jego szczegółach przechodzi do rąk przewodniczącego i dopiero po wyczerpaniu zeznania, po natychmiastowem skorygowaniu tego zeznania przez przewodniczącego, oddaje się stronom, — to powstaje dosyć nienormalna sytuacja. Prokurator już nic nie mówi (o ile nie interesuje się po-

nownie, czy adwokat Duracz bywał w domu Toeplitzów). wszystko już za za niego zrobiono; a wszelka walka obrony z zeznaniem wygląda na niedopuszczalną, niemożliwą w sali sądowej, walkę z przewodniczącym... Stąd niepokój, zdenerwowanie, zaczątki nieprzyjemnych, drażniących incydentów.

Świadek Balcerzak, świadek Pogorzelski, świadek kapitan Kucharski i nakoniec świadek Michał Snarski zobrazowali przed sądem działalność oskarżonych ponuremi barwami. Zwłaszcza świadek Snarski. Jeszcze w maju zeszłego roku b. poseł Dąbal, obecnie szczęśliwy obywatel komunistycznej Arkadji, mówił w sądzie o panu Snarskim z uznaniem, prawie z zazdrością, jako o znawcy komunizmu i dzieł jego. Tę miarodajną opinję Dąbala poparł pan Snarski wielogodzinnem zeznaniem-wykładem, z którego wynika, że defensywa ma, czy też miała, w jego osobie historyka i entomologa komunizmu. P. Snarski, nieczuły na zmęczenie słuchaczy, zcementował jaknajszczegółowiej wszystkie poszlaki przeciwko oskarżonym, rozrzucone w poszczególnych zeznaniach — i to, co w jego zeznaniu było istotnie ważkiem — zaciąży na losie podsądnych. Bo jeśli, ku szczęściu ludzi, noszących miano Polaka, oskarżenie o szpiegostwo jest osnute na błahych wnioskowaniach i wywodach, to wszystko, co mówił p. Snarski o „związku komunistycznej młodzieży“, tym westibulu komunistycznej partj, było poważne i groźne. I zaczątki akcji w wojsku, może już całkowicie przerwane, przedstawione były z grozą, której nie mogła zmniejszyć

przesada niepewnych oświadczeń. że aresztowanie Toeplitza i jego towarzyszy skonsternowało „ościenne państwo„. Kto wie, jakiemi kleszczami zagarnia komunistyczna partja swych młodych entuzjastów, z jaką straszną zręcznością i z jakim bezlitosnym despotyzmem pcha ich ku czynom nieubłaganie logicznym i nieubłaganie okrutnym— ten nie może bagatelizować czynów tej nieszczęśliwej, występnej młodzieży.

Każdy z podsądnych ma kogoś, kto drży o los jego i z męką czeka jutrzejszego wyroku. I sąd z szacunkiem i współczuciem wysłuchał Teodora Toeplitza. Tragedja rozdźwięku pomiędzy ojcem i synem; niemożność utrzymania syna na tej drodze, którą chodzi ojciec i którą uważa za dobrą, bo zgodna z miłością dla ziemi i państwa; i tragedja niemocy ojcowskiego serca wobec strasznej władzy społeczeństwa, zmobilizowanego przeciwko grzesznemu dziecku — nie mogła nie wzruszyć. Szczęśliwy, kto nie przeżywał takich smutków.

* * *

Dzień trzeci rozprawy przyniósł decydujące rewelacje co do osoby podsądnych; usłyszeliśmy Toeplitza, Heflichównę, Pomorskiego, Piwowarczyka; niema obecnie wątpliwości, że na ławie oskarżonych siedzą prawdziwi komuniści —Piwowarczyk, bezwarunkowo dojrzały; ludzie ze sposobu myślenia, wysłowienia i odczuwania, urobieni wedle klasycznego szablonu komunistycznego; z upodobaniem i gorliwością kładący szyję pod jarzmo komunistycznej feruły. Są jeszcze bardzo

młodzi, nie mieli czasu odczuć goryczy życia; sfera, z jakiej pochodzą, oszczędziła im dotychczas życiowych walk i przejść; nie mogą mieć jeszcze tej aktywnej nienawiści, jaką ma dawny rosyjski socjalista-demokrata, obecny bolszewik, albo rosyjski, prześladowany przez carat, robotnik. Są dobrze ubrani i dobrze odżywieni, ale cały jad doktryny komunistycznej, prowokującej wszechświatową społeczną rewolucję, już im się dostatecznie wraził w duszę. Jeszcze nie zdążyli rozpocząć urzeczywistnienia swego programu, ale już są doskonale uświadomieni co do metod, sposobów i celów. Przedewszystkiem zaś mają znacznie mniej uczuciowości, niż ci, co patrzą na ich młode i tragiczne zboczenia; są spokojni, jak ludzie pewni, że przyszłość do nich należy, a na swoje przyszłe cierpienia patrzą, jak na konieczny etap, który im nie odbierze równowagi ducha, może nawet humoru. Są znacznie poważniejsi, niż ich wiek. i należy ich znacznie poważniej rozważać, niż to się z początku zdawało,

Rozumie się, nie wszyscy; jest między nimi taki Salomon Garfinkel, którego aresztowano zamiast brata, Hersza Garfinkla; a za co miano aresztować Hersza Garfinkla i dlaczego trzymano w więzieniu w ciągu 9 miesięcy Salomona, a zupełnie nie poszukiwano Hersza — jeszcze nie wiemy. Prawdopodobnie sąd poprawi tę gorzką „tragedję omyłki".

Jest między nimi Ignacy Tom, natura, zdaje się, lotniejsza, może lekkomyślniejsza od innych; artystyczna i wesoła. Co się dzieje w duszy Toma, powiedzieć niełatwo, ale najprawdopodo-

bniej jest to młodzieniec, dla którego ponura dyscyplina komunizmu byłaby nieznośną; a choć w sprawie gra rolę jakaś, napisana rękę Toma kartka, na której odczytać można nazwy miast i cyfry, a oskarżenie widzi w tem wyszczególnienie ilości „bibuły“ komunistycznej, rozwożonej po miastach przez podsądnego—jednakowoż niema ona widocznie wielkiego znaczenia w oczach sądu, skoro wypuścił Toma na wolność za kaucją, a nie wypuścił Garfinkla, którego żaden właden właściwie dowód nie obciąża. O Garfinklu, o Tomie—można nie mówić, nie są oni charakterystyczni dla procesu komunistów.

Toeplitz pierwszy zabrał głos z samego rana. Jest to młody człowiek o łatwem wysłowieniu, choć niewyraźnej dykcji, przyzwyczajony widocznie do dyskutowania, o geście pouczającym, nauczycielskim raczej, którego nie pozbywa się nawet, kiedy mówi do przewodniczącego; z pewnością siebie, choć bez arogancji mówi o tej „deformacji“, jaką nakłada na osobnika „fałszywie pojęty patrjotyzm“ i wiara i kościół, i przesądy i—literatura. Związek młodzieży komunistycznej, do którego należy — przeciwdziała tej deformacji, stara się urobić człowieka, wolnego od wszelkich ułomności, gotowego do ujęcia prawdy historycznego materjalizmu i marksowskiego objawienia. Ale w starej kulturze, którą gardzi młody Toeplitz, były rzeczy dobre; przedewszystkiem była sztuka przystosowania się do okoliczności, nie należy wyzbywać się jej— może się przydać. Więc podsądny nie gardzi wykrętami; powiada o sobie, że jest komunistą

i jest członkiem „Związku młodzieży komunistycznej“, ale książki i odezwy agitujące dawał nie jako członek Związku, ale jako komunista.

To subtelne rozróżnienie ma znaczyć; dzielę się doktryną, którą wyznaję, nie podburzam nikogo do politycznego czynu. A burżuazyjny sąd może nie zrozumie, że cała doktryna jest nawoływaniem do czynu i do wytwarzania warunków, gdzie czyn ten jest możliwym.

Przewrót społeczny, jako cel opiewany w odezwach, któremi dzieli się Toeplitz, jest wedle słów jego tylko „teoretyczną przesłanką“. Oczywiście, mamy do czynienia z człowiekiem zdeklarowanych opinji, już łatwo i względnie wymownie operującym partyjną djalektyką. Jest on niewątpliwie gotów do wszelkiego posłuszeństwa partyjnego i jeśli bardzo go nacisnąć, przyzna, jak inni komuniści, że „zdrada ojczyzny dla komunisty jest pustym dźwiękiem, bo cały świat jest ojczyzną komunisty“. Tymczasem jeszcze, związany licznemi nićmi z otoczeniem, nie ma widocznie całkowitej odwagi zerwania z przeszłością—w 20-ym roku życia—i broni się energicznie przeciwko zarzutowi czynnej agitacji w wojsku i nie gardzi takiemi argumentami, jak to, że między „Związkiem młodzieży komunistycznej“ i legalnym „Związkiem młodzieży socjalistycznej“ niema nieprzejednanych różnic, skoro podsądny po dzień aresztowania pozostał w tym ostatnim! Nie dodał oskarżony, że socjalistyczny związek młodzieży nie funkcjonuje już oddawna!

Bardziej jeszcze znamiennem, najsilniejszem ze wszystkich, któreśmy wczoraj słyszeli, było

odezwanie się Piwowarczyka i wielka szkoda, że przewodniczący starał się skrócić deklarację podsądnego. Była ona we wszystkich szczegółach i w całości najplastyczniejszym dowodem i obrazem procesu. Bo, koniec końców, choćbyśmy zupełnie nie przeczyli wiarogodności opowiadania Balcerzaka, nie można nie zauważyć, że w zwykłym procesie z poszlakami, byłaby niewystarczającą ta jedna, jedyna rozmowa w Zegrzu dnia 11 czerwca 1922 roku, pomiędzy Piwowarczykiem, Pomorskim, kilku żołnierzami i Meserowiczem, grającym podwójną rolę agitatora i oskarżyciela, jako podstawa wyroku skazującego za szpiegostwo i agitację w wojsku. Ale tragicznie prawdopodobnem staje się to opowiadanie wywiadowcy Balcerzaka o podsłuchanej rozmowie, w świetle deklaracji Piwowarczyka. Dwadzieścia jeden lat ma ten młodzieniec; od czterech lat jest już społecznym działaczem; jest członkiem komunistycznej partji, a nie „Związku młodzieży". Mówi imieniem partji: „my"; oznajmia, że uważa za swój obowiązek wykorzystać wszelką okazję dla tryumfu idei partji; jeśli zaprzecza, że agitował w wojsku, to dodaje, że w warunkach, o jakich mówi Balcerzak, byłoby to nieostrożnością, a on, Piwowarczyk, doświadczony członek partji, niezręczności nie dopuszcza. Przeczy, że wyraził się: „Polsce nie potrzeba armji, bo armja polska służy tylko do obrony wyzysku i kapitału", ale dodaje, że jest to jego opinja; przeczy, że powiedział „Rosja musi mieć czerwoną armję, bo przy jej pmocy można i trzeba zdusić burżuazję w innych krajach i w Polsce", ale dodaje również,

że jest to jego opinja. I chociaż zaprzecza, że rozpytywał się żołnierzy i żądał od nich wiadomości o liczebności wojsk, oficerstwa, o nastroju i moralnej odporności wojsk—nic nie ma w tem oskarżeniu takiego, co by mogło się zdać nieprawdopodobnem po objaśnieniach Piwowarczyka. Jestto komunista dojrzały, otwarty i zdeklarowany wróg państwowości polskiej — tylko jeszcze bardzo młody i choć do wszystkiego zdolny, jeszcze nie wszystko umiejący zrobić.

Mniej silne indywidualności: Heflichówna, Pomorski walczą o wolność swoją dosyć energicznie; panna Heflichówna mówi nawet zręcznie. Materjalne dowody jej winy są takie, że można je rozmaicie interpretować: lista Nr. 10 składek dla więźniów politycznych (Nr. Nr. 7, 8, 9, znajdowały się u Toeplitza), arkusz papieru, na którym wypisano nazwiska urzędników defensywy. Heflichówna tłomaczy to czy przypadkiem, czy grą towarzyską, wogóle broni się, jak zwykły oskarżony; nie czyni żadnych deklaracyj, tylko czasem z intonacji, z opornej nuty w głosie, z cierpkiej odpowiedzi widać, że gdyby chciała, mogłaby dużo powiedzieć. A Pomorski broni się milczeniem.

A ekspert generalnego sztabu kap. Bratkowski nie wątpi, że akcja Piwowarczyka, Pomorskiego i Toeplitza jest typową akcją wywiadowczą i dywersją na korzyść Moskwy. Że drogą takich wywiadów, jakie oskarżeni czynili w 1 pułku łączności, sztab ościennego mocarstwa może ocenić bojową wartość i stopień spoistości moralnej armji. Rozkrzewienie w armji

bolszewizmu, jest najpewniejszą drogą do demoralizacji wojsk.

P. prokurator Michałowski wygłosił poważną, rzeczową godzinną mowę. Oskarżał wszystkich, prócz Garfinkla.

* * *

Ostatni dzień rozprawy, poświęcony głosom obrony, był dniem wrażeń mocnych. Proces ten rozciekawił, rozdrażnił, zaniepokoił. Rozciekawił bardziej niż proces Dąbala, który był posłem, niż proces Lauera, który jest pierwszorzędną komunistyczną indywidualnością. Proces Toeplitza był jeszcze w dodatku procesem o interesie lokalnym, warszawskim; widok człowieka, którego dobrobyt, uprzywilejowane stanowisko, tradycje rodzinne winny były obwarować przeciwko podmuchom komunistycznych wiatrów — rozciekawił warszawiaka. Rozdrażnił; ta niewidzialna, niespodziana wszechobecność komunistycznego zarazka budziła gniew i obawę, czy jawna, naziemna robota polityczna w państwie nie jest dotkliwie podminowana przez mistrzów podziemnej, uparłej, obfitej w pomysły agitacji. Zaniepokoiła; bo posłużyła, w zaognionej i roznamiętnionej atmosferze za pretekst do najjaskrawszych słów, najsensacyjniejszych podejrzeń, najkłamliwszych uogólnień. To wszystko, a nadto osobliwe właściwości obciążającego materjału czyniły trudnem zadanie obrony.

Bardzo trudnem; bo w dodatku, od czasu do czasu, nerwowa i złośliwie podsycona opinja stawia pytanie: czy może adwokat bronić tego

lub innego przestępcę? I zmusza obronę do dodatkowej własnej obrony. W starych społeczeństwach o wypróbowanej kulturze, prawo obrony jest świętem, a funkcja obrony czyni honor obrońcy nietykalnym. Do adwokata Labori, obrońcy Dreyfusa, strzelano i raniono go; ale nikt w niego nie rzucał błotem. I nikt, najzaciętsi przeciwnicy oskarżonego, najsilniej wierzący, że był on godnym piekielnych mąk zdrajcą ojczyzny, nie wątpił, że Labori, podnosząc swój głos za oskarżonego, postępuje tak, jak przystało. Francuska adwokatura, bardzo mało „zżydzona", dwadzieścia lat temu równie patrjotyczna, jak obecnie, za wysiłek pracy, za blask talentu, za próbę ogniową charakteru, wywdzięczyła się obrońcy wyborem na „bâtonnier", dziekana po naszemu.

W chwili gorzkiego. ale nieusprawiedliwionego podrażnienia Dostojewski z pasją powstał przeciwko adwokatowi, „wynajętemu sumieniu". Za obronę, jaką Spasowicz wniósł za bardzo szlachetnym, bardzo pożytecznym człowiekiem, niesłusznie oskarżonym o znęcanie się nad córeczką, genjalny pisarz rosyjski rzucił wielkiemu obrońcy zarzut nieczułości, obojętności na święte kategorje moralne, na cierpienie dziecka, na obowiązek ojca. Napisany z bolesną głębokością nadczułego serca, ten artykuł „Dziennika pisarza" stał się ewangelją dla tych, kto nie rozumie nieodzownej społecznej doniosłości obrony.

Ze stanowiska nieugiętego moralnego nakazu, bez rozważania cech samego czynu i osobistości przestępcy, rosyjski pisarz zawyrokował

o ujemności samej zasady obrony. Jak gdyby sam on nie był największym obrońcą wszystkich grzechów i wszystkich zbrodniczych wyżłobień ludzkiej natury! Jego potępienie przedostało się do nas. Tylko że ze stanowiska niechęci, nienawiści, czy drobnych rozrachunków, to potępienie, którego sam Dostojewski się wyrzekł, stało się faryzeuszowskiem narzędziem oburzeń i kłamanych zdziwień. A masy łatwowierne i niekrytyczne wierzą szlachetności oburzenia i idą na lep najordynarniejszej frazeologji i najpospolitszych wymysłów. I zmuszają obrońcę do odpowiedzi na pytanie: czy można bronić komunistę?

Można i trzeba. Uczynili to obrońcy dwunastu komunistów z dostateczną siłą przekonania i szlachetnością tonu. Byli bardzo potrzebni na ławie obrony, bo przekonali sąd o niesłuszności oskarżenia o szpiegostwo, niesłuszności oskarżenia o udział w przeciwpaństwowym spisku. Dzięki obronie, na Toeplitzu, Piwowarczyku i Pomorskim nie ciąży plama zdrady ojczyzny; jakąkolwiek będzie przyszłość tych młodych ludzi, lżej im będzie na świecie bez ciężaru tej zbrodni. Obrona przekonała sąd o niewinności sześciu z dwunastu oskarżonych. Pomogła sądowi do ujawnienia niewinności czterech żołnierzy; do uniewinnienia Toma i Garfinkla. Są to rezultaty szanowne; i współpraca ludzi, którzy pomogli do ich ujawnienia, jest równie szanowną, jak sądu, który o nich zadecydował,

Motywy obrony nie były zbyt rozmaite, ale wzruszające i śmiałe. Te motywy w obronie

Toeplitza i Heflichówny pozwoliły adwokatowi Śmiarowskiemu wywołać głębokie wrażenie. Kiedy obrońca sięgał do serc oskarżonych i w zgodnym z naturą ludzkiej wrażliwości optymizmie, zwracał uwagę sądu, że w 20 roku życia pojęcie ojczyzny jest zbyt bliskiem, zbyt przyrosłem do jaźni, aby można się było go wyzbyć dla „obcego mocarstwa", prawdy tej nie mogło już zwalczyć świadectwo Balcerzaka, czy Snarskiego, ani nawet ekspertyza kap. Bratkowskiego. Komunizm oskarżonych niewątpliwie kończył się tam, gdzie się zaczynało szpiegostwo.

Śmiało i szlachetnie bronił mecenas Śmiarowski idei czystości źródeł oskarżenia. Czyż nie jest to sprawą i interesem polskiej sprawiedliwości, aby żaden oskarżony nie był potępiany na podstawie wykrętnie otrzymanych i niepewnych dowodów? Toeplitz, Piwowarczyk i Pomorski są ziarnem podatnem do wydania komunizmu; ale kto ma prawo sztucznie przyśpieszać rozwój tych ziaren? Bez sztucznej pomocy mogłyby zamrzeć. Ze stanowiska spółżycia społecznego czem jest prowokowanie zbrodni? Czy wywiadowcy defensywy i żołnierz-prowokator mogą być dostatecznem i dopuszczalnem źródłem kary dla tych, komu oni zbrodnię ułatwili?

Adwokat Szumański, drugi obrońca Toeplitza z ujmującem wzruszeniem analizował sporne i ustalające brak winy dane przewodu. Obrońca Piwowarczyka, adwokat Duracz z wielką szczerością bronił swego klienta; ale przewodniczący wyświadczył znaczną usługę obrońcy, kie-

dy nie pozwolił mu dokończyć rozumowania, jakoby konstytucja nasza nie sprzeciwia się agitacji w wojsku. Niewiadomo, coprawda, o jakiej agitacji miał zamiar mówić obrońca; ale w założeniu opinja jego jest tak paradoksalną, że była jedynym niepożądanym zgrzytem w dobrze zbudowanej obronie. Obrońca Szelera i Nogi, adwokat Landy ma ten przenikający i szczery ton, który przy rozumowaniu poważnem — przekonywa. Obrońca Toma, mecenas Sterling, zawsze pożyteczny, częstokroć wybitny obrońca, adwokat Honigwil obrońca Garfinkla, obrońca Desa i innych uniewinnionych żołnierzy adw. Bielenia, — w rzeczowych i mocnych przemówieniach dowiedli niewinności swych klientów.

Sześć lat ciężkiego więzienia dla Toeplitza, siedem lat dla Piwowarczyka, cztery dla Posiedem lat dla Piwowarczyka, cztery dla Pomorskiego — to wyrok surowy. Choć w zaczątku zduszona, występna działalność oskarżonych zatrąca bezpośrednio o bezpieczeństwo państwa, o moralną nietykalność armji — stąd, prawdopodobnie, ta surowość, większa od surowości stosowanej do Dąbala, do Lauera — nie bacząc na różnice wieku skazanych. Ale oskarżeni przyjęli wyrok tak spokojnie, tak nawet radośnie, że nie należy psuć im ich nastroju współczuciem czy żalem, którego oni nie potrzebują. Wyrok nie trafił do ich świadomości, jako przestroga, ani do ich uczuciowości, jako wyrzut. To tylko epizod w ich drodze życiowej, której oni, widocznie, nie mają za Golgotę. Bo oczywiście, są to ludzie zdecydowani i stanowczość ich jest niewątpliwa. Są w posiadaniu „prawdy“

i to im wystarcza. „Mamy dwie prawdy, mówił na sądzie Lauer, waszą i naszą. Ale tylko wasza ma tymczasowo egzekutywę. Przyjdzie kolej i na naszą“. Tak samo myślą Toeplitz i jego towarzysze. Może spodziewają się, nie bez podstawy, że Bolszewja przygarnie ich do swego łona. Jest to prawdopodobnie jedyny sposób, aby ich oduczyć od komunizmu i wlać im do duszy trochę miłości dla tej starej, pogardzonej cywilizacji, która nie jest bez cnót, i dla jej form. I trochę szczerej miłości dla dawnej ojczyzny, tej najpierwszej.

Tam, w Petersburgu, czy w Moskwie, w imię potęgi proletarjatu, zaprzęgną ich do pracy, wobec której działalność Balcerzaka wyda im się „snem nocy letniej“. I każą im przy każdej nikczemności, popełnionej z komunistycznego rozkazu, pamiętać, że nic się nie dzieje na świecie bez cierpień — rozumie się, cudzych. Zato będą jeździć w kradzionych automobilach i mieszkać w cudzem mieszkaniu, w cudzych meblach, których właściciele zostali rozstrzelani, albo zmarli na tyfus plamisty. A po wiecu, gdzie po raz setny będą opowiadać o „okrucieństwach“ polskiej sprawiedliwości, pojadą do domu gry, państwowego domu gry, gdzie na ścianach wiszą portrety Zeusa — Marksa i największego ironisty pod słońcem, „Iljicza“ Lenina. Tutaj poczują, co to jest piękno proletarskiej dyktatury.

* * *

Sąd Okręgowy 16 marca 1923 roku po czterodniowej rozprawie ogłosił wyrok w sprawie

Toeplitza i jego towarzyszy. Toeplitz, Pomorski i Piwowarczyk zostali uniewinnieni z zarzutu szpiegostwa i z zarzutu udziału w spisku. Natomiast zostali skazani: Toeplitz na 6 lat ciężkiego więzienia, Piwowarczyk na 7 lat ciężkiego więzienia i Pomorski na cztery lata z art. 126 k. k. (udział w w stowarzyszeniu z wiedzą, że ono obrało sobie jako cel działalności obalenie istniejącego w państwie ustroju społecznego) i z art. 112 k. k. (zbieranie bez właściwego pozwolenia wiadomości lub przedmiotów, które winny być zachowane w tajemnicy, a dotyczą zewnętrznego bezpieczeństwa Polski, lub jej sił zbrojnych lub urządzeń, przeznaczonych do obrony wojennej państwa). J. Heflichówna, uniewinniona z zarzutu udziału w spisku, została skazana na trzy lata twierdzy z art. 129 k. k. (rozpowszechnianie odezw, poburzających do obalenia istniejącego ustroju społecznego). Noga i Szeler, winni udziału w rozpowszechnianiu odezw, podburzających do uchybienia przez wojskowych obowiązkom służby wojskowej i do obalenia istniejacego w państwie ustroju społecznego, skazali na 4 lata ciężkiego więzienia. Tom i Garfinkiel, żołnierze Des, Sobelman, Fryc i Waluski zostali uniewinnieni. Sąd uchylił prośbę Heflichówny o pozostawienie podsądnej na wolności za kaucją*).

---

*) Sąd Apelacyjny złagodził karę Toeplitzowi do 4, Piwowarczykowi do 5 lat ciężkiego więzienia; Pomorskiemu do 3 lat twierdzy, Heflichównie do 2 lat twierdzy, Nodze i Szelerowi do 3 lat twierdzy z zaliczeniem prewencyjnego aresztu. Pozostali oskarżeni uniewinnieni. Skazani odsiadują karę w więzieniach polskich.

Sprawa Władysława Jeśmana.

B. poseł do Dumy, p. Władysław Jeśman uległ wszystko ogarniającej epidemji: zniesławienia. W druku, czy nie w druku, zniewaga i zniesławienie stały się powszechnem zajęciem ludzi, co mają trochę wolnego czasu i pretensję do „czujności“ społecznej. W całej Polsce niepodległej, orkan bezwzględności i niesprawiedliwości względem bliźniego porwał swoim wirem ludzi, skądinąd poczciwych i godnych. Cudzy honor stał się rzeczą mniej wartą, niż marka polska. Jak Francja Napoleona III dzieliła się na „aresztowanych i aresztujących“, tak nasza ziemia dzieli się na lżących i lżonych, ze zmianą kolejną ról. Ci oskarżają tamtych o bolszewizm, tamci tych o wstecznictwo, wszyscy wzajemnie wymyślają sobie od żydów. Przykrem jest życie w tej przesyconej obelgą atmosferze. Wyrobiło się w niej specjalne, jak brzytwa wyostrzone słownictwo; myśl, mało twórcza w innych dziedzinach, wygimnastykowała się w tej nadzwyczajnie; mistrzowska produkcja wymyślnej obelgi płodną jest bez granic. Kiedyż się to skończy?

P. Władysław Jeśman był posłem do Dumy; Rosja, carska czy lenińska, jest mu, powinna mu być lepiej znana, niż wielu innym; powinien rozumieć, i, prawdopodobnie, rozumie, że stosunki, które się tam ukształtowały we wrześniu roku 1917-go, nie zawsze szły po tej linji, która doprowadziła do bolszewickiej rewolucji. Rozumie dobrze, ale nie zawsze chce rozumieć; i kiedy w jego sentyment zwolennika wielkiej własności ziemskiej uderzy pogląd sprzeczny, zapomina o należnym szacunku dla człowieka, dla działalności; gotów przeinaczyć fakty, dać im opaczne oświetlenie, rzucić niezasłużoną na cudzy honor plamę.

Zamyka oczy na prawdę; wie dobrze, że za czasów bolszewickich nie było „policmajstra“, bo już od 8 listopada 1917 roku nie było policji w Rosji i zupełna amorfja zastąpiła miejsce dawnych form bezpieczeństwa publicznego; aż wyrosła na tym gruncie zmorna „czrezwyczajka“. Jest mu to obojętne; wobec swego ideowego przeciwnika zapomina o tem wszystkiem, a przeciwnika tego w druku mianuje „policmajstrem za czasów bolszewickich“, chociażby był nim tak szanowny człowiek, jak p. Feliks Dutkiewicz, wiceprezes warszawskiego sądu apelacyjnego. Za to sąd okręgowy pod przewodnictwem sędziego Dzierżawskiego skazał p. Jeśmana na dwa miesiące więzienia.

Wyrok zasłużony, choć, zdaje się, dopóty epidemja lekkomyślnych oskarżeń nie przestanie grasować, dopóki sądy nasze nie będą w stanie bić zniesławiaczy równie boleśnie po kieszeni,

jak biją sądy w Anglji. Zmuszać człowieka, który w Kiszyniowie, za zezwoleniem ministra sprawiedliwości Rządu Tymczasowego zastał obrany przez radę miejską naczelnikiem milicji, do publicznego obalania bałamutnych oskarżeń, opartych na złośliwem utożsamianiu godności naczelnika milicji z funkcją „policmajstra z czasów bolszewickich"—rzecz bezwątpienia, karygodna. I pełnomocnik p. Dutkiewicza, adwokat Śmiarowski, słusznie żądał surowej kary dla p. Jeśmana. Obowiązek obrońcy z urzędu, wyznaczonego przez Radę Adwokacką, pełnił z rozumem i wytrawnością adw. Jan Nowodworski.

Źle się bawią panowie...

W sądzie pokoju w Mokotowie sala maleńka; przez otwarte okna odgłosy autów i wozów, huczących po bruku, psują efekty mówcom; publiczności sporo — szarej, siermiężnej, roboczej; kobiety z dziećmi na ręku; wszystko to wsłuchane i wpatrzone i mało, prawdopodobnie, zbudowane. Bo to, co się w tej chwili dzieje, budującem nie jest; na twarzach słuchaczy widać, prócz ciekawości, lekko ironiczne uśmieszki; inaczej być nie może; widowisko, na które patrzą, podsuwa im widocznie niezbyt pochlebne myśli: „niedobrze bawią się panowie“...

Rzeczywiście, niedobrze się panowie bawią. Zwłaszcza niedobrze bawi się pan Jechalski. Właściwie mówiąc, w chwili procesu już nie bawi się wcale, bo rola oskarżonego nie należy do zabawnych. Ale niedobrze się bawił 13 czerwca 1923 r. na imieninach pana Antoniego Knapa, sportsmena i wyścigowca. Podszedł do grupy, złożonej z pp. Knapa, Ordyńskiego, Kalinowskiego i jeszcze kogoś, przywitał się ze wszystkiemi,

prócz Kalinowskiego; a do tego ostatniego zwrócił się ze słowami: „a panu ręki nie podam, ponieważ tą ręką mógłbym tylko bić pana w...“

Pan Kalinowski, wybitnie znany, podobno, architekt, odpowiedział milczeniem na ten wybryk i tylko z goryczą zwrócił się do gospodarza, pana Knapa, ze słowami: „ładna rzecz mię spotyka w pańskim domu“. Pan Knap zarzucił panu Jechalskiemu, wybitnemu, podobno, urzędnikowi MSZetu, niewłaściwość postępowania; pan Jechalski siadł na konia i odjechał, ale na pożegnanie dodał do pierwszej zniewagi jeszcze jedną: „schowaj pan sobie do kieszeni, jak przywykłeś chować do kieszeni, że ilekroć moje nazwisko przejdzie przez pańskie usta, tą samą ręką bić będę pana po...“. I to powiedziawszy odjechał „posępny a dumny“.

Pan Kalinowski żąda surowej kary dla pana Jechalskiego. Wymowny obrońca oskarżyciela, adwokat Gliński, z ujmującą słusznością stawia proces o zniewagę na właściwym poziomie. „Nie jest w naszych obyczajach pysznić się z otrzymanej zniewagi; nikt już tak nie robi, jak ów obity ateńczyk, który sińce swoje owiązał przepaską z napisem: „to uczynił taki, a taki“. W naszej rycerskiej epoce istnieje, natomiast, osobliwa pycha znieważania, którą „cywilizowane“ masy uważają nawet za cnotę. Ten kto znieważa, nie ma powodu się wstydzić. Honor ludzki zależy potrosze od miłosierdzia osobników, którzy raczą nas nie znieważać. Jeśli zechcą znieważyć— tem gorzej dla znieważonego. Prawo znieważania, jeśli wyraźnie nie jest zastrzeżone w konstytucji,

jest uznane przez obyczajową, jeszcze mocniejszą, konstytucję".

Adwokat Gliński, człowiek młody i śmiały obruszył się przeciwko takiej „dyktaturze znie-wagi". Trzeba z nią koniecznie i ostatecznie skończyć. Pan Kalinowski miał prawo wyzwać pana Jechalskiego na pojedynek. Nie zrobił tego świadomie; „kodeksu Pomiana" nie wertował i pier-si swojej pod kulę pana Jechalskiego nie podsta-wił. Natomiast pozwał go do sądu; ustami swego obrońcy dowodzi, że kult brutalności powinien być wypleniony nie drogą fałszywego i bezmyśl-nego pojedynkowego konwenansu, ale drogą wdrożenia ludzi do zrozumienia, że przeciwko nieuzasadnionym aktom gwałtu i pohańbienia zareaguje mocnem słowem potępiającem ojczysty sąd. Pycha znieważania powinna być złożoną do archiwów.

Zaciekawiony i ojcowski, sędzia Preker za-pytuje oskarżonego: „jak to było i czemu to by-ło"? Odpowiedź pana Jechalskiego jest wymow-na, o ile tyczy oddania samego faktu zniewagi; oskarżony z pewną lubością forsuje nieco sytua-cję, przypisując sobie słowa, których nawet świad-kowie Knap i Ordyński nie słyszeli. Jest mniej wymowny, o ile rzecz tyczy się motywów: „pan Kalinowski jest człowiek niehonorowy, niejedno-krotnie złamał słowo honoru, rzucił oszczerstwo na pewną damę". Na jaką damę — tajemnica. I dlaczego pan Kalinowski jest niehonorowy — również tajemnica. Za chwilę oskarżony doda, że świadków tych wszystkich niehonorowości nie ma.

Ma tylko świadków zniewagi, jaką wyrządził Kalinowskiemu.

Sędzia Preker jest trochę zdziwiony; bo, widząc pierwszy raz w życiu oskarżonego i oskarżyciela, nie może odrazu przejąć się uznaniem dla wspaniałej bohaterskiej roli p. Jechalskiego, karającego niecnotę. Ale napróżno bada i pyta — i napróżno p. Kalinowski powołuje się na to, że o żadnej kobiecie, przezeń spotwarzonej, nie wie; że był zawsze uprzejmym i uczciwym w stosunku do Jechalskiego, świadczył mu wielkie przysługi, bronił nawet jego honoru, kiedy prasa z okrutną bezwzględnością pisała o pobycie pana Jechalskiego w Ameryce, że sam p. Jechalski świadkowi Ordyńskiemu, świadkowi Knapowi z laudami odzywał się o Kalinowskim — nic nie pomoże. Tajemnica zostaje tajemnicą. Bywają takie tajemnice. Tak np. u Courteline'a, podstarzały Boubouroche znajduje późno wieczorem w szafie swej młodej przyjaciółki, młodego dwudziestopięcioletniego chłopca układnego i miłego. Przyjaciółka zapewnia, że nie może mu wyznać przyczyny tak niezwykłego faktu: „jest to tajemnica rodzinna i ohydne to z twojej strony, że mi robisz skandale z powodu człowieka, którego nazwiska nawet nie znasz!“ A Gabriel Tarde opowiadał nam z katedry, jak jeden młody adwokat, przydybany *in flagranti* przez słusznie, niestety, zazdrosnego męża, odmówił sędziemu śledczemu wyjaśnień, tłomacząc się „tajemnicą zawodową“. Pan Jechalski ma także swoje tajemnice.

Ale sędzia Preker, wciąż jeszcze ojcowski, tylko już bardzo zasmucony beznadziejnym wi-

dokiem ludzkich ułomności, strojących się w tanie pawie pióra bohaterstw, nie chciałby wyrokować. Wolałby pogodzić tych ludzi, z których zdaje się, tylko jeden, oskarżyciel, ma słuszność. Przemawia do pana Jechalskiego, proponuje mu cofnąć obelżywe słowa, wyznać, że nie miał powodu do ich wypowiedzenia; zapewnia oskarżyciela, że taki rezultat, wniesiony do protokółu, ogłoszony, da mu kompletną satysfakcję. I dodaje: „dobrze, ja wydam wyrok surowy; cóż stąd; a jeśli oskarżony będzie opowiadał, że bronił honoru kobiety i ujdzie za bohatera“?

Mój Boże, czyżby, rzeczywiście, tak źle się działo ze sprawiedliwością, iż sam sędzia nie wierzy w doniosłość swych wyroków? To być nie może, takiego bankructwa sprawiedliwości nie ma i być nie powinno. To tylko w komedji Capus'a, rozwiedziona Leontyna objaśnia swemu trzeciemu mężowi, że pierwszy nie był takim brutalem, za jakiego podaje go sentencja wyroku o rozwodzie. „Głuptasie, to przecież tylko wyrok!“ Nie, nie; wierzmy wyrokom; kłamliwym objaśnieniom człowieka, potępionego przez szlachetne sędziowskie sumienie, nikt nie uwierzy.

Swoją drogą sędzia wyroku nie wydał; pan Jechalski namyślił się i zacytował nowego świadka, który ma rozjaśnić „tajemnicę“ *).

---

*) Sprawa w drugiej instancji zakończyła się, po skazującym wyroku w pierwszej—pogodzeniem.

Ginsberg — Nowiński.

Ginsberg w tej sprawie jest poszkodowanym. Nowiński oskarżonym. Nowiński, w myśl aktu oskarżenia, pozbawił Ginsberga mienia, zrujnował go moralnie i materjalnie. Działo się to przeszło dwanaście lat temu; odtąd, aż do dziś dnia Ginsberg szuka sprawiedliwości. Znajdzie ją w sądzie okręgowym warszawskim, który rozpoczął rozpoznawanie tego zawiłego, bogatego w szczegóły i obiecującego sensacje procesu. Dotychczas sprawa, aczkolwiek nieco hałaśliwa z racji zbytku świadków, gromadnie do przysięgi prowadzonych—niema jeszcze określonej fizjonomji. Z zeznaniem Ginsberga stanie się charakterystyczniejszą.

Pod przewodnictwem sędziego Laskowskiego, przy prokuratorze p. Sztejnmanie, pełnomocnikach powoda cywilnego, adwokatach: Hofmokluu-Ostrowskim i H, Koralu, obrońcach: adwokatach Świeszewskim i Berlandzie, zajmie ona dni kilka *).

* * *

*) W Sądzie Okręgowym proces ten trwał dni dwanaście, w połowie października 1922 r. Podawać *in extenso* sprawozdania z posiedzeń jest rzeczą niemożliwą; wystarczy kiika wybitniejszych epizodów procesu.

Oczekiwanych sensacyj proces ten jeszcze nie dał i chyba nie da; zawikłań da aż nadto; jest to raczej utrapienie dla sądu, niż sprawa; czynić sprawiedliwość w takim sporze, jak spór Nowińskiego i Ginsberga, jest rzeczą szanowną, ale nie do pozazdroszczenia. Nosi na sobie sprawa ślady nawarstwień trzech historycznych epok: rosyjskiej, niemieckiej, polskiej, związanych tylko upartą wolą człowieka, który wielkim głosem dwanaście lat woła o pomstę. Woła z natarczywością przekonania o swej słuszności, które zastanawia, budzi zaufanie i nawet bodaj zastępuje miejsce dowodów; bo nie było chyba dotychczas procesu, gdzie prawda byłaby tak mało namacalną, tak mgławicową, niepewną. Jest to proces, który nie powinienby stawać przed sądem—a jeżeli już stanął, to tylko przed sądem przysięgłych. Żaden inny nie upora się z tym materjałem dziwacznym i nieokreślonym; tylko instynkt dwunastu przysięgłych odczułby z dostateczną rękojmią słuszności, kto tu kłamie—czy uparty, pocieszniе po polsku mówiący chałatowy Żyd, pamiętający każdy wiersz swej wielotomowej sprawy, ale niewolący w końcu jakimś niemożliwym do naśladowania akcentem prawdy, czy też wymowny, czasami pocieszniе wymowny, z fałszywą elegancją słowa, anglizowany żydowski gentleman o wystylizowanych, niezupełnie naturalnych, a często zupełnie nienaturalnych gestach.

Czy bywają na świecie, pośród nas, Rokambole, którzy z największym spokojem i największą czelnością używają najordynarniejszych podstępów dla swych osobistych celów i bez żadnej

obawy korzystają z rezultatów swej pogardy dla tak zwanego porządku społecznego? Jeśli wierzyć Ginsbergowi, to tacy Rokambole bywają i jeden z nich, Nowiński, siedzi na ławie oskarżonych. Jest to Rokambol osobliwy, mówiący wszystkiemi językami, nawet polskim, z jednakową łatwością i jednakową niepoprawnością; tem imponuje chrześćjańskim swym współobywatelom. Dla swych współwyznaniowców ma jeszcze inne ponęty: czyta doskonale rodały i w święto Nowego Roku umie w bóżnicy grać na rogu, jako herold wielkiego dnia i umie także czarować ich swą talmudyczną erudycją. Z takiemi zaletami, w dobrze skrojonym surducie, szuka na świecie dobrych interesów; czepia sie jakiegoś biedaka, któremu los pokazał plecy, ale którego energja jeszcze się nie wyczerpała, a fachowa umiejętność jest niewątpliwą; olśniewa go i — gubi. Robi to spokojnie, wytrawnie i z matematyczną niezawodnością. Ma swoich ludzi do brudnej roboty; ma specjalistów, *âmes damnées*, do przygotowania terenu; oszukuje, tak jak inni oddychają—zupełnie naturalnie; zaczyna podstępem, kończy bezczelnością; doskonale rozumie bezradność i osłupienie, w jakie wprowadza skrzywdzonego ta niesłychana przewrotność, właśnie dlatego, że niesłychana i — tryumfuje. Zabrał człowiekowi mienie, wyrzucił go na bruk, a w następne święto Nowego Roku będzie znowu grał na rogu w bóżnicy. Zczasem w jego pamięci blednie wszelkie nieprzyjemne wspomnienie ryzykowności własnych czynów — a po upływie dwunastu lat, nawet z ławy oskarżonych, dokąd się dostał

wbrew wszelkiemu, dobrze przezeń dyskontowanemu, prawdopodobieństwu, będzie przemawiał prawie przekonywającym językiem uciśnionej niewinności ze wszystkiemi odpowiedniemi intonacjami i nawet łacińskiemi przysłowiami. I może nawet będzie przemawiał z powodzeniem. Bo, na szczęście dla ludzkości, wiara w złość ludzką jest uczuciem wyjątkowem, nawet u sędziów, nie bacząc na dotkliwe razy, jakie rzeczywistość zadaje tej szlachetnej naiwności.

Tak wygląda z aktu oskarżenia, ze słów Ginsberga — Rokambol-Nowiński. Kiedy Ginsberg szukał wspólnika dla swojej garbarni, Nowiński zawarł z nim umową o spółce, ale jednocześnię i fikcyjną umowę sprzedaży garbarni; obydwie umowy sporządzone na jednym arkuszu, napisane były tak, że można było oddzielić akt sprzedaży od aktu o spółce; drugiego egzemplarza umów Nowiński nie oddał Ginsbergowi, a po kilku miesiącach wspólnej pracy i obietnic zwrou drugiego egzemplarza, widząc, że garbarnia prosperuje, zjawił się z przedstawicielem policji i z aktem o sprzedaży w ręku, zaprodukował ten akt, jako wyraz jedynych i prawdziwych stosunków, istniejących między nim a Ginsbergiem — zarządził „eksmisję“ Ginsberga z rodziną z jego własnej garbarni i kazał aresztować Ginsberga za rzekomą kradzież skór z garbarni — skór, należących do współki garbarni, stanowiących wspólną własność. I rozpoczęła się cierniowa droga Ginsberga, która trwa lat dwanaście; a za kilka dni skończy się może — uniewinnieniem Nowińskiego. Bo są prawdy, których mądrzec nie mó-

wi swemu narodowi, a są takie, których mądrzec na sąd nie prowadzi z obawy niepowodzenia...

Stary Ginsberg jest, oczywiście, mędrcem, ale mało życiowo doświadczonym. Powiadają, że doskonale garbował skórę i jako rzemieślnik miał zasłużone powodzenie. Jeśli ją garbował z taką wytrwałością, z jaką prowadzi swoją sprawę — to nic dziwnego. Nie zrozumiał, oczywiście, Nowiński, że ma do czynienia z mistycznym uporem talmudysty, który w doznanej krzywdzie ujrzał przeznaczenie reszty swego życia. Nie naprawą swego losu zajął się Ginsberg, ale naprawą krzywdy. Z tą samą skrupulatnością, z jaką lubował się w subtelnościach dociekań talmudycznych, zajął się odtwarzaniem zbrodni, której stał się ofiarą. Z dziecinną wiarą w każde ludzkie powiedzenie, z przekonaniem, że dla niego, Ginsberga, ludzie zapomną o rozmaitych swych interesach, sprawach, obawach, zobowiązaniach, ciągnął każdego i wszystkich do świadczenia w swej sprawie. Zaplątał się w drobiazgach, szczegółach: nie rozróżniał tego, co ważne, od tego, co nie ważne. I nawet w końcu zaczął żyć tą sprawą, która go zgubiła. I niezrażony niepowodzeniami, szukał bezskutecznie współczucia. Sprawiedliwość polska zrobiła dla niego szlachetny wysiłek: daje mu możność publicznego dowiedzenia swej słuszności.

A anglizowany gentleman utrzymuje, z plastycznemi gestami à la Lloyd George, że Ginsberg jest szantażystą, procesowiczem, i że on, Nowiński, znajduje się na Prokrustowem łożu.

* * *

Nie bacząc na chaos zeznań, bezład dowodów, gmatwaninę dat, faktów, języków i żargonów, na zabawnie zdenerwowaną, strofowaną przez swych obrońców figurę wszędobylskiego, niespokojnego, nie umiejącego mówić, ale, koniec końców, umiejącego powiedzieć Ginsberga, na trudne do wyplenienia przypuszczenie o beznadziejności całego tego przewodu sądowego — prawda zaczyna się wyłaniać z tej karykaturalnej, na pozór, mgławicy; i jest ona gorzka dla Nowińskiego.

Ten lub ów świadek, adwokaci Sterling i Janczewski, robotnicy Wardzyński i Kowalski malują postać Ginsberga dosadnie, ale sympatycznie. „Tyran w robocie — mówi garbarz Wardzyński; zawsze niezadowolony z tego, co zrobił robotnik; trzeba było ciągle poprawiać, aż robota stała się pierwszorzędną. Umiejętny i wymagający; lubił mało płacić, ale co obiecał — płacił. Słowu był wierny i miał sumienie". „Był nieszczęśliwy, powiadają adwokaci; chodził do wszystkich prawników i męczył ich nieskończonemi rozmowami, ale niepodobna było nie dojrzeć w nim mocnej duszy i nie współczuć niezasłużonemu nieszczęściu. Jest niemożliwem, aby ten, po swojemu osobliwy, mistrz swego fachu, zrezygnował ze swego stanowiska w garbarni i poszedł na majstra do Nowińskiego. Tak jak, pomimo głodu i nędzy, za nic nie chciał sprzedać ukochanego tomu jakiejś niezwykłej „kabały" i zachował po dziś dzień, puchnąc z głodu, tę książkę, tak za nic nie wyzbyłby się dla jakichś

pieniędzy Nowińskiego swojej dumy—tytułu fabrykanta-właściciela".

A zresztą nie było potrzeby wyzbywać się w ten sposób, jak to mówi Nowiński — swojej garbarni. Nowiński utrzymuje, że to był maleńki, nic nie warty warsztacik i że on, Nowiński, biedaczysko, tylko z litości, z naiwności i z głupoty wlazł do tego interesu—za kilkaset rubli. Inaczej malują tę garbarnię robotnicy dawni, co po kilkanaście lat tam przepędzili: 11 okien w garbarni, 13 kadzi, kotły, piece, falcbloki, setki par sztybletów, skóry w kadziach. I zupełnie dobra reputacja towaru, zwłaszcza na Rosję, gdzie skóry Ginsberga były cenione. W takich warunkach, z taką reputacją, z jakiemi takiemi jeszcze precjozami w zanadrzu, z zaopatrzonym domem, Ginsberg nie był jeszcze bankrutem, choć robota malała z braku kapitału. Wciąż tam dłubał jeszcze sam Ginsberg, powiada Wardzyński—i wydłubałby, gdyby na drodze swojej nie spotkał drapieżnego szkodnika.

Drapieżny! Jeden z tych, co doskonale umieją spożytkować cudze zepsucie, nieodporność sumień, brak charakteru. Jeden z tych, co cynicznie korzystają z wad i rozluźnienia władz i urzędów. „Wilner", jak mówi o nim Ginsberg, litwacki Żyd, mówiąc inaczej, Nowiński, czuł się, jak ryba w wodzie, wśród zepsucia rosyjskich czynowników, małych i większych. W tych mętach, któremi centralna rosyjska władza zalewała „Kraj Prywislinski" ku większemu szczęściu jego „wiernopóddanych" mieszkańców — umiał Nowiński znaleźć pomocników. Śmiało idzie do prystawa

z fałszywym dokumentem o nabyciu garbarni, wyrzuca starego garbarza na bruk i każe go aresztować za kradzież towaru, który, conajmniej, należał do Ginsberga w tym samym stopniu, co i do niego, Nowińskiego. Ma brzęczące dowody słuszności, które nieprzeparcie trafiają do przekonania przedstawicieli „własti"; nie obawia się, że zaglądną oni zbyt przenikliwie do innych dowodów. A kiedy Ginsberg pociągnie go do odpowiedzialności za fałszywe oskarżenie, Nowiński pośle Zysię Kleina do Kremieńczuga, aby zapłacić niebezpiecznemu świadkowi, Sadowskiemu, za to, żeby nie przyjeżdzał świadczyć do sądu. Sam pójdzie do woźnego izby sądowej i będzie się dopytywał o adres przewodniczącego barona Roopa i ofiaruje sporo pieniędzy woźnemu, zresztą, ku wielkiemu zdziwieniu Nowińskiego— bezskutecznie na ten raz. I prawdopodobnie znajdzie drogę, jeśli nie do barona Roopa, to do innego jakiego poważnego i wpływowego człowieka, od którego zależał los Ginsberga.

Bo, niestety, smutne rzeczy mówił o rosyjskiem sądownictwie świadek adwokat Sterling, najsmutniejsze o rosyjskich władzach b. podprokurator sądu kijowskiego świadek Złotnickij. Skargi Ginsberga na stałe i niezawodne przekupstwo władz przez Nowińskiego — znalazły pewien oddźwięk w tem, co wie o tych władzach p. Sterling. Miał on epokę wiary i zaufania do tych władz, ale zachwiała się ona nieskończenie i na zawsze, kiedy podczas procesu Ronikiera, jakiś tajemniczy telefoniczny korespondent, o pseudonimie Kazbeka, z matematyczną ścisłością komuni-

kował świadkowi, że w razie ponownego skazania Ronikiera w izbie sądowej, jeden z sędziów otrzyma „radcę tajnego“, inny „Stanisława I klasy“, trzeci, nakoniec, w razie uniewinnienia Ronikiera, będzie się musiał podać do dymisji. I wszystko stało się, jak mówił tajemniczy Kazbek. Kazbek zatelefonował, że jakiś nieprzyjemny dla oskarżenia, większy urzędnik z Lublina, będzie musiał cofnąć swe zeznanie — i większy urzędnik z Lublina cofnął swe zeznanie.

Cóż więc dziwnego, że w sprawach Ginsberga, biednego, nic nikomu nie mogącego dać żyda, przy czujnej pomocy Nowińskiego działy się, jak mówi p. Sterling rzeczy dziwne, Świadkowie Ginsberga nie zjawiali się, ci, którzy przychodzili świadczyć, odprawiani byli bez zeznań skutkiem tajemniczych i fałszywych oświadczeń—że już są niepotrzebni. A sam Nowiński, choć przewietrzał tego samego dnia swoją dystyngowaną powierzchowność po Krakowskiem Przedmieściu—figurował na sądzie jako: „wybywszy w Pietrograd“.

Bardziej gorzkie rewelacje usłyszeliśmy od świadka pana Złotnickiego. Ten „dobry rosjanin“, sympatycznie mówiący po polsku i tylko w chwilach większego wzruszenia wracający do ojczystej mowy, jak Napoleon do włoskiej w „Madame Sans-- Gêne“ mówił rzeczy druzgoczące ostatki, i tak już nikłe, naszego naiwnego optymizmu względem naszych dawnych władców. Był przydzielony z ramienia ministra sprawiedliwości Szczegłowitowa do wszechwładnej i arcygroźnej rewizji senatorskiej senatora Neudhardta. Ale zawiódł oczekiwania swego patrona, bo dowie-

dziawszy się o łapówkach, które otrzymał generał-gubernator Skałon, sporządził odpowiednie protokuły. Zabrał mu je prokurator izby sądowej Hesse, zawiózł je do Petersburga, złożył ministrowi, a ten carowi. A car napisał: „nie trogat' starika". Zato dotknięto p. Złotnickiego; minister Szczagłowitow zawezwał go do siebie, namydlił mu głowę, zagroził nominacją do „Turuchańskiego kraju" i gorzko mu wyrzucał brak służbowego taktu. Pisać protokuły o łapówkach Skałona! Jaki brak państwowego wychowania!

P. Złotnickij poznał w komisji rewizyjnej tę wcieloną skargę, która nosi miano Ginsberga. I on również współczuł pokrzywdzonemu. I on również uwierzył mu. Taką jest siła rzetelnej, choć niezręcznej szczerości. Te orginalne akty, które świadczyły, że Nowiński zawarł z Ginsbergiem akt spółki, a bynajmniej nie nabywał garbarni—były z rozkazu senatora zabrane podczas rewizji u braci Nowińskich, zajmujących się dostawą obuwia dla wojennej intendentury, której nadużycia stanowiły, pomiędzy innemi, przedmiot rewizji senatora. Zabrane były w marcu 1910 roku; zwrócone były przez magistrat Nowińskiemu dopiero w samym końcu lipca, a w maju Nowiński z dokumentem o sprzedaży w ręku wyrugował Ginsberga z garbarni i kazał go arestować. Czyli: że wierny swej metodzie czelności, Nowiński zaprodukował komisarzowi fałszywy, przez samego siebie napisany dokument.

I wiele podobnych śmiałych i obliczonych na bezkarność rzeczy uczynił, podobno, nasz anglizowany gentleman. Zachciało mu się mieć pra-

womocny wyrok sądowy, udowodniający, że on, Nowiński, był właścicielem garbarni. Nic łatwiejszego! Dostatecznie przy pomocy dwóch dusz najętych, Lichtensztejna rządcy domu, gdzie była garbarnia i totumfackiego Marjampola, człowieka o fizjognomji łagodnego szakala z wyszczerzonemi złotemi zębami, urządzić niewielką komedję! Lichtensztejn wytacza przeciwko Nowińskiemu akcję o 49 rubli zaległego czynszu za lokal garbarni, chociaż ten lokal nigdy do Nowińskiego nie należał; Nowiński (bogaty Nowiński, nie płacący 49 rubli) nie oponuje przeciwko powództwu, sędzia zarządza eksmisję Nowińskiego z „zajmowanego przezeń lokalu“ i rzecz skończona. „Po ukazu Jewo Inperatorskawo Wieliczestwa“, Nowiński staje się właścicielem lokalu Ginsberga!

Ale nigdy nie można być dosyć ostrożnym. I Nowiński ma swoje chwile przeoczeń. Bo oto nie zdołał namówić świadka Gutmana, aby ten, zawierając kontrakt z garbarnią na odbiór od niej skór, nie pisał „Do garbarni spółki Ginsberg i Nowiński“. Takie dokumenty, ku niezadowoleniu Nowińskiego świadczące o istnieniu spółki — znajdują się w aktach. Bo oto także Nowiński nie skombinował, że należałoby choć na kilka dni przewodu sądowego zapomnieć o dobrych, skutecznych sposobach oddziaływania na świadków. Nie oparł się gentleman pokusie i onegdaj w sali „des pas perdus“ postarał się, aby p. Fajans — świadek, jeszcze nie badany — był jaknajgorszej opinji o innym świadku, już badanym, panu Krongoldzie, który ośmielił się dobrze mó-

wić o Ginsbergu, a znacznie gorzej o Nowińskim. I to go zgubiło—Nowińskiego.

Bo kiedy rzecz się ujawniła w sądzie, obrońca Ginsberga, adw. Hofmokl-Ostrowski, obrońca szorstki, czasem brutalny, ale bezspornie energiczny i umiejętny, wniósł o uniemożliwienie panu Nowińskiemu dalszych ćwiczeń w kierunku oddziaływania na świadków. Prokurator poparł ten wniosek. I po naradzie sąd postanowił natychmiast aresztować oskarżonego.

Takim był niespodziany, efektowny, zresztą naturalny, koniec jednego z posiedzeń.

*

Wszyscy świadkowie już zbadani; biegli dali swą opinję o wartości fabryki Ginsberga, o jej wydajności, o zyskach, jakie dawała; przewód sądowy zamknięty, oskarżony Nowiński zwolniony z aresztu.

Treściwie, wyczerpująco i spokojnie dowodził p. pprokurator Sztejnman winy Nowińskiego. W procesie widzi odwieczną walkę krzywdy i sprawiedliwości, zła i dobra; w wypadkach, kiedy złośliwej woli jednostki sprzyjają ułomności władz czy ustroju i pozwalają jej bezkarnie i długo znęcać się nad losem innej jednostki — zaszczytną jest rola i funkcja sądu, który ma władzę krzywdę naprawić, złą wolę shamować! Nowiński, Żyd rosyjski, obcy tutejszemu środowisku, bez przywiązania do kraju, w ziemi tej widzący tylko grunt dla łatwego dorobku, biorący wszystko od społeczeństwa, dokąd go sprowadziły moskiewskie rugi, nic nie dający w zamian; a z drugiej strony Ginsberg, odwieczny

Żyd polski, z ziemią zrosły, po swojemu do niej przywiązany, z rasy tych Żydów, co dali Berka Joselewicza, człowiek religijny i wpatrzony w zawiłą naukę swego talmudu, pracowity zresztą i wytrwały — spotkali się w życiu ku nieszczęściu Ginsberga. Obecnie Nowiński chciałby, aby w Ginsbergu widziano natręta, paronoika, niespokojnego i męczącego człowieka. Jest w nim to wszystko; ale nietylko to; pieniaczem, natrętem i prawie paranoikiem, uczynił go sam Nowiński. Dwanaście lat temu skrzywdził Nowiński Ginsberga: od dwunastu lat powoli i uporczywie wyrastał Ginsberg w jakiegoś osobliwego i dziwacznego bohatera swej krzywdy. Przez wiele lat Nowiński nie może spokojnie i lekceważąco odpocząć; gnębi go, trawi jego ofiara, nie daje mu spokoju, aż Nowiński chwyta się kardynalnego środka, jedynego, jaki mu dyktuje jego, aż nadto uprawniony sceptycyzm względem ówczesnych władz i względem ówczesnej sprawiedliwości, usuwa—nie osobiście, ale przez swoich w mroku pozostałych pomocników — te kompromitujące dokumenty, które w oczach, niechybnie nadchodzącej, polskiej sprawiedliwości mogą odzyskać swoją karzącą Nowińskiego doniosłość. To usunięcie dokumentów, na które zawsze i ciągle powoływał się Ginsberg, na zasadzie których pisał swe skargi i podania w imieniu Ginsberga taki szczery, żadnej sprawy nie biorący bez zaufania do niej, adwokat, jak były prezydent m. Warszawy p. Nowodworski — jest i będzie zawsze poszlaką przeciw Nowińskiemu. I jest rzeczą niedopuszczalną, aby Nowiński miał zysk

i słuszność ciągnąć z tego, że swoją złą wolę doprowadził do najostateczniejszych i cynicznych krańców.

Takie zeznania, jak świadectwo Zylbermana, któremu powiedział Nowiński, że musi zniszczyć Ginsberga, ażeby, oczywiście, samemu eksploatować rynek, stosunki i reputację Ginsberga; i takie zeznanie jak Kołczewskiego, którego Nowiński prosił zeznać, że to jest jego, Nowińskiego, fabryka, za co obiecywał na całe życie stałą posadę; i takie, jak Kowalewskiego i Nigrowskiego, z rosyjskiego komisarjatu 5 okręgu, którym Nowiński zaprodukował akt o sprzedaży fabryki i zażądał od nich wyrugowania Ginsberga z lokalu wraz z rodziną i rzeczami, chociaż żadnego autentycznego aktu, sporządzonego przez siebie za zgodą Ginsberga, mieć nie mógł, ponieważ były one wówczas w posiadaniu senatora Neudhardta; i takie fakty, jak podburzanie do niszczenia urządzenia w fabryce, do wylewania garbnika—najlepszy dowód, że to była własność Ginsberga; i przewrotna interwencja Klejna, sławetnego przedsiębiorcy walących się domów, celem niedopuszczenia świadka Sadowskiego, drogą przekupstwa, do świadczenia—i proces, wytoczony o 49 rubli przez Lichtensztejna, t. j. przez Nowińskiego Nowińskiemu,—wszystko to, w oskarżycielskim ładzie, przytoczone i uwydatnione przez prokuratora Sztejnmana, daje siłę żądaniu prokuratora o skazanie Nowińskiego w imię obrażonego poczucia sprawiedliwości.

Pełnomocnik powoda cywilnego adw. Hofmokl-Ostrowski wniósł do sądu o skazanie No-

wińskiego na: 1) zwrot Ginsbergowi fabryki skór wraz z urządzeniem, ewentualnie na zapłatę wartości ich w sumie 1248 rb. 2) na zapłatę 5000 rubli za utratę firmy, 3) 2608 rubli za zapas towarów, 4) z tytułu utraconych dochodów od 1 czerwca 1910 r. do obecnej chwili 54381 rubli, czyli razem 63497 rubli oprócz 25000000 mk. polskich tytułem krzywd moralnych.

Pełnomocnik powoda cywilnego adwokat H. Koral wygłosił gorącą i szczerą mowę, oskarżającą Nowińskiego

*

Trudnej roli obrony słuchano z wielkiem zainteresowaniem. W wytrawnej mowie adwokata Berlanda widać poważne i udzielające się przekonanie. I choć trudno zgodzić się, że zamiast dowodów mamy tylko brednie w tej sprawie, choć prawomocne wyroki rosyjskiej izby sądowej w sprawie o zadanie gwałtu Ginsbergowi, gdzie świadkiem był Nowiński, stwierdzający przysięgą swój charakter właściciela garbarni — nie mogą mieć dla nas czaru świętej nietykalności, choć objaśnienie sprawy jakąś masową suggestją zdaje się nam ryczałtowem i naiwnem, a upodobnienie Ginsberga do Shylocka bardzo wyraźnem psychologicznem krótkowidztwem — gotowiśmy z obrońcą Nowińskiego przyznać, że wnioskowanie o ogólnej sprzedajności sądownictwa rosyjskiego jest niezgodnem z rzeczywistością, zbyt łatwem przypuszczeniem. I że wszystkie te, tak obarczające Nowińskiego dowody nie mają, po za instynktownie niesympatycznym dla oskar-

żonego nastrojem — tej plastycznej, nieprzepartej siły, której potrzeba dla skazującego wyroku.

Swada adwokata Świeszewskiego, zaczepna, ironizująca, ale trochę lekceważąca przeciwnika, miała chwile interesujące. Jej celem było przekonać, że sprawa podlega przedawnieniu, że zamiast wielu miljonów, których domaga się powództwo cywilne, należałoby się w najlepszym razie tylko 48.000 marek Ginsbergowi; że brak „postawienia Nowińskiego w zwłoce", brak formalnego żądania zwrotu fabryki w swoim czasie, udaremnia w obecnym wszelkie w tym kierunku powództwa. Pozornie bardzo przenikliwa, w gruncie bardzo opaczna charakterystyka Ginsberga, jako przebiegłego oszusta, nie pracującego od chwili rzekomej krzywdy, bo poco pracować, skoro się znalazła intratna posada ofiary—przekonać nie mogła. Ale szczegóły tej obrony były wymierzone dotkliwie i dowcipnie.

Już po prokuratorskiej, ożywionej mocnym pędem przekonania, replice, na dosyć znaczne wyżyny podniósł sprawę obrońca powoda cywilnego, adwokat Hofmokl-Ostrowski. Godna zazdrości wytrzymałość fizyczna, doskonale postawiony głos, niezmącona przytomność umysłu, zawsze gotowa replika, znajomość sprawy wytrawna, i umiejętność ujęcia rzeczy dosadnie, plastycznie, suggestyjnie — czynią z tego obrońcy pierwszorzędną siłę. Raczej czyniłyby; gdyby nie pewien nadmiar patetyczności, przechodzący w deklamację, i energji, przechodzący w gburowatość ,i obrazowania, przechodzący w retorykę, gdyby nie widoczny brak poczucia miary. Bądź co bądź

podniósł obrońca sprawę do poziomu wielkiego procesu, rozbudził widownię i wzruszył, nadał, uśnionej w sztucznej atmosferze sali sądowej, krzywdzie Ginsberga nowe tętniące życie; oskarżonego frapującemi dowodami potargał i dał znowu pewne tragiczne tchnienie tej nieznośnej, okropnej gmatwaninie, która się zwie procesem Nowińskiego i która jednak może być chlubą polskiej, niczem nie zrażonej sprawiedliwości; „*tu felix Polonia iudica*“ — wyraził się nieco pompatycznie, ale przejmująco, obrońca.

* * *

Obrońcy Nowińskiego postawili na swojem; ich klient został uniewinniony ze wszystkich zarzutów przestępstw, o które go oskarżono: z fałszu, z krzywoprzysięstwa i innych. Sprawiedliwość również postawiła na swojem: Nowiński został skazany za przestępstwo, które ta sprawiedliwość bez pomocy stron dojrzała i potępiła. Prośbie Nowińskiego stało się zadość; powiedział on w ostatniem słowie, że uważa za zgoła fałszywą starożytną koncepcję sprawiedliwości, jako Temidy z zawiązanemi oczyma. Z zawiązanemi oczyma, powiada Nowiński, nie można ani zważyć na wagach, ani wymierzyć trafnie ciosu. Z zawiązanemi oczyma można ugodzić w niewinnego; i można na wagę rzucić fałszywy ciężar (jak to podobno czynił jeden z bliskich sercu Nowińskiego świadków w swych operacjach węglowych — w obcych sprawiedliwości celach). Ta artystyczno-moralizatorska uwaga p. Nowińskiego dowodzi, że, rzeczywiście, zajmuje się on literaturą; z za-

jęć tych wyniósł nawet zwyczaj podawania cudzych spostrzeżeń za swoje. Ale to jest najdrobniejsze przekroczenie Nowińskiego. Inne, te, które dojrzała Temida z otwartemi oczyma, jak chciał tego oskarżony, zwą się: oszustwem i zważone na wadze sądu okręgowego warszawskiego, spowodowały, że miecz Temidy zadał Nowińskiemu cios bolesny: rok więzienia, a z zastosowaniem amnestji -- sześć miesięcy. O pieniądze mniejsza; p. Nowiński zapewniał, że żywi dla nich pogardę; z wyroku sądu ma zwrócić skrzywdzonemu przez się Ginsbergowi 780000 mk.. Wszystkiego razem 55 dolarów. O tem mówić nie warto.

W sądzie apelacyjnym.

Po roku przerwy odgrywa się, w sądzie apelacyjnym na ten raz,—drugi akt wielkiego dramatu-komedji: Ginsberg contra Nowiński. Z niezmąconą cierpliwością wysłuchuje sąd namiętnego mistrza Ginsberga, który, jak stary Jankiel na cymbałach, wygrywa na wielotomowych aktach swej sprawy frapujące i zgrzytliwe melodje swej starodawnej krzywdy, za którą żąda odwetu— i wynagrodzenia. Już się stała historyczną ta postać podstarzałego kapotowego Żyda, który trzynaście lat szuka ludzkiej sprawiedliwości z niesłabnącym uporem, co samo przez się tworzy przypuszczenie słuszności. Z niezmąconą cierpliwością wysłuchuje sąd zimnych, zręcznych, zawsze gotowych objaśnień i replik Nowińskiego, który przeciwstawia naciskowi wroga z wysoka pedantyczny objektywizm, jak gdyby sprawa tyczyła się kogoś innego, obcego, kto przypadkiem

tylko dostał się na chwilę—do tego zgiełku niewyraźnych faktów, nieokreślonych cyfr, nieustalonych podejrzeń. I spokojnie czeka, aż rozpryśnie się ich miraż w uniewinniającym wyroku, jaki powinien—wedle Nowińskiego — zastąpić miejsce zeszłorocznego wyroku, z jego skazaniem na rok więzienia za oszustwo.

Czterech przeciwników ma oskarżony Nowiński, właściwie pięciu: oskarżyciela państwowego, trzech obrońców cywilnego powoda i samego powoda. Czyżby słuszność wymagała tak wielkiego aparatu? Ma Nowiński dwuch obrońców—to nie zamało, jeśli zważyć impet nacisku. Jeśli z przeciwstawienia tak dobrze obwarowanych pozycyj — oskarżenia i obrony—nie wytryśnie najoczywistsza prawda, to chyba trzeba będzie zwątpić o możności jej ujawnienia na sądzie. Zobaczymy to dzisiaj—kiedy głosy stron obejmą w wyraźną formę tę mozajkę faktów, często po wtarzanych, ale czasem niedosyć, mimo to, plastycznych. Jeszcze raz—wespół ze stronami—wznowimy je w pamięci czytelnika, który rok temu interesował się pytaniem: czy Nowiński skrzywdził Ginsberga, czy też Ginsberg jet tylko histerycznym i mściwym symulantem ofiary.

Od przeszłego roku Nowiński nie stał się sympatyczniejszym, Ginsberg mniej drażniącym. Zaciekłość dwóch przeciwników — w rozmaitych przejawach — jest jednakowa. Ale Nowiński ma pewną przewagę nad Ginsbergiem, której ten uznać nie chce. Nowiński jest oskarżonym. We wszelkich ustawach proceduralnych — oskarżony jest pewnego rodzaju świętością. Francuska usta-

wa już zrzekła się od kilkunastu lat indagacji oskarżonego przez przewodniczącego, która była była, bardzo długo, melodramatycznym i denerwującym momentem procesu. Ustala się powszechnie zasada inna: oskarżony, który się nie przyznaje—może milczeć. Męczyć go pytaniami, i starać się postawić proces na nogi drogą zestawiania odpowiedzi oskarżonego—jest rzeczą przez ustawy postępowania karnego— odrzuconą. Materjalna prawda winna szukać innych sojuszników, innych dowodów—nie słów samego oskarżonego.

Dziedzina efektów sądowych jest obfitą; nie może być inaczej tam, gdzie idzie o honor, o życie, o wolność. Ale i tutaj jużeśmy wyrzekli się efektów łatwych i znikomych. Zadać pytanie oskarżonemu i z jego odpowiedzi wysnuć całą teorję o jego usposobieniu, charakterze, jest to dobre we właściwem miejscu — w obrończej czy oskarżycielskiej mowie; jest to najnieodpowiedniejsze w toku przewodu, jako bezpośredni wniosek z odpowiedzi. I wielką miał słuszność senat rosyjski, kiedy zakazywał stronom wnioskować w toku przewodu, a pozwalał tylko zaznaczać i zwracać uwagę. Słuszność miał adwokat Rymowicz, cytując tę, prawdziwie humanitarną, zasadę senatu. A adwokat Hofmokl, który w czambuł potępił judykaturę senatu rosyjskiego na tej zasadzie, że rosyjskie sądy „kneblowały“, wyraził opinję zbyt ryczałtową, aby miała być słuszną, Jeśli sprawiedliwość rosyjska w sprawach politycznych kulała na obie nogi, to w sprawach czysto kryminalnych stała na wysokości zadania. Zabraniała ona także (jak to również słusznie

podniósł mecenas Rymowicz) dowodzić przestępstwa, które sąd rozpoznaje, drogą innego przestępstwa, które nie było nigdy rozpoznawanem, a które ciąży na oskarżonym, jako podejrzenie. Nie należy dowodzić, iż Nowiński skrzywdził Ginsberga tem, że podobno kiedyś, co przez żaden sąd badanem nie było, Nowiński skrzywdził Goldsztauba. Taki zakaz jest również szlachetną procesualną zasadą. I napróżno mec. Hofmokl utrzymuje, że to mu „nie imponuje". Przeciwnie, to powinno imponować temu utalentowanemu obrońcy.

* * *

Skończył się ten długi i drażniący proces, Wyrok—podajemy go poniżej—prawdopodobnie żadnej ze stron nie zadowoli i jeszcze kilka pokoleń sprawozdawców sądowych ostrzyć będzie o tę rozprawę swoje zmęczone pióra. A coraz mniej—jak to wyżej podpisanemu wydarzyło się już obecnie — będzie widocznem, gdzie prawda w tym sporze dwóch zaciekłych Żydów, z których jeden ma wszystkie cechy człowieka, umiejącego skrzywdzić, a drugi wszystkie cechy człowieka, który się skrzywdzić nie daje. Ale, podobno, te ostatnie cechy są nabyte później, już po doznanej krzywdzie; a przedtem Ginsberg miał być, jeśli nie jagniątkiem, to w talmudycznych dociekaniach zatopionym mędrcem, obcym światu zewnętrznemu, naiwnym i podstępów nieświadomym. Taką legendę, rażąco niepodobną do obecnej rzeczywistości, zresztą prawdopodobną, stworzyły mu okoliczności, czas, nadewszystko

jego własny upór i pomoc specjalistów-prawników, roznamiętnionych potrosze szlachetną grą, której stawką ma być sprawiedliwosć. Czy jest — Bogu to tylko wiadomo; bo sam Ginsberg już tak przetworzył w sobie samym wydarzenia przeszłości, omotał je taką warstwą nieświadomych przeinaczeń, że kategorycznie odmówiłbym użycia go jako przewodnika w labiryncie czynów i zbrodni Nowińskiego. A „objektywne“ fakty są tej natury, że za przykład niezbitych prawd żadną miarą służyć nie mogą.

Natomiast, w tym procesie gra opinja publiczna, biedaczka, która, właściwie mówiąc, nic nie ma do powiedzenia w sprawach sądowych, a jednakowoż, tajemniczemi oparami ludzkiej solidarności działa na sumienia, nawet na sumienia spokojnych, bezstronnych sędziów. Czy może być inaczej? „*A l'égard des émotions nous sommes tous peuple*“. Jesteśmy wszyscy pospólstwem — wszyscy, najpierwotniejsi i najbardziej wyrafinowani — tam, gdzie rzecz się tyczy zasadniczych wzruszeń. Miłość, nienawiść, zazdrość, chciwość, zło i dobro zawsze będą nas wszystkich jednakowo przejmowały do głębi i masowy wyraz naszego wzruszenia może być łatwo niesłusznym, ale niezwalczonym. Ale jakkolwiek nęcącym jest widok naprawionej niesprawiedliwości, choćby po wielu, wielu latach; jakkolwiek szanownym jest taki tryumf prawdy — czy opinja publiczna nie ulega tutaj zawodnej ułudzie? Czy skazanie Nowińskiego będzie tryumfem prawdy? Czy Nowiński jest wcieleniem niegodziwości, braku serca, braku litości? Może, rzeczywiście, jak mówił adw. Ry-

mowiez, jest tylko tym twardym, zimnym człowiekiem w sferze stosunków, gdzie powodzenie zależne jest od stopnia twardości, zimna, braku serca i litości?

„W tej strasznej maskaradzie życia, gdzie wszyscy: mężczyźni i kobiety kłamią i skrywają swe oblicza, tylko jedni kupcy nie noszą maski". Ale—dodaje niemiecki pesymista—ich twarz jest ohydna. I ta ohyda kupieckiej twarzy sprawia, że czasem wszelkie podejrzenie staje się uprawnionem i że nikt nie pomyśli o sądowej omyłce, jeśli wypadki nad tą twarzą nakleją etykietę zbrodni. Może to niesłuszne.

Istnieje kategorja spraw, które do sali sądowej nie dochodzą, bo po drodze zyskują pogardliwe przebaczenie czy zapomnienie, dzięki niecydowanym, choć budzącym wątpliwości rysom ukrytego w nich występku. Takie sprawy, niezdecydowane, wątpliwe, „idą na umorzenie". Ale, jeśli zrządzeniem wypadków przekraczają ten Rubikon, wbrew wszelkim oczekiwaniom kończą się wyrokiem skazującym. Tkwi w nich coś, z czem nie może się pogodzić wzruszona wrażliwość ludzka i co zastępuje siłę poszlak i dowodów. Taką jest sprawa Nowińskiego. Bo koniec końców obydwaj: Nowiński i Ginsberg, oplątani siecią handlowo-kłamliwych ugód, fikcyj i targów, przynoszą sądowi materjał robaczywy, zepsuty, splot przebiegłości, ukrywań i nieprawdy. Jeden i drugi dostatecznie są tym materjałem, stworzonym jednakowo przez czyny tego i tamtego, oplamieni. Czy sąd rzeczywiście nie ma innego zadania nad klasyfikowanie kłamstw i ważenie

na chemicznych wagach sprawiedliwości — kto mniej skłamał? Czy Nowiński i Ginsberg nie są jednakowo kowalami swego losu i czy krzywda Ginsberga nie jest literacko-prawną formułą nieszczęścia, któremu nikt nie jest winien? Poważne to wszystko, drażniące pytania...

Czy należy powtarzać to, co działo się w sądzie ostatnie dwa dni rozprawy? Ten sam uparty, nieznośny, krzykliwy. natrętny Ginsberg ze swoją niewyczerpaną abrakadabrą słów i ten sam Nowiński, tylko trochę treściwszy, mniej pozujący, może już nie pozujący wcale, bez sentencyj, z zasobem prawdopodobnych, ale czy prawdziwych, wyczerpujących objaśnień — zimny i niesympatycznie zręczny. Wspaniałe zresztą dwa typy, które w rocznikach sądownictwa polskiego zostaną jako ciekawe wyrazy żydowskiej psychiki — w zetknięciu ze sprawiedliwością,

W rocznikach sądowych polskich pozostanie ten proces jako jedna z najpoważniejszych sędziowskich prac; referent sędzia Chojnacki, przewodniczący sędzia Gromadzki dokonali rzeczy w sposób godny wzniosłego zadania. Pozostanie jako sprawdzian obiecujących sił i środków polskiej trybuny oskarżycielskiej i obrończej. Prokurator Sztejnman po raz drugi oddał szczerość swego przekonania i powagę swej pracy temu niełatwemu do skonstruowania oskarżeniu. Silne wrażenie pozostawiły mowy adwokatów Niedzielskiego i Szyszkowskiego, pełnomocników powoda cywilnego. Równowagą i szerokiem ujęciem obrończych tez oderwał adwokat Rymo-

wicz sprawę swego klijenta od cisnących go ku ziemi nieprzychylnych nastrojów i kazał wejrzeć w istotę stosunku Ginsberga i Nowińskiego oczyma nieuprzedzonemi. Adwokat Berland, przytomnością swych trafnych, zawsze na czasie, spostrzeżeń, zwartą logiką swojej krytyki, dojrzałem opracowaniem faktów, stanął w pierwszych szeregach naszych adwokackich sił, a piękna forma i szlachetność wysłowienia pozwalają obiecująco wróżyć o młodym tym talencie.

---

*) Uznając Nowińskiego, również jak i pierwsza instancja za winnego oszustwa, a niewinnego innych zarzutów, Sąd Apelacyjny zatwierdził wyrok sądu okręgowego, skazujący Nowińskiego na rok więzienia, a przy zastosowaniu amnestji na pół roku.

Wyrok ten jednak z powodu przedawnienia kary za to przestępstwo, nie podlega wykonaniu.

Powództwo cywilne na rzecz Ginsberga zasądzono od Nowińskiego w sumie 16200 złotych polskich z odsetkami od 1910 roku, co równa się w markach polskich około 10 miljardom mrk. Opłaty sądowe w sumie 518 miljonów marek włączone są do sumy zasądzonej Ginsbergowi. Sąd Najwyższy wyrok Sądu Apelacyjnego skasował, ze skarg oskarżonego i powoda cywilnego. Ostatnie słowo w tej sprawie wypowie znowu Sąd Apelacyjny, ale już po wydrukowaniu niniejszej książki.

Echa inwazji.

Kiedy w sierpniu 1920 r. polskie władze opuściły osadę Bielsk, powiatu płockiego, czynniejsi miejscowi ludzie utworzyli straż obywatelską, która, z przepaskami o barwach narodowych na ramieniu, sprawowała rządy. Ale w miarę zbliżania się bolszewików, na ramieniu i w sercach obywateli-strażników zachodziły zmiany: przepaska czerwieniała, a sercami owładnął zamęt. I nie mieli już obywatele-strażnicy, choć się żachali, siły nie usłuchać rozkazu dowódcy bolszewickiego oddziału, Woropajewa, który zarządził utworzenie „rewkomu". Rozkazowi towarzyszyło sakramentalne: „my nikawo nie prinużdajem", ale to, z rzeczywistością nic wspólnego nie mające omówienie, nie mogło dodać otuchy pasowanym na rycerzy bolszewizmu osadnikom Bielska. Więc p. Betlejewski został zarządzającym mieniem osady, a p. Gruszczyński zarządzającym inwentarzem w gminie, a p. Żebrowski sekretarzem „rewkomu" — i wciąż siedział w lokalu dawnego sądu i pisał i pisał. Na pięciu członkach „rewkomu" miała się oprzeć, nie licząc siły

zbrojnej i dowódcy Woropajewa, moc bolszewicka w Bielsku, w oczekiwaniu tej chwili, kiedy towarzysze: Marchlewski, Dzierżyński i Feliks Kon uszczęśliwią Polskę mocno zorganizowaną komunistyczno-partyjną władzą.

Ta chwila nie nadeszła. Ale mikrob bolszewickiego rozkładu i smak bolszewickiej władzy zagnieździł się tymczasem w niedość opornych duszach członków „komitetu rewolucyjnego“ i czujne oczy współobywateli widziały rysy złej myśli, złej intencji w gestach przygodnych zwierzchników. Przeto, kiedy towarzysz Woropajew jął się wycofywać z Bielska i zabrał ze sobą zakładników, głos powszechny oskarżył członków „rewkomu“ o to, że, dla własnego bezpieczeństwa, w przewidywaniu, iż będą przez polskie władze posądzeni o ułatwienie nieprzyjacielowi wrogich względem Polski działań — zarządzili pozbawienie wolności i wywiezienie do Rosji zakładnika dr. Leśnobrodzkiego. Lekarz ten oświadczył, że, jako taki, niema prawa odmówić niesienia fachowej pomocy z rozkazu Woropajewa, ale zaznaczył — o ile to było możliwe—swoją patrjotyczną wierność. Zresztą, i on również starał sie nie rozdrażniać niczem nowej władzy i odmówił Betlejewskiemu, kiedy ten, chcąc wykręcić się od udziału w „rewkomie“, prosił doktora o zaświadczenie choroby. Później zakładnicy wrócili do Bielska, a członkowie „rewkomu“: Betlejewski, Gruszczyński, Żebrowski, Lewandowski i Lewicki stanęli przed sądem oskarżeni o zdradę stanu.

Sąd okręgowy uwolnił wszystkich oskarżonych od zarzutu należenia do „rewkomu“; zwa-

żył okoliczności najazdu, ocenił niemożność sprzeciwu; uwierzył, że ci, drobni i niezłośliwi w gruncie, mieszczanie wstąpili do „rewkomu“, bo musieli; bo sądzili z początku, że idzie tu o organizację rozdawnictwa chleba, a później już poczuli na sobie żelazne kleszcze bolszewickiej przemocy i cofnąć się nie mogli. Lewandowskiego i Lewickiego sąd całkowicie uniewinnił. Względem pozostałych utrzymał oskarżenie, że Betlejewski d. 19 sierpnia przyszedł do dr. Leśnobrodzkiego i aresztował go, że Gruszczyński zarekwirował doktorowi konia i wóz, kiedy bolszewicy odstępowali, że Żebrowski zarekwirował dwie furmanki dla bolszewików, że wszyscy przyczynili się do pozbawienia doktora wolności, jako zakładnika. Czyny te sąd ocenił jako zbrodnię stanu, ale, wobec okoliczności łagodzących, zredukował karę do 1 i pół roku twierdzy. Oskarżeni apelowali od tego wyroku; apelację ich rozpoznawał onegdaj sąd apelacyjny.

Bezwarunkowo, członkowie „rewkomu“ nie byli bohaterami i maeterlinckowskiego burmistrza Stilmondu nie da się z nich wykroić. Np. Świadek Nałęcz był niedosyć przejęty bolszewicką wielkością swoich współosadników z Bielska; jeden z oskarżonych na to: „czy pan wie, kto ja jestem; proszę się liczyć ze słowami, ja mogę pana aresztować“. Ale nie aresztował i zadowolił się napędzeniem strachu. „Świadek Perczyński zagroził, że urządzi w Bielsku kontrrewolucję. Na to jeden z oskarżonych: „za takie słowa stawiają pod ścianę“. Ale nie postawił i tłumaczył się przed sądem, że tylko ostrzegał, ale nie groził. „Betlejewski

był dumny ze swej władzy i wciąż się uśmiechał". Coś tam być musiało, ale Betlejewski, miejscowy restaurator, ma pono nieuleczalnie dobroduszną fizjonomję, wesołą i do oddania żadnego bólu zgoła nie zdolną. „Betlejewski przyszedł aresztować dr. Leśnobrodzkiego". Przyszedł, ale nie sam, przyprowadził „krasnoarmejca", a może to „krasnoarmejec" zwlókł za sobą Betlejewskiego; w każdym razie członek „rewkomu" pozostał na ulicy, a do mieszkania wszedł żołnierz i żołnierz odczytał doktorowi rozkaz uwięzienia. Kiedy żona doktora prosiła dowódcę o uwolnienie męża, kiedy mieszkańcy Bielska prosili o uwolnienie księdza Jagłowskiego, innego zakładnika, Woropajew zwolnił tylko księdza, a doktora zatrzymał, „ponieważ Żebrowski mrugnął na Woropajewa, jakby dając znać, że nie trzeba uwalniać". Bez tego mrugania Woropajew wiedział, co ma czynić, a mruganie Żebrowskiego było najzupełniej zbyteczne. „Gruszczyński zachowywał się tak, jak gdyby obserwował aresztowanych zakładników i pilnował ich". Dopóki przemoc trwała, sam Gruszczyński był obserwowany, albo obawiał się tego i musiał pełnić swoją smutną robotę. „Gruszczyński i Żebrowski zarekwirowali furmanki, konia i wóz, kiedy bolszewicy odstępowali". Tak, ale kiedy jeszcze nie odstąpili...

Małostkowe te przytyki, dotknięcia, uwagi, oskarżenia mają swoją wagę moralizatorską, ostrzegawczą, może nawet historyczną. ale nie dają tego, co w pojęciu prawa stanowi zdradę stanu. Dlatego też p. prokurator Michaelis zrzekł się oskarżenia. Wymuszone posłuszeństwo było naj-

ważniejszym czynnikiem całej brzydkiej, śmiesznej i dramatycznej akcji oskarżonych. Rozciąga się ono na rekwirowanie furmanek, wozu i konia, a nawet na areszt doktora. Członkowie „rewkomu“ byli także tylko specyficznymi aresztantami Woropajewa. Zresztą, jeśli nawet udowodnić, że oskarżeni dla własnego bezpieczeństwa oddziaływali na Woropajewa i skłonili go do aresztowania doktora Leśnobrodzkiego, czyn taki, śród osobliwych okoliczności najazdu bolszewickiego, dokonany z bezwarunkową krzywdą dla zakładnika, nie może być poczytany za czyn wrogi państwu, jak tego wymaga brzmienie art. 108 k. k. W pojęciu zdrady stanu odróżnienie krzywdy wyrządzonej osobnikowi za pośrednictwem i przy pomocy wrogiej państwu siły, od krzywdy, wyrządzonej samemu państwu, musi być ściśle przeprowadzonem i ściśle przestrzeganem, jakiemkolwiek byłoby współczucie dla pokrzywdzonego i jakąkolwiek byłaby wzgarda dla tych, co krzywdzie współdziałali, albo nie zapobiegli jej, jeśli mogli. Ze stanowiska prawa— czyny oskarżonych nie mogą być sądownie karane.

Sąd Apelacyjny uniewinnił „rewkomistów“.

Sprawa Piotra Rokosowskiego.

Jeszcze jeden z tych rozpacznie częstych procesów, które świadczą o atawistycznym popędzie mężczyzny do uzurpacji prawa rozporządzania życiem kochanej i odpornej, albo już nie kochanej i nienawistnej kobiety. Żadna kultura i żaden postęp nie obronią niewinnej czy grzesznej przed słusznym czy niesłusznym gniewem obrażonego, rozżalonego lub rozwścieczonego jej władcy. Raz oddana mężczyźnie, już nie zasłoni się kobieta ani kodeksem, ani przykazaniem boskiem, ani miękkością obyczaju; traci ona dla mężczyzny całą swoją osobistość społeczną, staje się bezbronną, a jeśli fatalność zechce — ofiarą. A całą mądrością ludzkiej—męskiej—sprawiedliwości będzie orzeczenie, w jakiej mierze uzurpacja prawa rozporządzania życiem kobiety jest usprawiedliwiona jako odbicie słusznych czy niesłusznych: gniewu, rozżalenia, lub wściekłości jej władcy. „*Être faible et douze fois impur*“ „stworzenie słabe, dwanaście razy nieczyste“ jak mówi poeta — i niema dlań puklerza ani ochrony.

W sądzie okręgowym wczorajszego dnia *) rozpoczęła się sprawa Piotra Rokosowskiego, jednego z takich uzurpatorów prawa rozporządzania życiem kobiety. I oskarżony i zabita przezeń żona wrócili do Polski, jako repatrjanci stamtąd, z tej Rosji, która na swoją modłę tak długo i tak uparcie przefasonowywała polskie charaktery, usposobienia, umysłowości... Zwróciła je nam, obecnie, ale w jakim stanie? Rozprzężone, krnąbrne, niepohamowane, rozkapryszone, bez żadnego szacunku dla powagi życia, z wygórowanemi pretensjami, których nie może usprawiedliwić poziomość ich dusz i instynktów. Co o tem myśli szanowny ksiądz kanonik, który z brewiarzem i krzyżem w ręku dopiero co przyjmował przysięgę od świadków, a teraz słucha tych wszystkich rzeczy gorszących, śmiesznych, odrażających—i strasznych, o których mówią w sali sądowej jego chwilowe owieczki?...

20 maja 1923 r. w spelunce „Nirwana“ Piotr Rokosowski trzema wystrzałami z rewolweru zabił swoją młodą żonę, matkę czworga dzieci. Zabił i spokojnie dopominał się o swoje prawa do nietykalności wobec wzburzonego tłumu: „proszę mię nie szarpać“. I spokojnie obliczył następstwa swego czynu. „Poświęciłem rok pokuty dla dobra moich dzieci“, Zapomniał, że te dzieci były także dziećmi zabitej; był i jest przekonany, że słusznie uczynił, pozbawiając je złej matki i pozostawiając im—„szlachetnego“ ojca.

---

*) Sprawa rozpoznawaną była 4, 5 i 6 grudnia 1923 r. Szkic obecny tylko „markuje“ ten nadzwyczajnie znamienny proces.

Bo matka, podobno, była niedobra. Poseł Rokosowski, brat oskarżonego, przyszedł raz do bratostwa i nie zastał ani męża, ani żony, choć wtedy w domu było chore dziecko—i to dziecko później umarło. Była niedobrą żoną, bo kompromitowała męża: „z rogówkami chodziła do cukierni“, i zmusiła swego kochanka, ojca swoich dzieci, do żeniaczki groźbą denuucjacji do władz bolszewickich o stanie majątkowym Piotra Rokosowskiego. Kosztowne rzeczy, obrazy, zbytkowne ruchomości, podobno legalnie nabyte przez „kupca‘,‘ za jakiego się podaje oskarżony, mogłyby ulec konfiskacie. Oskarżony poświęcił swoją kawalerską wolność dla majątku. Była niedobrą żoną i matką, bo przepędzała noce na grze w karty, denerwowała i nękała męża.

A mąż był dobry i bez skazy. W klinice, ósmego dnia po porodzie bił złą żonę po twarzy; wypędzał z domu złą kobietę, tak że w tajemnicy przed dobrym mężem przychodziła do domu w nocy i nocowała w spiżarni na koszach. Sprawiedliwy i surowy mąż brał ją ze sobą do doktorów i ze łzami w oczach prosił ich, aby wpłynęli na żonę, ubłagali ją nie nękać chorego męża, przestać gry w karty. Zła żona obojętnie i spokojnie przyjmowała te perory lekarskie. Nie broniła się zupełnie — doktorzy wnieśli stąd, że mąż ma rację. Bo doktorzy są przekonani, że gdyby zła żona miała coś do powiedzenia przeciwko mężowi, to nie omieszkałaby, zaraz, przy pierwszej wizycie u lekarza — oskarżać męża. I tylko niechcący lekarze—świadkowie dodają, że dobry mąż także przepędzał noce na grze w kar-

ty i także odbiegał ogniska domowego—i nawet wniósł do tego ogniska tragiczną chorobę.

Pod przewodnictwem sędziego Laskowskiego w asystencji sędziów Chyczewskiego i Rykaczewskiego sąd rozpoznaje, od czasu do czasu przy zamkniętych drzwiach, tę smutną sprawę. W ręku prokuratora Wasserbergera spoczywa państwowe oskarżenie, które jednocześnie ma być obroną, jeśli nie czci, to już wygasłego prawa do życia może grzesznej, w każdym razie umęczonej, kobiety. Oskarżonego bronią adwokaci Berland i Jarosz.

Czy potrafią go obronić? Czy dowiodą, że „rok pokuty" jest właściwą miarą odkupienia za miarą zbrodni? Czy mąż grzeszny i bez moralnej ostoi, który nie umiał być ani kierownikiem życia, ani przykładem dla żony, może być jej sędzią? Kto wspólnie w błocie albo rozprzężeniu przepędził tak wielki szmat życia, czy może być katem swego wspólnika? Wielkie moralne pytania--na które sąd odpowie wyrokiem.

* *
*

Piotr Rokosowski nie powinien był wyjść z sali sądowej z podniesioną lub prawie podniesioną głową. Tak się też stało i wyrok, podany poniżej, sumienie społeczne przyjmie jako słuszny. Należało podnieść cenę ludzkiego życia, zwłaszcza, jeśli zabójca i ofiara, według słów wielkiego prawodawcy, „wymienili duszę i pot". Trzeba było rozwiać tę ułudę, że stosunki małżonków czy kochanków nie mogą być regulowane niczem, nawet kiedy się wyradzają w zbrodnię. Taka

właśnie ułuda kierowała i ręką i myślą Rokosowskiego, kiedy strzelał do żony i mniemał, że się wykupi „rokiem pokuty".

Przewód sądowy potwierdził wszystko, co figurowało w akcie oskarżenia. Stosunek nerwowy, niesprawiedliwy, męża do żony; poza przywiązaniem fizycznem żadnej tkliwości, żadnego ludzkiego, uszlachetniającego dźwięku w tem wspólnem życiu niedobranych, ale nie umiejących być nieszczęśliwymi z godnością ludzi. Pozorna wyższość umysłowa i towarzyska męża szła w kąt w codziennem otoczeniu; a zazdrość i wątpliwości co do prowadzenia się żony powodowały brutalności i niegodziwości, godne pogardy. Po powrocie z Rosji, wrócony do organizowanego społecznego życia, do wygodnego korzystania z, niepewną drogą nabytych, bogactw, Rokosowski, niepomny tego, czem sam był, poczuł potrzebę komfortu moralnego w domu. Ale na ten komfort moralny w postaci żony bez zarzutu należy zasłużyć; Helena Rokosowska nie mogła dać tego komfortu nie tylko dlatego, że była tem, czem była, ale i dlatego, że była żoną Piotra Rokosowskiego. Piotr Rokosowski o tym ostatnim względzie nigdy nie pomyślał i nigdy siebie nie zrozumiał. Żeby odejść od żony i usunąć ją od siebie—choć mógł to zrobić po ludzku, imał się sposobów brudnych i wstrętnych, jak gdyby lubował się w upodleniu biednego stworzenia, które było matką jego, niby to tak kochanych, dzieci. Zastrzelił kobietę, którą mógł, może powinien był, oddalić od siebie; choć sam był może tej kobiety najgodniejszym.

Pełne talentu mowy adw. Berlanda i Jarosza, zawierały wszystko, co mógł chcieć usłyszeć o sobie sam Rokosowski. Teza jego winy, spokojnie, wytrawnie, przekonywująco popierana przez pprokuratora Wasserbergera, zwyciężyła.

* * *

Sąd okręgowy pod przewodnictwem sędziego Laskowskiego, w asystencji sędziów Rykaczewskiego i Chyczewskiego skazał Piotra Rokosowskiego za zabójstwo żony Heleny z Sokołowskich na karę czterech lat ciężkiego więzienia z pozbawieniem praw. Ze względu na dzieci skazanego, które pozostałyby bez opieki w razie natychmiastowego uwięzienia ojca, sąd zezwolił na pozostawienie Rokosowskiego na wolności za kaucją 125000000 marek polskich.

Zabójstwo metropolity Jerzego.*)

Z szeregu spraw kryminalnych ostatnich czasów jedna z bardziej przykrych, najbardziej rażących. Ciężka atmosfera gniecie słuchacza w sali sądu okręgowego. Ten oskarżony, który jeszcze niedawno nosił suknię kapłana; który dziś jeszcze, z naiwnością, budzącą pewien dreszcz niepokoju, niepomny krwi, jaką przelał, utrzymuje, że nadal jest „osobą duchowną". Ta różnojęzyczność i rozbieżność myśli, jaka widnieje po przez namiętne, ale hamowane zeznania świadków. Ta ześrodkowana wytrawność umiejętnej obrony, aż nadto licznej, która sprawia wrażenie, jakby procesowała się raczej z polską państwową celowością, niż z zarzutami ciężkiej zbrodni przeciwko przestępcy. Ta nieustająca ani na chwilę chęć rozsadzenia ram procesu, tak, aby sama zbrodnia

---

*) Jest to sprawozdanie z procesu, rozpoznawanego w trybie doraźnym w końcu 1923 roku. Powinnoby znaleźć miejsce na początku książki. W trybie zwykłym odbył się proces o rok później. To powtórne rozpoznanie, prócz ekspertyzy psychjatrycznej, która ustaliła normalność oskarżonego, nie dała nic nowego, jeśli nie liczyć obrończej mowy ś. p Tadeusza Wróblewskiego. Ograniczam się przeto na szkicu z doraźnego rozpoznania.

zbladła nieskończenie, a natomiast plastycznie uwydatniła się jakaś metafizyczna, dla mas obojętna krzywda, wyrządzona martwym kanonom... Atmosfera ciężka i proces znamiennie przykry.

Paweł Łatyszenko, b. archimandryta Smaragd, stanął wczoraj przed sądem doraźnym w Warszawie, oskarżony o to, że 8 lutego r. 1923, trzema wystrzałami z rewolweru zabił metropolitę Jerzego; zabójca został ujęty na miejscu przestępstwa. Sądzą go: przewodniczący wice-prezes Gumiński; sędziowie: Laskowski i Kozakowski, oskarża prokurator Michałowski. Na straży interesów oskarżonego stoi aż czterech obrońców: dwuch ze Lwowa, adwokaci Głuszkiewicz i Hankiewicz, jeden z Wilna, adw. Tad. Wróblewski i poseł Podhorski. Obrońca z urzędu, adw. Kostecki, wobec takiego bogactwa obrony, został zwolniony przez sąd ze swych obowiązków.

Przeszło dwie godziny spowiadał się Paweł Łatyszenko przed sądem po odczytaniu aktu oskarżenia. Osobliwa to była spowiedź i osobliwy penitent. Nie było w jego słowach ani skruchy, ani żalu; ani jednego słowa litości dla ofiary, ani jednej wzmianki o sprzeczności krwawego czynu kapłańskiemu powołaniu. Nie było ducha pokory, ani ducha skromności. Ale było wiele innych rzeczy wybitnie uderzających. Może po raz pierwszy na ławie oskarżonych słyszano taką gamę tonów histerycznych, dysonansowych i pozornie czułych. Była w tem profesjonalna swada kaznodziei i jakaś przebiegła układność i jakaś słodycz niezupełnie szczera i zmanierowanie. Rosjanie powiedzieliby „jelejno i żemanno“. Łaty-

szenko ma lat 38; wysoki, o żółtej, nalanej, mięsistej, bez wyrazistości rysów, twarzy, o oczkach małych i skośnych, o głosie wyrobionym, donośnym. Głos ten łamał mu się kilka razy w łkaniu; zwłaszcza załamał się wtedy, kiedy oskarżony rozczulał się nad samym sobą, kiedy opowiadał, jak sam odprawił nabożeństwo żałobne za swoją własną, jeszcze żyjącą na ziemi, duszę, w oczekiwaniu możliwej śmierci. Załamał się z większą i bardziej wzruszającą naturalnością, kiedy oskarżony mówił o swej matce; ale nie załamał się ani razu, kiedy b. archimandryta mówił, i bardzo szczegółowo, o tem, jak strzelał do metropolity, jak zabił go. Przeciwnie, raz po raz podczas tego opowiadania, dziwnie lekkomyślnie nieważkiego, na zlekka mongolskiem obliczu Łatyszenki zarysowywał się stały, wyraźny uśmiech, prawie śmiech. Było to drażniące i miało jakiś Gwynplainowski charakter. „Pudełko z niespodziankami“ — mówił francuski psycholog o rosyjskiej zwikłanej psychologji. Z nieprzyjemnemi niespodziankami. „Jak postąpi w danym wypadku człowiek o rosyjskiej skombinowanej psychologji“?— pytał inny francuz. Wprost przeciwnie, niż należałoby się spodziewać. Będzie się uśmiechał — wtedy, kiedy wszelki inny zbrodniarz, jeśli nie zapłacze, to zdoła trzymać na uwięzi mięśnie swej twarzy. Ale pamiętał dobrze o. Smaragd, że kiedy zabił metropolitę, jakaś kobieta, widocznie z otoczenia metropolity, doszła do zabójcy i pocałowała go w czoło, mówiąc: „dzięki ci, żeś nas od niego uwolnił“. Ta dama to także musiało być „pudełko z niespodziankami“.

Czytając rozczulającą historję Turgeniewa o piesku Mumu, Łatyszenko nie mógł ukoić swych łez—ale metropolitę zabił bez osobliwego wzruszenia. Bo w jego oczach metropolita był „katem cerkwi prawosławnej". Ten kat pozbawił Łatyszenkę parafji i zabronił mu odprawiać nabożeństwo; ale Łatyszenko nie uważa tego za rzecz ważną; metropolita był, wedle jego zdania, metropolitą tylko Warszawy, nie zaś Polski, i mieszać się do spraw cudzych djecezyj (parafja Łatyszenki należała do djecezji grodzieńskiej) nie miał prawa. Łatyszenko poprostu ignorował zakaz uzurpatora-metropolity. Niechęć zabójcy do ofiary miała przyczyny inne i nie osobiste. Metropolita był tym dostojnikiem prawosławnej cerkwi w Polsce, który w zgodzie z rządem polskim przeprowadził autokefalję prawosławnej polskiej cerkwi, uniezależnił ją od partjarchatu w Moskwie. Był to przeto, wedle archimandryty Smaragda—zdrajca cerkwi prawosławnej. Bo chociaż, właściwie, zwłaszcza z chwilą aresztowania patrjarchy Tichona i abdykacji jego *locum tenens'a* (zastępcy), automatycznie wszystkie prowincjonalne cerkwie prawosławne zaczęły się rządzić samoistnie, zlegalizowanie takiej samoistości było w oczach zabójcy zbrodnią. Zbrodnią było nie dlatego może, że sama idea autokefalji jest grzeszną, ale że odrywać się od cerkwi macierzy w chwili, kiedy jej główny pasterz został uwięziony — nie należało. A zwłaszcza nie należało czynić tego inną drogą, niż drogą, przepisaną w kanonach: drogą decyzji soboru, złożonego z episkopatu, duchowieństwa i pobożnych. Me-

tropolita działał inaczej, zebrał w Poczajewie sobór biskupów, i sam, z arcybiskupem Djonizym, obecnym metropolitą, utworzył większość przeciwko innym biskupom i autokefalja stała się prawem. Tego nie mogli znieść niekórzy biskupowie ani Łatyszenko, który mówi o sobie, cytując niby to obce opinje, że jest mędrszy od innych, bardziej od innych cerkiew miłuje i że jest duszą tej opozycji przeciwko metropolicie. „Toć autokefalja ciągnie za sobą największe odszczepieństwo, jakie jest do pomyślenia; z chwilą oderwania się od rosyjskiej cerkwi prawosławnej, imię patrjarchy Tichona nie będzie cytowane w modlitwach codziennych cerkiewnych". Ten szczyt apostazji, nieznośny dla Łatyszenki, nieznośny dla biskupów, przeciwników autokefalji, musiał się skończyć śmiercią metropolity... (Jakkolwiek po dziś dzień, bez żadnych protestów ze strony polskiego rządu, duchowieństwo prawosławne modli się codziennie za patrjarchę Tichona, w zwykłem i właściwem miejscu wspominając imię jego).*)

"Byłem dumny i zepsuty powodzeniem", mówi o sobie Łatyszenko. Był oprócz tego przebiegły i zły. Jeśli prawdą jest, że zbuntował grodzieńskiego biskupa Włodzimierza i odciągnął go od autokefalji, do której biskup się skłaniał, to los tego dostojnika cerkwi prawosławnej powinien by zaciężyć na jego sumieniu. Łatyszenko jednak woli obciążać metropolitę Jerzego. Metropolita— powiada—był człowiekiem złym, chciwym;

---

*) Pisane za życia patrjarchy.

najbardziej szło mu o to, aby biskupi przysyłali mu pieniędzy. „Włodzimierz przysłał mi już 650000 marek, a inni co?“ A jednocześnie stosował ucisk do biskupów wiernych kanonom, i nie chcących oddać cerkwi prawosławnej na łup polskiemu rządowi, i pp. Strzałkowskiemu i Piekarskiemu, dostojnikom ministerstwa wyznań i „wrogom narodu polskiego“. Więc biskup Włodzimierz grodzieński został deportowany do klasztoru na Wołyniu; a Eleuterjusz wileński do Berlina, a Pantelejmon piński — na Wołyń po pozbawieniu djecezji, a Sergjusz, wikary warszawski, do Pragi. Zwłaszcza cierpienia Włodzimierza oddziałały na Łatyszenkę. Metropolita Jerzy musiał być zabity.

W tej opowieści oskarżonego mieści się cały proces. Obelgi, potwarze, czy też słuszne oskarżenia, tyczące się osoby zabitego,—są tylko smutnemi ozdobami tej jedynej namiętności, która pchała Smaragda ku zabójstwu wiernego polskiej państwowości dostojnika prawosławnej cerkwi w Polsce. Tą namiętnością była, choć wypiera się jej oskarżony, zdeklarowana niechęć do ostatecznego, bezpowrotnego uznania niezawisłości polskiej i konsekwencji tego uznania.

* * *

W ciągu dwu dni sprawa toczyła się jako proces przeciwko zabitemu. Bardzo nielicznym jest zastęp świadków oskarżenia; za to świadkowie obrony są bardzo wymowni, energiczni, mówią z żądzą przekonania, sami są przekonani i jest ich nieskończenie więcej. Polityka i taktyka metropolity Jerzego są przez nich jednogłośnie

i jednobrzmiąco potępiane; i gdyby na zasadzie tych zeznań sądzić o nastroju w prawosławnej społeczności polskiej, jeśli użyć wolno takiego terminu, to możnaby wnieść, że sprawa rządów Jerzego i sprawa autokefalji były jątrzącemi, najważniejszemi sprawami tej społeczności. Ale choć tak nie było, choć prawdziwem jest widocznie świadectwo tych, co sprawy te uważają za przedmiot troski i niepokojów niewielkiej tylko garstki ludzi, zgrupowanych około władyków, to, w każdym razie, poważny proces zmian, mocną, i oczywiście, bezwzględną ręką metropolity wprowadzonych, trafiających na sprzeciw ludzi, w oporze kunsztownych, niby pokornych, ale zaciętych, niby szanujących władzę, ale gotowych do namiętnego jej przeciwdziałania—musiał doprowadzić do jakiegoś wybuchu. I pokorne jagnię, powiedział onegdaj Pantelejmon, polak z urodzenia, syn szlachcica polskiego i matki rosjanki z Kostromy, a sam biskup prawosławnej cerkwi — może stać się się rozwścieczonym tygrysem.

Tygrysem stał się oskarżony. Bronią go świadkowie obrony zaciekle. Obrońców zabitego niema prawie wcale, Chyba że protoprezbyter Marysz, który wrócił z Ameryki bardzo niedawno, a przebywał tam długo, i przejął ,widocznie, obyczaj i nawet wygląd wuja Sama. W długim wojskowym surducie kapelana, z oznakami szarży podpułkownika, protozbyter Marysz odbija rażąco od innych prawosławnych kapłanów. I myśli nieco inaczej. Nie widzi sprzeczności między kanonami i metodami metropolity Jerzego, nie

sądzi, aby dla szczęścia prawosławnej cerkwi w Polsce koniecznym był ścisły jej związek z prawosławną cerkwią w Rosji. Sądzi, że zamęt z okazji autokefalji wprowadzają tylko ci, komu zależy na zwaśnieniu katolickiej ludności polskiej z prawosławną i, najbardziej, na oderwaniu kresów od Polski.

Broni też pamięci Jerzego świadek Strzałkowski, dyrektor departamentu wyznań. Ze świadectwa jego widać, że metropolita Jerzy, mocnej i stanowczej woli człowiek, miał szczerą dążność do ocalenia w Polsce tego prawosławia, które rozkłada się w Rosji, a żaden o. Smaragd nie śmie tam skierować rewolweru przeciwko prawdziwym prawosławia zdrajcom. Ta dążność metropolity szła w parze z dążnością rządu polskiego do uniemożliwienia dalszych wpływów niegdyś macierzystej cerkwi. W dwu, jeśli nie wrogich, to żywiołowo różnych krajach, z rozbieżnemi tradycjami i celami, nie może być wspólnego rządu dusz dla tak wielkiej ilości obywateli, jak 5000000 prawosławnych w Polsce. Świadectwo dyrektora departamentu, historja wspólnych usiłowań departamentu i metropolity są kartą historji, których przed nikim wstydzić się nie należy. Metropolita Jerzy zasłużył się krajowi.

Czyżby, rzeczywiście, metropolita wobec cerkwi prawosławnej był czemś w rodzaju apostaty—i niczem więcej? Niestety, przewód sądowy dał na to odpowiedź niepewną. Sąd broni świętości życia człowieka—ale świętość jego pamięci narażona jest na szwank. Prawda, jest to sąd doraźny; sprawiedliwość wymierza szybko

i nie wybiega daleko za granicę sądzonego czynu, Ale ,jednakowoż, czy jest koniecznie nieodzownem, aby te „kanony", któremi tak wszyscy trapią pamięć zabitego, były traktowane, jak coś niedoścignienie tajemniczego, coś w rodzaju eleuzyjskich misterjów? Czyż niema ludzi, co o tem powiedzieliby słowo z tekstem w ręku, bezstronnością uczonego w sercu i głowie? Adwokat Wróblewski od czasu do czasu strzela fajerwerkiem swojej erudycji kościelnej, cerkiewnej i historyczno-cerkiewnej.

Jest to interesujące, bezwarunkowo, i olśniewające nawet; ale niedostateczne. Dlaczego prokurator nie uczuł potrzeby postawić kwestję „kanonów" i dekretów metropolity Jerzego na gruncie pewniejszym od przygodnych zeznań rozgoryczonych świadków i nawet godnej zazdrości erudycji starego lwa adwokatury wileńskiej? Byłoby łatwiej walczyć o prawdę. Bo trzeba było sobie powiedzieć: zabójstwo metropolity Jerzeego może nie było politycznem zabójstwem, ale proces o zabójstwo metropolity musiał się niechybnie i fatalnie stać politycznym procesem. I trzeba było odpowiednio się zaopatrzyć do tej walki trudnej, ale nęcącej, dla ufającego sprawie i wierzącego w swoją słuszność oskarżyciela.

Zaś świadkowie obrony: i wspaniały biskup Pantelejmon z jego arystokratyczną wymową, i biskup Włodzimierz, przedmiot kultu innych świadków: „Franciszek z Assyżu i Iwan Kronsztadski", i adwokat Wiśniewski i stary wymowny nauczyciel Jewsiejew — wszyscy oni, broniąc się zawzięcie przeciwko zarzutowi politykowania,

świadcząc o swej lojalności względem państwa polskiego, biją pamięć zabitego zarzutami wciąż temi samemi: wszystkie jego zarządzenia były niekanoniczne, i władza jego była terorystyczna i zgoda jego na przeprowadzenie autokefalji była targnięciem się na tradycje na prawa episkopatu, na świętość związku z patrjarchatem. A uwięzienie i deportowanie biskupów były aktem gwałtu i prześladowania. A obojętność względem losów soboru na placu Saskim niegodną prawosławnego lekkomyślnością.

Oskarżonego znają wszyscy. Cenią go różnie. Szlachetna i skoncentrowana natura biskupa Pantelejmona organicznie nie znosi ekscentryczności i wiecznej pobudliwości podsądnego; ale biskup wierzy w czystość intencji zabójcy metropolity i w jego szczerość. Zabił, bo nie mógł znieść ucisku cerkwi i niesprawiedliwości względem niej, względem biskupów, względem siebie samego. Zresztą to człowiek chory; cała jego rodzina jest chorowita: siostra i brat są epileptykami; sam on przepędzał lata w szpitalu; zawsze gotowy do płaczu, zawsze napięcie nastrojony, ekstatyczny, niezrównoważony, obcy ziemskim poziomym celom i często niepohamowany, jest o tyleż kandydatem do miejsca pośród aniołów, co i do szpitala obłąkanych. Takim jest sens licznych zeznań, przychylnych podsądnemu.

Rozpoczęły się głosy stron. Mowa prokuratora Michałowskiego była króciutka; po wysłuchaniu czterech przeciwników, odpowie on, prawdopodobnie, repliką poważną i rzeczową, do jakich przyzwyczaił nas ten sumienny oskarżyciel. Pierw-

szy obrońca oskarżonego, adwokat Głuszkiewicz wygłosił odrazu dwie mowy: jedną czysto prawniczą, z wnioskiem o uznanie niewłaściwości sądu doraźnego i o przekazanie sprawy sądowi o zwykłym trybie postępowania, drugą o istocie przestępstwa oskarżonego.

Obie mowy były aż nadto interesujące; w zestawieniu z pozostałemi obronami — nabiorą one właściwej wagi i znaczenia. Można już z góry przewidzieć, że dobrze się stało, iż w sprawie tak poważnej odwiedzili nas obcy Warszawie obrońcy. Bo, niestety, zdaje się, że nasza sądowa wymowa, jeszcze nie skrystalizowana, ma już pęd ku pewnemu niedbalstwu; takim jest przykry wpływ codziennego otoczenia. „Gościnne występy“ obcych sił mogą dobrze podziałać; dzisiaj, słuchając Tadeusza Wróblewskiego, zobaczymy, jak to się „illo tempore“ broniło i jaka wytrawność i jakie analogje, i jaka przenikliwość potrzebne są, aby stworzyć dobrego obrońcę. Wczoraj już, z ciekawością, choć bez zdziwienia, dowiedzieliśmy się, że galicyjscy koledzy obracają się w sferze pojęć prawnych ze zręcznością wielką, umiejętnością rozbiorczą zupełną i zdolnością konstrukcji bardzo niepowszednią.

Nie będą mieli pretensji nasi goście, jeśli pod pewnemi względami warszawska wymowa sądowa nie pójdzie ich drogą.

W sposobie wysłowienia, w zewnętrznej manierze, wielko-stołeczna prostota nie jest bodaj najgorszą metodą. Zbytnia różnorodność intonacji i gestu jest rzeczą niebezpieczną. Psuje ona więcej, niż pomaga. A niezwykła literackość formy

jest bliższa marivaudage'u, niż Tarpejska skała Kapitolu. Rozumie się, w podstawie wszelkiej prawdziwej wymowy leży poezja. Pisał o tem stary Wolter! A Faust powiada, że: „serca z sercem nie sprzęgniesz, jeśli po więzy do serca nie sięgniesz". Tylko, że trzeba umieć zachować miarę. I zresztą sądowa wymowa już dawno — tak mówi francuski adwokat, pisarz i minister Cruppi — stała się tylko przenikliwą analizą sytuacji, charakterów i — interesów.

* * *

Mowa oskarżyciela była króciutka, ale wyczerpała widocznie wszystko, co oskarżyciel miał do powiedzenia. Szkoda; żądać kary śmierci w kilku słowach, kiedy sprawa roi się od zagadnień: karnych, społecznych. politycznych, moralnych, psychicznych, proceduralnych — to nieco za abnegacyjne. Cóż robić!...

Obrońców było czterech; inaczej zrozumieli swe zadanie. Chcieli wzruszyć i chcieli przekonać; zdaje się, że przekonali, jeśli nawet nie wzruszyli. Czterech—to może za wiele dla sprawy, gdzie oskarżony gorąco prosi o wyrok śmierci; ale Smaragd nie narzucał obrońcom swej woli, jeśli ją miał rzeczywiście, jak Niewiadomski narzucił ją swojemu. Jeden z tych obrońców, poseł Podhorski, mógł śmiało ograniczyć swą pomoc oskarżonemu do niesienia otuchy w celi więziennej; na rozprawie był zupełnie zbyteczny. Wszystko co robił, było zrobione przez innych lepiej i fachowiej, a pierwsze kroki w polskiej sądowej karjerze powinien był odłożyć do chwili, kiedy

upora się bardziej z mową polską, która nic nie zyska na takich perłach mównictwa, jak: „przechwyca się listy“, „jest zwolennicy, jest przeciwnicy, jest prawidła“. Trzej inni, a najbardziej stary mistrz Tadeusz Wróblewski, w rozmaitym stopniu i zawsze napięcie, postawili debaty interesująco i ciekawie, wyraziście, mocno, czując dobrze, że w tej sprawie to, co nie będzie powiedziane, nie będzie istniało i nikt się tego nie domyśli...

Adwokat Głuszkiewicz podniósł najważniejszą kwestję: właściwości sądu doraźnego; tryb doraźny zastosowanym był do zbrodni Łatyszenki ze względu na to, że wniosek oskarżający w zabójstwie władyki widział „zabójstwo osoby urzędowej podczas i z powodu pełnienia urzędowych obowiązków“.

Nie był metropolita osobą urzędową, powiada obrońca—ani Smaragd, choć jego podwładny; ani stosunek tych dwojga ludzi nie był stosunkiem, wynikającym ze spraw urzędowania. Kodeks karny rozróżnia urzędnika i duchownego; ten ma „godność“, tamten „urząd“; i pochodzenie dwu tych właściwości i charakter funkcyj są zupełnie odmienne: nie jest kapłan urzędnikiem i zabójstwo jego nie jest zabójstwem urzędnika.

Adwokat Wróblewski uzupełnił później ten prawny, kodeksowy wywód, szerzej i rozleglej idącemi spostrzeżeniami cechy społecznej; wolnym jest kościół w wolnem polskiem państwie; niepodległem jest stanowisko duchownego względem państwa; i żadne zezwolenie rządu na pełnienie

funkcyj kapłana nie daje kapłanowi charakteru zawisłego od rządu; metropolita Jerzy był wolnym władyką, chociaż nominację jego czytamy w „Monitorze".

Wyszukana, zbyt wyszukana, literacka proza obrończa adwokata Głuszkiewicza, zbyt niebezpośrednia, aby mocno uderzyć w serca, bardziej odczytana, niż recytowana — zawierała rzeczy piękne i trafne i dobrze świadczące o poziomie wszechstronności intelektualnej obrońcy. Ale ujęcie walki Smaragda z metropolitą, który działał „zbyt rączo i zbyt gorąco", „nie w porę i nie w czas", jako starcie żywiołowych jakichś prądów, i upodobnienie zbrodniczego gestu do „dziejowego pioruna" i wyolbrzymienie mnicha do wielkości „potężniejącego bezmiernie bojownika", tchnęły romantyczną przesadą czasów ubiegłych i zwiędłą retoryką bez echa. Analizy czynów Jerzego nie było; było zsolidaryzowanie się obrony z impulsywną ich krytyką, podyktowaną oskarżonemu przez jego osobliwe wychowanie i jego osobliwą wrażliwość. A sposób wypowiedzenia tej literackiej i zimnej, ale sentymentalnej obrony, nadmiar gestu i intonacji, niezawsze trafnej i często pozbawionej prostoty, odbierał dużo doniosłości pięknemu wypracowaniu adwokata.

Wymowniej, bo znacznie prościej, bronił Smaragda adwokat Hankiewicz; obraz nędznego bursaka z biednej rodziny popowskiej, gdzie ojciec zarabiał miesięcznie 7 r. 80 kop. i miał pięcioro dzieci; gdzie choroby i głód wytworzyły jakąś nadczułość, najbardziej stosowną do przyjmowania wrażeń bolesnych i smutnych; niena-

turalny stan ekstazy, w jakiej lubił pozostawać oskarżony i niemoc przezwyciężenia czynną akcją realnych przeciwności życia; te momenty obrony zostawały w pamięci. A podłoże zbrodni traktowane było przez obrońcę z dosyć silną umiejętnością uogólnienia, gdzie jednak „groźny stan prawosławia w Polsce“ i „kollektywny charakter zabójstwa Jerzego“, były podawane bardziej jak pewniki, niż jak okoliczności, któreby należało jeszcze udowodnić, w tej chociażby mierze, co „zawodność kary“, na którą się powołał obrońca.

Mecenas Wróblewski odrzucił mamiący młode profesjonalne wyobraźnie szych obrończy; bronił Smaragda, górując doskonale nad przedmiotem i z taktem, ale konieczną bezwzględnością, poddał okoliczności zbrodni i osobistość przestępcy analizie wyjątkowo mocnej i dobitnej. Pamięci zabitego, lojalnego pracownika Polski oddał, co się jej należało; działalność jego scharakteryzował, jako działalność zasługi rzetelnej.

A nie dotykając zupełnie krytyki metod zabitego, przeszedł od tego historycznego momentu do oceny zarażliwego impulsu przeciwdziałania metropolicie i do nieszczęsnego swego klijenta. Zastrzegł się, jak przystało obrońcy, ceniącemu przedewszystkiem społeczną stronę swej funkcji, że zachowa zupełną swobodę oceny jego ruchów i czynów; z zeznań świadków, z obserwacji oskarżonego utworzył postać człowieka o podkładzie duchowym niezdrowym, znajdującego się w stanie nieprzemijającego afektu,

Obronę swego znakomitego rzecznika, który z taką świeżością poglądu i trafnością słowa dał

słuchaczom wzór tego, czem powinna być obrona, poparł swem ostatniem słowem oskarżony.

Był to najbardziej wzruszający moment procesu. Już bez onegdajszej profesjonalnej słodyczy w głosie, ale z bolesnem napięciem tonu mówił o swojej wierze w Boga, o wierze w nieśmiertelność duszy, o tem, jak we śnie przemawiali do niego Święci Pańscy, jak prorokowali mu wielkie cierpienia...

Mówił, że zbuntuje się przeciwko Bogu i nie uzna Go, jeśli Ten powie, że metropolita Jerzy działał słusznie i że słusznie Włodzimierz Grodzieński został uwięziony... Nie chce takiego Boga Smaragd. Wie on, że ręka, która zabiła, nie śmie podnieść kielicha z hostją, ale sukni duchownej nie miał mu prawa zdejmować samozwańczy synod. Jutro już, może, Smaragd stanie przed innym sądem, ale gdyby miał w tej chwili umrzeć, nie wyprze się niczego, nie podpisze nic takiego, co ukochanej Cerkwi jest ze szkodą. Nie był nigdy ani opojem. ani rozpustnikiem, ani zdrajcą, ani szalbierzem. Był dobrym człowiekiem. Jest kochającym Polskę jej obywatelem, życzy jej dobra; ale chciałby, aby ukochana Cerkiew mogła żyć wedle swego rozumienia. Nie jest chory, nie chce, żeby go badano po szpitalach; prosi o wyrok śmierci.

Sąd Okręgowy postanowił sprawę Pawła Łatyszenki przekazać sądowi w zwykłym trybie postępowania *).

---

*) W tym ostatnim trybie Paweł Łatyszenko został skazany na 12 lat ciężkiego więzienia.

BIBLIOTEKA NARODOWA

SPIS RZECZY.

W sądzie trybu doraźnego. Str.

Szewczyk - morderca 3
Sprawa Józefa Wąsika 7
Napad bandycki 10
Krwawy narzeczony 13
Tragedja trzech oficerów rosyjskich 15

W sądzie trybu zwykłego.

Zabójstwo bibljofila Smolikowskiego 25
Kto zamordował „rezerwistkę“? 30
Niedobrane małżeństwo 35
Sprawa Przybylskiego i Wereszczyńskiej 42
Skolimowscy bandyci 49
Niespodzianki marcówki 57
Wacław Śniegocki (usiłowanie zabójstwa żony) . 61
Robert i Bertrand, czyli... (Weiss i Rulski) . . . 66
Władysław Niwiński zabójca ś. p. Olewińskiego . 71
Poseł Dąbal przed sądem 83
„Lektor“ contra „Skamander“ 109
Obraza urzędu skarbowego 117
Sprawa Stefana Hordliczki 120
Zniesławienie jen. Zwierzchowskiego 148
Eligjusz Niewiadomski 155
„Niech Bóg da zdrowie temu, kto go zabił“ . . 177
Leon Toeplitz i jego 11 towarzyszy 181
Sprawa Władysława Jeśmana 202
Źle się bawią panowie... 205
Ginsberg — Nowiński 210
Echa inwazji 235
Sprawa Piotra Rokosowskiego 240
Zabójstwo metropolity Jerzego 246

ERRATA.

				wydrukowano:	*powinno być:*
Str.	36	8	wiersz od góry	okiełzanej	okiełznanej
„	43	10	„ „	jakiegokolwiek	jakiekolwiek
„	55	9	„ „	jakieś	jakiejś
„	73	15	„ od dołu	rozkiełzania	rozkiełznania
„	87	9	„ „	zestąpił	zstąpił
„	97	10	„ od góry	subtelnie *distinguo*	subtelne *distinguo*
„	100	2	„ od dołu	aratorowi	oratorowi
„	109	11	„ od góry	dzinnikarzowi	dziennikarzowi
„	121	4 i 12	od dołu	pani Hordliczkowej	panny Hordliczkówny
„	122	5 i 13	od góry	Hordliczkowa	Hordliczkówna
„	124	2	„ od dołu	Hordliczkowej	Hordliczkówny
„	159	13	„ od góry	niegorzej największych	niegorzej od największych
„	165	19	„ od dołu	nietykalności	nietykalność
„	169	2	„ od góry	wszeż	wszerz
„	205	1	„ od dołu	wszystkiemi	wszystkimi

BIBLIOTEKA NARODOWA

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
500770

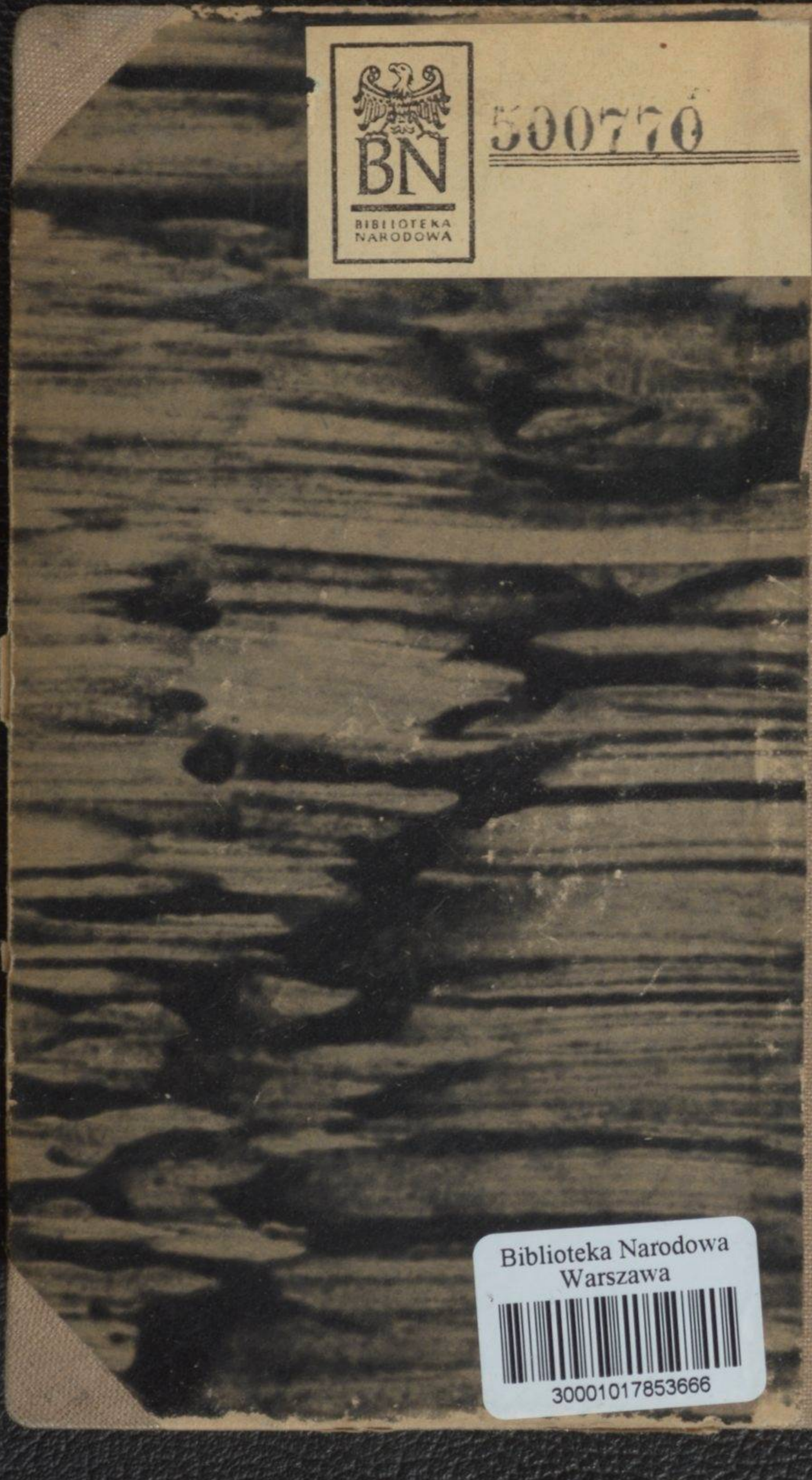

Biblioteka Narodowa
Warszawa
300010178536666